



*Rina Frank*

Każdy  
**dom**

potrzebuje balkonu

SWALTA

*Podczas długich letnich wieczorów siadywało się na balkonie. Tata przynosił lampę oraz stolik i dla zabicia czasu grało się w rummy, co nie przeszkadzało rodzicom plotkować z sąsiadami z naprzeciwka [...]. Wychodzenie na balkon było trochę jak siadanie przed telewizorem. Balkon był naszą prywatną telewizją z programem na żywo oraz aktorami z krwi i kości. Można powiedzieć, że to u nas, na ulicy Stanton, wymyślono reality show.*

W ubogiej dzielnicy Hajfy otoczona kochającą rodziną dorasta dziewczynka o zielonych rozśmianych oczach, w których kryje się smutek. Dziewczynka stanie się piękną młodą kobietą, tak piękną, że poślubi niezwykle bogatego i przystojnego architekta z Barcelony. Jednak bajka o Kopciuszku skończy się zbyt szybko.

*Każdy dom potrzebuje balkonu to ciepła historia rodzinna, w której humor łączy się ze smutkiem, a szczęście przeplata ze łzami. Wzruszająca opowieść o cudownych latach dzieciństwa, o miłości, dojrzewaniu i dokonywaniu wyborów, które rzutują na naszą przyszłość i na to, kim się stajemy.*

[www.nabalkonie.com](http://www.nabalkonie.com)

ISBN 978-83-7515-067-4



9 788375 150674

Cena detal. 32,90 zł

[www.otwarte.eu](http://www.otwarte.eu)

RADIO VOX FM



[empik.com](http://empik.com)

*Rina Frank*

Każdy  
dom  
potrzebuje balkonu

tłumaczenie  
Natalia Stochalska

Wydawnictwo Otwarte  
Kraków 2009

## DZIEŃ, W KTÓRYM MOJA SIOSTRA ZOBACZYŁA BOGA

Przyszłam na świat drugiego dnia Rosz Haszana, w żydowski Nowy Rok, a dowiedziawszy się, że urodziny Ruhamy, trzeciej córki naszych syryjskich sąsiadów, zbiegają się z Tu bi-szewat, żydowskim Świętem Drzew, doszłam do wniosku, że dzieci rodzą się w czasie świąt - jak gdyby były podarunkiem od Boga. Moja siostra, starsza ode mnie o rok i osiem miesięcy, urodziła się w styczniu, bez związku z jakimkolwiek świętem religijnym, co bardzo mnie niepokoiło. Martwiłam się, że coś musiało pójść nie tak w jej przypadku i pewnie nie jest normalna. Kiedy podzieliłam się z nią obawami, moja siostra wybuchła śmiechem i z wyższością przynależną życiowemu doświadczeniu siedmioipółlatki wytłumaczyła mi, że gdyby było prawdą, że dzieci rodzą się podczas świąt, ona - będąc w brzuchu naszej matki - poprosiłaby Boga, żeby przyjść na świat w zwykły dzień, aby się wyróżnić. A On by ją wysłuchał.

Trzeba przyznać, że moja siostra Józefina - nazywałam ją Seffi, ponieważ imię Józefina było zbyt trudne do wymówienia - dobrze znała Boga.

Mieszkaliśmy w dwie rodziny plus cioteczka Maria w trzypokojowym mieszkaniu, które należało do cioteczki Lucyny, starszej siostry taty. Ona i jej mąż to mieli szczęście. Przybyli z Rumunii zaraz po wojnie o niepodległość w 1948 i uchodzili za miejscowych: udało im się przejąć opuszczony przez Arabów dom przy ulicy Stanton, co niespodziewanie zapewniło im status właścicieli nieruchomości. Ich syn, policjant Puiu - który wyemigrował do Izraela w wieku czternastu lat - zajął wcześniej dla rodziców mieszkanie pod numerem czterdziestym. Kiedy przydzielono policji najpiękniejszy blok na ulicy, zamieszkał na pierwszym piętrze, a trójka jego kolegów zajęła pozostałą część domu. Przez wiele miesięcy, w oczekiwaniu na przyjazd reszty rodziny, kolejno sprawowali wartę i przeganiaли intruzów.

Co do Vidy, drugiej siostry taty, ona i jej mąż Ari przybyli w te pędy do Wadi Salib w poszukiwaniu mieszkania i zakleпали porzucony arabski budynek pod numerem czterdzieści siedem przy tej samej ulicy. Umeblowanie mieszkania na pierwszym piętrze nie przypadło im specjalnie do gustu. Za to na drugim piętrze nie tylko meble były w całkiem niezłym stanie, była tam również toaleta, a w tamtych czasach zwykle znajdowały się one na podwórku. Mieszkanie na drugim piętrze jednomyślnie zyskało aprobatę. Ari, który był majsterkowiczem, złotą rączką i wynalazcą, zamontował na dachu bojler na energię słoneczną, dzięki czemu niemal przez cały rok mieli za darmo ciepłą wodę.

Moi rodzice nie mieli tyle szczęścia. Zasiedzieli się jeszcze dwa lata w Rumunii, aby począć tam moją siostrę, co zresztą udało się im za pierwszym podejściem. I to właśnie rodzinie Frank: Mosze, mojemu ojcu, Bianca, mojej matce, i Józefinie, mojej ośmiomiesięcznej wówczas siostrze - przypadła kuchnia. Było to pomieszczenie bez

okna i bez dostępu do wspaniałego balkonu wychodzącego na ulicę.

Skoro już i tak cisnęli się w tej ciemnej i ciasnej norze, a tata marzył o synu, Mosze i Bianka połączyli się po raz drugi w życiu w malutkiej, ślepej kuchni cioteczki Lucyny. Po moich narodzinach, rok po ich przybyciu do Izraela, ojciec był tak zagniewany na matkę, „tę kobiecinę, która nie potrafiła zrobić chłopaka”, że Lucyna z sympatii do swego młodszego brata furiata zaproponowała nam pokój z eleganckim balkonem połączonym z innymi pomieszczeniami. Był to pokój Puiu, który zdobył dla nich ten dom. Lecz policjant poślubił Francuzeczkę Dorę, która za żadne skarby nie chciała mieszkać z teściową, i tak oto odziedziczyliśmy pokój z balkonem.

Z balkonu widać było port Hajfy, statki i kominy rafinerii - nawet sam święty Jan z Akry wydawał się zupełnie blisko, gdy zmrużyło się jedno oko. Żaden statek nie miał szans ujść naszej uwadze, i to bez lornetki. No, może oprócz łodzi podwodnych.

Domy przy ulicy Stanton były zbudowane z kamienia arabskiego szlifu. Żadnych poszarzałych, łuszczących się tynków, tylko solidne bloki nadające domom wspaniały, charakterystyczny wyraz. Wszędzie wyłaniały się balkony, które przedłużały mieszkania, tak że nie widziało się różnicy między częścią wewnętrzną a zewnętrzną. Ściany chroniły raczej przed upałem i zimnem niż przed sąsiadami. W oknach nie było zasłon, więc widziało się dokładnie, co się dzieje u sąsiadów z naprzeciwka. Balkon był witryną, gdzie wystawiało się własne życie jak pościel, którą układało się każdego dnia na balustradzie, by ją przewietrzyć. Każdy dobrze wiedział, jak często zmieniane są bądź nie prześcieradła domowników. Nie mówiąc już o praniu rozwieszonym na sznurach wzdłuż balkonu -

łatane ubrania, poszarzała bielizna i sprane nocne koszule prezentowały się wszem i wobec, jakby codziennie były wystawiane na licytację.

Podczas długich letnich wieczorów siadywało się na balkonie. Tata przynosił lampę oraz stół i dla zabicia czasu grało się w rummy, co nie przeszkadzało rodzicom plotkować z sąsiadami z naprzeciwka, nawet jeśli wszystko się już wiedziało, bo ludzie krzyczeli tak głośno, że nie sposób było uronić choćby słowa, zwłaszcza stojąc na balkonie. Nasza ulica była okropnie hałaśliwa, ponieważ sąsiedzi, wiedząc, że mama jest nieco przygłucha, nie chcieli jej wykluczać. Powszechnie było nawoływanie się z jednego do drugiego balkonu. Wychodzenie na balkon było trochę jak siadanie przed telewizorem. Balkon był naszą prywatną telewizją z programem na żywo oraz aktorami z krwi i kości.

Można powiedzieć, że to u nas, na ulicy Stanton wymyślono *reality show*.

W czwartki wietrzyło się nie pościel, ale dywany. Najpierw wystawiało się je na kilka godzin na *chamsin*\*, po czym skrupulatnie trzepano, by były czyste na szabat. W jednej chwili całe Wadi Salib rozbrzmiewało dźwiękiem tam-tamu, gdy gospodynie, jak na umówiony znak, zabierały się równocześnie do trzepania dywanów na balkonach.

Wszystkie kobiety i mój ojciec.

Niczym potencjalne męczennice gotowe poświęcić się dla czystości wychylały się niebezpiecznie przez balustradę, aby dosięgnąć dołu dywanu, i dostrzegały mojego ojca. Kiedy wychodził uzbrojony w trzepaczkę, sąsiadki umiżiwały się:

\* *Chamsin* - gorący, suchy wiatr pustylny (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

- Hej, Mosze... Kiedy przyjdiesz potrzepać ze mną dywany?

- Hej, Mosze! - krzyczała sąsiadka z naprzeciwka. - Tak wykończyłeś Biankę zeszłej nocy, że nie ma teraz siły i musisz ją zastąpić?

Tata uśmiechał się grzecznie i odparowywał, że każda tylko marzy, żeby wymienić swojego męża na niego. Na co żadna nawet się nie zachnęła.

Najpiękniejszy pokój przy ulicy Stanton zajmowali oczywiście cioteczka Lucyna i jej mąż Łazarz, który był męskim fryzjerem. Miał swój salon w centrum miasta, przy jedynej kawiarni w okolicy. W rzeczywistości był to wąski korytarz z dwoma fotelami i lustrem. Łazarz nie miał za grosz talentu, nosił za to przepisowy fartuch, więc klienci oczywiście przychodzili się strzyć do niego.

Moja siostra i ja odmawiałyśmy chodzenia do fryzjera męskiego, składał więc nam wizyty w domu. Wuj Łazarz obcinał nam włosy na pazia aż do dnia, kiedy w wieku ośmiu lat moja siostra i ja ośmieliłyśmy się zbuntować i nie pozwoliłyśmy mu się więcej tknąć.

A Łazarz lubił nas dotykać. Brał mnie na kolana pod pretekstem, że troskliwy wujek powinien kontrolować mój wzrost i sprawdzać, czy rozwijam się prawidłowo. Jego badanie sprowadzało się do obmacywania moich gruczołów sutkowych, a nie do mierzenia mnie za pomocą metra lub kresek rysowanych na ścianie. Moja siostra, która nie była taka głupia, odpowiadała, żeby zajął się lepiej wzrostem własnych dzieci, bo nasz jest zarezerwowany dla taty, mamy i pielęgniarce w szkole.

Moja siostra o czarnych włosach i kasztanowych oczach w kształcie migdałów była niewątpliwie najinteligentniejszą dziewczynką w dzielnicy, podczas gdy ja byłam po prostu ładna. Wierzano, że jest jej pisana świetlana



przyszłość, i zastanawiano się, czy zostanie lekarzem czy może adwokatem. Co do mnie miano nadzieję, że jakiś bogaty młody człowiek zechce mnie poślubić.

Pewnego dnia, kiedy grałam pod balkonem w siedem kamyków, siostra zawołała, żebym natychmiast przyszła na górę, bo babcia Vavika właśnie zmarła.

- No i co z tego? - odpowiedziałam, choć miałam niecałe sześć lat i tylko jedną babcię.

Rzuciłam piłkę, która przewróciła wieżę z kamyków, i zatrzymałam się: karetka zaparkowała przed domem i wyszło z niej dwóch pielęgniarzy w białych fartuchach z noszami. Kiedy przekroczyli próg, niosąc pionowo, jak drabinę, nosze, przestałam się nimi interesować i wróciłam do gry.

Jak zwykle z łatwością wygrałam i poszłam do domu. Moja siostra wydawała się wstrząśnięta i oświadczyła, że przegapiłam ważne wydarzenie.

- Cóż takiego mogłam przegapić w domu, w którym wszyscy mają pogrzebowe miny, gdy ja właśnie wygrałam partię w siedem kamyków? - odparłam lekceważąco.

- Przegapiłaś Boga!

Józefina chełpiła się, że była jedyną osobą, która Go widziała, ponieważ wyszła na balkon, podczas gdy cała rodzina czuwała przy zmarłej babci, a ja byłam głupio zajęta grą na dole. Bo jak powszechnie wiadomo, Bóg objawia się na balkonach.

Siostra opowiedziała mi, że zobaczyła niekończącą się drabinę zstępującą z nieba, jak ta Jakubowa. Dwa anioły ubrane na biało zbliżyły się do babci i podtrzymując ją pod ręce, pomogły jej wspiąć się po drabinie aż do nieba. Zapomniały tylko pomachać dziewczynce obserwującej je z balkonu.

Kiedy dotarły na górę, śledzone przez moją starszą o dwa lata bez czterech miesięcy siostrę, niebiosą otworzyły się i Seffi ujrzała dobrotliwe oblicze Boga.

- No i jak on wygląda? - spytałam zawiedziona.

- Jest bardzo przystojny. Ma czarne włosy i zielone oczy. Jest trochę podobny do taty.

Całe życie żałowałam, że nie zobaczyłam Boga i jego aniołów, które widziała tylko moja siostra. I pomyśleć, że prosiła mnie, żebym weszła na górę, a ja jej nie posłuchałam.

\*

Nie zakochała się od pierwszego wejrzenia, chociaż był wysoki i czarujący, a ona uwielbiała wysokich i czarujących mężczyzn.

- Wydawało mi się, że wszyscy Hiszpanie są niscy - rzuciła po angielsku w kuchni, dwa tygodnie po tym, jak zaczął pracować, podobnie jak ona, w biurze inżyniera Ackersteina w Jerozolimie.

W jej oczach metr dziewięćdziesiąt to wzrost wręcz nieprawdopodobny. Ten mężczyzna był nieosiągalny, nie tylko z powodu wzrostu, ale też wyglądu kulturalnego Europejczyka. Przez te dwa tygodnie za każdym razem, gdy spotykały się ich spojrzenia, ograniczała się do powściągliwego skinienia głową.

- Cóż, jestem dowodem, że tak nie jest! - odparł, energicznie ściskając jej dłoń.

Zdziwiła się, przyzwyczajona do niepewnych uścisków dłoni, które do niczego nie zobowiązywały. Zastanawiała się, czy jest Żydem, i zachodziła w głowę, by przypomnieć sobie, czy ponad pięć wieków temu, po czasach inkwizycji, Żydzi zostali w Hiszpanii.

- Być może to dlatego, że jestem Żydem urodzonym w Barcelonie - odparł, jakby czytał w jej myślach.

- Pierwszy raz jest pan w Izraelu?

- Nie, trzeci w ciągu trzech ostatnich lat.

„Co za poszukiwacz przygód!”, rozmarzyła się zachwycona. Ona w wieku dwudziestu dwóch lat nie posiadała paszportu, a Synaj, który wówczas należał do Izraela, był najbardziej egzotycznym miejscem, jakie miała okazję zwiedzić. Ona, która nigdy nie widziała wnętrza samolotu, nawet stojącego na ziemi, zazdrościła temu doświadczonemu podróżnikowi.

- Co tak się panu podoba w Izraelu?

- Kobiety. Są piękne i takie wysokie! - odpowiedział, taksując ją, mierzącą ledwie metr sześćdziesiąt, z wysokości swego metra dziewięćdziesięciu. - Nie znam Hajfy, ale wydaje mi się, że tamtejsze kobiety są jeszcze ładniejsze.

- To prawda.

Oczekiwała, że zapyta, czy pochodzi z tego miasta, lecz nie zrobił tego. Podjęła więc:

- Nie odpowiedział pan, co jest tu tak fascynującego, że przyjeżdża pan do Izraela przy każdej okazji?

- To, że wszyscy tutaj są Żydami. Wzrusza mnie, że każdy przechodzień jest Żydem! - odparł podekscytowany. - To niesamowite, zdaje pani sobie sprawę z tego, że nawet zamiatacze ulic są Żydami?

- Jest prawie pewne, że wszyscy są Arabami - sprostowała, aby ostudzić jego entuzjazm.

- Być może, ale wszyscy mówią po hebrajsku. Jestem dumny, że kierowca autobusu może być Żydem... Sklepiarz jest Żydem, pracownicy tego biura są Żydami, i pani również!

Przyjrzała mu się zakłopotana. Cały kraj był w euforii po zwycięstwie w wojnie sześciodniowej i przed zimnym

prysznicem wojny Jom Kippur. I pomyśleć, że ten mężczyzna, ten ładny chłopak był Żydem, syjonistą, Europejczykiem do szpiku kości i doskonale mówił po angielsku! Był zdecydowanie za dobry dla niej.

Jakiś czas później Maja, sekretarka, powiedziała jej, że chłopak pracował latem w Izraelu, aby zamieszkać tu na stałe po ukończeniu studiów inżynierskich. Na razie mieszkał u swojej siostry, która tak jak on była studentką.

Tego wieczoru po powrocie do domu poprosiła jedną ze współlokatorek, która patrzyła na nią z góry, ponieważ nie studiowała na uniwersytecie, żeby załatwiła jej materiały na temat Barcelony.

- Zajmuję się Chinami - powiedziała tamta z wyższością.

- To daleko? - odparła zarozumiałej dziewczynie, która nie raczyła odpowiedzieć.

Następnego poranka dobrą godzinę wahała się, stojąc przed szafą, aż w końcu zdecydowała się na czerwoną minispódniczkę i obcisłą bluzkę.

Gdy cała szczęśliwa dotarła do biura, inżynier Ackerstein zawezwał ją do siebie i oświadczył, że czerwona minispódniczka nie jest najstosowniejszym ubiorem do pracy. Natomiast obcisłej bluzeczce nie miał najwyraźniej nic do zarzucenia, bo zwracając dziewczynie uprzejmie uwagę, że powinna ubierać się przyzwoicie, utkwiał wzrok w jej bujnych piersiach. Udając, że nie zauważa jego lubieżnego spojrzenia, odwróciła się na pięcie i wyszła.

- O co mu chodzi z tą przyzwoitością? - wybuchła chwilę później w kuchni, w której spotkała sekretarkę Maję. - Żyjemy w demokratycznym kraju i ubieram się tak, jak mi się podoba!

- Co tu się dzieje? - spytał hiszpański student, który przyszedł zrobić sobie kawę.

- Wojna Żydów, to się dzieje! - zagrzmiała czerwona ze złości, piorunując wzrokiem chłopaka, dla którego tak się starała. - Nie pozwala mi nosić minispódniczki!

- Z pani nogami byłyby to doprawdy strata! Ale czy ma jakiś powód?

- Mówi, że może to zwieść na pokuszenie ortodoksów.

Spróbowała wytłumaczyć mu pojęcie grzechu w łamanej mieszance angielsko-hiszpańskiej.

- Mówi pani po hiszpańsku? - zachwycił się.

- Tata nauczył mnie judeohiszpańskiego - skłamała. - Tylko kilku słów - dorzuciła pospiesznie po angielsku, żeby uniknąć wszelkich niedomówień na temat jej biegłości w hiszpańskim.

- Posłuchaj, Dawid ma praktykujących klientów i należy uszanować ich wrażliwość. Nie możesz przedstawiać głęboko wierzącemu planu jego przyszłego domu, prezentując nogi - ucięła Maja z rozsądkiem czterdziestoletniej kobiety.

- Powinien interesować się planem, a nie moimi nogami! - odpowiedziała z uporem dwudziestodwuletniej dziewczyny.

- Ale to firma Dawida i to on ustala zasady - odparła spokojnie Maja. - Jeśli ci się to nie podoba, nikt cię tu nie trzyma - zakończyła tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Dziewczyna chwyciła aluzję i zdecydowała, że będzie nosić swoją minispódniczkę, kiedy tylko jej się spodoba, ale po godzinach pracy.

- Jeśli chciałaby pani mieć okazję, żeby ją włożyć, zapraszam panią wieczorem do kina - wtrącił chłopak. - Grają *Pasażera w deszczu*, z tego, co słyszałem, to dobry film.

Tego wieczoru w kinie mgliście rozpoznała Marlene Jobert, ale nie mogła sobie przypomnieć, w jakim filmie już ją widziała.

- Jest do ciebie bardzo podobna - stwierdził chłopak, kiedy siedzieli przy barze w trakcie przerwy.

- Kto taki? - spytała dotknięta do żywego.

Zauważyła bowiem, że patrzył na długowłosą dziewczynę trzymającą w ręce butelkę coca-coli, ubraną w króciuteńką minispódniczkę i przezroczystą bluzkę o głębokim dekolcie. Wyglądała na tak zadufaną w siebie, że wzbudziła w niej instynktowną odrazę. Ona sama, wbrew swej fanfaronadzie lub z jej powodu, miała na sobie dzinsy, zapiętą pod samą szyję błękitną bluzkę i buty na wysokim obcasie, żeby nieco zredukować dzielącą ich różnicę wzrostu. W żadnym razie nie chciała, aby sądził, że chce go prowokować niestosownym ubiorem. Zawsze celowo postępowała na przekór i miała inne zdanie. Zresztą w domu nazywano ją „panienka-zawsze-na-przekór”.

- Aktorka. Bardzo cię przypomina. Macie takie same pociągłe twarze, krótkie włosy, śmiejące się zielone oczy, ale smutne spojrzenie.

- Dziękuję - powiedziała zadowolona, zdając sobie sprawę z tego, że być może nie jest tak nieprzystępny, jeśli zaważył jej smutek.

Po filmie zaprosił ją do restauracji, gdzie zagłębiła się w menu z napojami i deserami.

- Polecam sławny sznycel - powiedział. - Byłem już tutaj.

On, obcokrajowiec, był tu stałym gościem, podczas gdy jej stopa nie powstała w żadnej restauracji tego miasta, w którym mieszka już osiem miesięcy, z wyjątkiem budki z falafelami\* u Rahamima. Kiedy miała trochę pieniędzy, wołała

\* Falafel - w krajach arabskich smażone kulki albo kotleciki z przyprawionego bobu lub ciecierzycy.

kupić sobie jakąś spódnicę albo dzinsy, którymi nie musiała-  
by się dzielić, nową sukienkę dla matki, bieliznę lub skarpety  
dla ojca. Siostrze nic nie kupowała, ponieważ Seffi miała  
chłopaka, który troszczył się o wszystkie jej potrzeby. Uważała,  
że wyrzucanie pieniędzy na restauracje to skandal.

Lecz kiedy napomknął o sznyclu, przypomniała sobie,  
że przez te nerwy niczego nie przełknęła w ciągu dnia.

- Nie, dziękuję, nie jestem głodna. Wezmę tylko kawę.

- Ale dlaczego? Sznycel szefa kuchni jest naprawdę  
fantastyczny. Jeśli dyskretnie się o to poprosi, może być  
z serem i szynką. Jadasz koszernie?

- Nie, nie, nie musisz się przejmować. Koszerność nie  
mnie nie obchodzi.

Uśmiechnął się, a jej pociekła ślinka. Jej matka gotowa-  
ła przede wszystkim rumuńskie potrawy, a sznycel po  
wiedeńsku wydawał się dziewczynie szczytem wyrafino-  
wania. Zwłaszcza że umierała z głodu.

- No, daj się skusić, nie mam ochoty jeść sam - nale-  
gał. - Wiesz, w Wiedniu jest pewna renomowana restau-  
racja ze sznyclami, a te serwowane tutaj nie mają im cze-  
go zazdrościć.

Zawahała się. Matka ostrzegła ją przed mężczyznami,  
którzy z grzeczności zapraszają, chociaż nie mają pienię-  
dzy, żeby zapłacić rachunek. Dziewczyna próbowała sobie  
wmówić, że nie jest głodna, bo zjadła późne śniadanie.  
Prawdę mówiąc, czuła się zażenowana z powodu Johna,  
swego obecnego chłopaka, który przyrządzał jej sznycle  
w weekendy. Miała wrażenie, że zdradza sznycle Johna  
w tej sztywnej restauracji w Jerozolimie.

Chłopak wziął w końcu sznycel po wiedeńsku z puree,  
a dla niej, nie zważając na protesty, zamówił kawę i stru-  
del z bitą śmietaną.

Oddała się swojej ulubionej grze w przepowiadanie. Jeśli chłopak zje sznycel w tym samym czasie co puree, będzie to znaczyło, że jest człowiekiem wyrafinowanym i być może wartym zachodu. Jeśli zje sznycel i puree oddzielnie, w takiej lub innej kolejności, będzie to znaczyło, że jest nudny jak flaki z olejem i szkoda na niego czasu, a jeśli pokroi mięso i na każdy kawałek będzie nakładał puree, nie ma mowy, żeby spotykała się z takim żarłokiem.

Chłopak chwycił nóż swymi długimi, zręcznymi palcami, odkroił kawałek mięsa, włożył go do ust, po czym spróbował odrobinę puree. Następnie odkroił kolejny kawałek i podał jej.

- Chcesz spróbować? Jeśli ci zasmakuje, możemy zamówić jeszcze jedną porcję.

Z zazdrością wpatrywała się w talerz i przypominała sobie kanapki, które nosiła do liceum Leo Baecka. Większość jej kolegów kupowała bułeczki z serem u Menassego, sklepikarza z za rogu, na widok których ciekła jej ślinka. Ojciec, mimo skromnych zarobków, często proponował jej pieniądze, ale odmawiała, zapewniając, że ich nie potrzebuje. Przyjmowała je tylko, żeby zapłacić za Karmelitkę, kolejkę linową, dzięki której nie musiała się wspinać po stromych i krętych ulicach Hajfy, aby dotrzeć do liceum przy ulicy Hillela. Z powrotem wracała na skróty, przeskakując po schodach co cztery stopnie, z tornistrem na plecach. Ciągle żałowała bułeczki, której nie mogła sobie kupić u sklepikarza. Dużo później zrozumiała, że inni uczniowie pożądliwie zerkali na kanapki, które z miłością przygotowywał jej ojciec - z bułgarskim serem i cienkimi plasterkami pomidorów wchłaniających sól i dodających świeżości, albo z wybornym kaszkawalem\*, na punkcie któ-

\* Kaszkawal - dojrzewający, twardy ser z mleka owczego lub krowiego, podobny do parmezanu.



rego szaleli Rumuni, a nie z jakimś starym kawałkiem twardego sera.

Wiele lat później, gdy ona i chłopak byli już małżeństwem i kiedy opowiadała mu o bułeczkach z serem, za którymi tęskniła podczas ich pierwszego spotkania, chciał ją zabrać do sklepu Menassego. Kupiłby wszystkie bułeczki z serem na świecie, aby udowodnić jej, że nie ma czego żałować, ale nie było już Menassego, a sklep został zajęty przez tapicera. W rzeczywistości, odkąd liceum Leo Baecka zajął francuski zakon karmelitów, nikt już nie chciał Menassego ani jego bułeczek.

- Jak Żydzi dotarli do Barcelony? - zapytała podczas tego pierwszego spotkania.

Wyjaśnił jej, że Żydzi z Europy schronili się tam w trakcie drugiej wojny światowej. Jego rodzice mieszkali we Francji. Na początku wojny jego ojciec potajemnie przekroczył granicę i przez trzy lata mieszkał w Hiszpanii, czekając na swoją żonę.

- Moja matka i jej siostra bliźniaczka z powodu jasnych włosów i niebieskich oczu uchodziły za Aryjki - dodał. - Przebywały we Francji z rodzicami aż do chwili, kiedy matka zdecydowała się samotnie przekroczyć granicę, by odnaleźć mojego ojca i jego brata.

- Cała twoja rodzina mieszka w Barcelonie?

- Trzy lata temu moja siostra, mając dwadzieścia lat, przyjechała do Izraela. Rodzice kupili jej mieszkanie w Beit HaKerem, a ja zajmuję się jego remontem. Znasz Barcelonę?

- Nigdy nie byłam za granicą.

- Wcale mnie to nie dziwi. Zastanawiam się, jak wy w Izraelu radzicie sobie, żeby związać koniec z końcem każdego miesiąca. Życie w Barcelonie jest łatwiejsze, a pensje wyższe. Wyobrażasz sobie, że osiemdziesiąt metrów

kwadratowych w Beit HaKerem kosztowało więcej niż dwieście pięćdziesiąt, które mamy w Barcelonie?

- Masz dziewczynę? - spytała wprost.

Ta sprawa bardziej ją intrygowała niż cena za metr kwadratowy w Izraelu. I tak nie byłoby jej stać na kupno mieszkania, nawet gdyby oszczędzała przez dwadzieścia lat.

Omam się nie udławiła, kiedy odpowiedział twierdząco. Całe szczęście, że nie przeżuwała właśnie sznycła. Trudno. Interesujący facet czy nie, ten rozdział został zamknięty.

- Od dawna?

- Od pięciu lat. Jesteśmy zaręczeni.

Miała mu za złe, że nic jej nie powiedział, zanim przypomniała sobie, że nie pytała go o to.

- I zamierzacie się pobrać?

- Za osiem miesięcy, po moim powrocie do Barcelony - odparł lakonicznie, jakby nie miało to żadnego znaczenia.

Smutno spojrzała na talerz, gdzie królował wspaniały sznycel zmniejszający się w oczach.

- Kiedy wyjeżdżasz? - naciskała, aby wyjaśnić sytuację.

- Za dwa miesiące, po skończeniu prac. Ale co to zmienia? W tej chwili jesteśmy tutaj, ty i ja. Lubię twoje wesołe oczy i chciałbym wiedzieć, dlaczego wyglądasz na smutną.

„Może przez bułeczki od Menassego”, pomyślała, ale wiedziała, że nie zrozumie, i zastanawiała się, dlaczego nie jest ciekaw, czy ona również ma chłopaka.

Zadrżała, kiedy wziął ją za rękę. „Kobieta, która rozpala się w kwadrans, tak samo szybko staje się zimna”, pomyślała.

Chłopak nie odrywał od niej wzroku.

- Myślę o twoich ślicznych nogach, o twojej minispódnicy i o twojej wścieklej minie, kiedy zakazano ci pokazywania ich w biurze, i o twoim śmiechu. Rozśmieszasz mnie.

Nie cofnęła dłoni.

- Cieszę się.

- Zauważyłem.

Nagle zaczął udawać, że gra na trąbce *Love Story*. Wybuchła śmiechem. Imitacja była tak udana, z nadymanymi policzkami, jakby naprawdę grał.

Po skończeniu numeru wziął jej dłonie w swoje i położył je na swojej klatce piersiowej.

Miała nadzieję, że ta chwila będzie trwać wiecznie.

- Znasz inne oryginalne restauracje na świecie? - zapytała, by dodać sobie odwagi.

- W Zurychu i oczywiście w Paryżu. Jest taka, w której podają tylko befsztyki. Nie ma menu. Jedyne, o co cię pytają, to czy wolisz mięso krwiste czy lekko wysmażone.

- A dobrze wypieczone?

- Niemożliwe - odpowiedział z niesmakiem.

Kiedy odprowadził ją do mieszkania, które dzieliła z dwiema okropnymi współlokatorkami, musnął pocałunkiem jej policzek.

- Do jutra rano! - rzucił.

- Gdzie?

- Oczywiście w biurze - odparł, przypominając jej nagle, że pracują w tym samym miejscu i że to tam się poznali.

## JAK MAMA POZNAŁA TATĘ

Moja matka nie mówiła po hebrajsku. Po przyjeździe rodziców z Rumunii tylko tata uczył na ulpan\*, a mama sprzątała. Do tego nie trzeba było znać hebrajskiego. Nie trzeba go też było znać, żeby się porozumieć w Wadi Salib, gdzie w latach pięćdziesiątych mówiono mieszanką marokańskiego, rumuńskiego, jidysz, ladino, arabskiego i polskiego.

Moja matka nie tylko nie mówiła po hebrajsku, była też lekko przygłucha, nie mogła więc nawet nauczyć się zasłyszanych na ulicy słów.

Kiedy miała trzydzieści lat, w Rumunii zaproponowano jej wyleczenie tej wady. Zwykła operacja, małe znieczulenie i tyle, nic by nie poczuła, a mogłaby odzyskać słuch, jak ją poinformowano. Ale mama nie chciała o tym rozmawiać. Nie ufała rumuńskim lekarzom.

\* Ulpan - intensywny kurs hebrajskiego. Pierwsze ulpany powstały wraz z założeniem państwa Izrael w 1948 roku, aby jak najszybciej zintegrować imigrantów z różnych stron świata.

W wieku dwudziestu lat miała atak wyrostka robaczkowego. W szpitalu w Bukareszcie, gdzie przyjęto ją na ostry dyżur, lekarze zapewniali jej zaniepokojonych rodziców, że to tylko lekka operacja, niczego nie będzie czuła dzięki znieczuleniu i wyjdzie z tego jak nowa. Dwie godziny później chirurg z grobową miną poprosił moich dziadków, których nigdy nie poznałam, i powiadomił ich, że operacja się nie udała i jest mało prawdopodobne, aby ich córka Bianka wyszła z tego cała. Dziadek Józef został przy łóżku mojej mamy, babcia natomiast, zalewając się łzami, wybiegła, żeby się zaopiekować dziesięcioletnią córeczką, która czekała na nią sama w domu. Potknęła się, przechodząc przez ulicę, i przejechał ją samochód.

Ciało babci zostało więc przywiezione do szpitala, w którym Bianka, jej ukochana córka, ponownie przechodziła operację wyrostka robaczkowego z powikłaniami. Bardzo szybko zresztą wróciła do zdrowia, bo w obecnej sytuacji musiała się zająć swym owdowiałym ojcem, siedemnastoletnim bratem Marco i młodszą siostrą Auriką.

Bianka wychowała siostrzyczkę jak własną córkę, z miłością i wielkim poświęceniem, jak również z ogromnym poczuciem winy.

Pewnego dnia - kiedy miała dwadzieścia osiem lat - moja matka udała się do studia fotografa Dawida, gdyż pragnęła sfotografować nagrobną stelę swej matki. Dawid z młodszym bratem Jacko prowadził zakład, który odziedziczyli po śmierci rodziców. Z zachwytem przyglądał się młodej, szczupłej kobiecie, elegancko ubranej w długi, brązowy płaszcz i czerwony kapelusik usadowiony na bakier na kasztanowych lokach. Mama miała figlarne, brązowe oczy, wysokie kości policzkowe i alabastrową cerę. W tamtych czasach kobiety nie wystawiały się na słońce i bledość należała do kanonu piękna. Na cmentarzu Dawid

dowiedział się, że babcia zmarła w wieku pięćdziesięciu lat, i spytał, co było przyczyną.

- Zapalenie wyrostka robaczkowego z powikłaniami - westchnęła Bianka.

- Ach, ci lekarze, nie można im ufać! - skomentował Dawid.

- A fotografom można? - przekomarzała się mama.

- Całkowicie. Zdjęcia będą gotowe wieczorem i osobiście przyniosę je pani do domu - zaproponował Dawid, który natychmiast został zaproszony na kolację razem ze swym młodszym bratem.

Bo matka już postanowiła, że za niego wyjdzie.

Co więcej, jeszcze zanim spotkała jego brata, przewidziała, że będzie podwójny ślub: jej z Dawidem i Jacko z Auriką.

Tego wieczoru, kiedy Dawid i jego brat przynieśli zdjęcia, cała rodzina zachwyciła się ostrością kliszy i nazwiskiem babci tak dobrze widocznym na marmurze. Mama przygotowała wyborną kolację, bo wiadomo, że aby zdobyć serce mężczyzny, trzeba podbić jego żołądek.

Bianka opowiedziała Dawidowi, że chce wysłać zdjęcia do Eretz Israel, gdzie mieszkali jej bracia i starsza siostra. Z dumą wspomniała o Niku i Laice, którzy osuszali bagna w Haderze.

Dawid, dla którego temat był pasjonujący, zasypał ją pytaniami o kraj i życie mieszkańców. Spytał również, czy mogłby napisać do Nika i Laiki, bo od dzieciństwa wpajano mu wartości syjonizmu. Teraz, kiedy rodzice już nie żyli, chciał zachować ich miłość do Izraela i zrealizować ich marzenie, osiedlając się tam.

Mama dopięła swego. Pod koniec posiłku Dawid zaproponował, by ponownie się spotkali, a na czwartej randce poprosił ją o rękę, na co matka z radością się zgodziła, pod warunkiem

że zaczekają, aż Aurika osiągnie pełnoletniość, by poślubić jego młodszego brata. Dawid chętnie na to przystał.

W 1941 Dawid oświadczył mojej matce, że postanowił opuścić nazistowską Europę i wyjechać do Izraela, gdzie zamierza stworzyć studio i laboratorium fotograficzne w Haderze. Według Nika w oczyszczanym mieście brakowało siły roboczej. Mama podejrzewała jednak, że Niko chciał tylko, aby wszyscy krewni dołączyli do niego i że przyszłość nie będzie tak różowa, jak twierdził jej brat.

Postanowiono, że Dawid i jego brat wyjadą pierwsi, a kiedy już się urządzią, sprowadzą Biankę i resztę rodziny. To uratowało moją mamę i ciotkę.

Dawid i Jacko wsiedli na statek „Struma” w Konstancy\* z mniej więcej ośmiuset innymi uchodźcami pragnącymi dotrzeć do Izraela. Statek został zatopiony u wybrzeży Istanbuhu w lutym 1942 przez niemiecki lub radziecki okręt podwodny. Wszyscy pasażerowie utonęli.

Kiedy trzy lata później mama wyszła za tatę, nie chciała mieć dziecka - co wówczas było raczej niespotykane - aż do chwili, gdy Aurika znajdzie narzeczonego na miejscu tego, który utonął.

Tata był nieprzytomnie zakochany w Rumunce niezydowskiego pochodzenia, ale siostry skłoniły go, by poślubił Biankę, pannę z dużym posagiem. Bo ich matka, babcia Vavika, ta, która zmarła, gdy miałam prawie sześć lat, i która została wzięta do nieba przez anioły - co widzieli moja siostra i Bóg - nigdy nie pozwoliłaby mu ożenić się z gojką.

Gdy tata się zorientował, że moja matka nie ma posagu, a mama zrozumiała, że on kompletnie nie zna się na fotografii, było za późno: już byli małżeństwem.

\* Konstanca - port w Rumunii nad Morzem Czarnym.

„Ona nie jest nawet w stanie dać mi chłopaka”, złorzyzył tata, kiedy w 1950 w Bukareszcie urodziła się Józefina. Wystarczyło jednak tylko jedno spojrzenie na czarne włosy niemowlęcia i oczy w kształcie migdałów, takie same jak jego, aby podjął decyzję, że chce założyć rodzinę w państwie żydowskim. Mama sprzeciwiała się: nie miała zaufania do tak małego państwa otoczonego przez Arabów, ponadto nie było pewności, że szczęśliwie dotrą do celu, bo zatopiano statki, ale ojciec się uparł. Chciał, aby jego dzieci wychowywały się wśród Żydów i nie znały antysemityzmu. Z pewnością mój ojciec był jedynym Żydem w Rumunii, który nie doświadczył z tego powodu przykrości, bo wszyscy go lubili, ale nie godził się na to, żeby jego dzieci dźwigały ten ciężar.

Tata sprawiał, że wszyscy go kochali. Wszyscy oprócz jego żony. Przyznać trzeba, że on też kochał wszystkich oprócz mamy.

Ojciec, matka i moja ośmiomiesięczna siostra Józefina przybyli więc na ulicę Stanton, do małej kuchni bez okna, bez powietrza i bez widoku.

Matka za wszystko winiła ojca. Po jego rodzinie trudno się było spodziewać czegoś innego, wyrzucała mu. Więc żeby ją uciszyć, zrobili to po raz drugi.

Po moich narodzinach tata znowu pogniewał się na „tę kobiecinę, która nie potrafi zrobić chłopaka”, i odstąpiono nam pokój z balkonem.

Pokój o powierzchni czternastu metrów kwadratowych został przerobiony na kawalerkę z oddzielnym wejściem wychodzącym na podwórze i bezpośrednio na kącik kuchenny. Kuchnia była wyposażona w zlew i blat, pod którym za zasłonką schowany był kocioł do gotowania bielizny.



Obok znajdowała się maluteńka lodówka, do której, jeśli mieliśmy wystarczająco pieniędzy, żeby zaopatrzyć się w blok lodu, ledwo można było wcisnąć arbuza.

Nie gromadziliśmy zapasów jedzenia: mąkę, cukier, kaszę i kawę stawiało się na kuchennym blacie, a ugotowane dania, takie jak ciorbę\* czy mamalygę\*\*, zjadało się tego samego dnia. W czwartek, dzień porządków, mama przygotowywała rosół z kury ze skrzydełkami i kurzymi łapkami, którym tata odrąbywał pazury za pomocą tasaka.

Dla Seffi i dla mnie były zarezerwowane skrzydełka, mama zadowalała się łapkami, a tata jadał poza domem. Najlepsze kawałki, białe mięso i udka, matka zostawiała na szabatowe posiłki.

Wystarczyło zrobić dwa kroki, aby dojść do stopnia, który wyznaczał koniec kuchni i prowadził do salonu-sypialni. Wypełniony po brzegi pokój mieścił trzy łóżka: jedno duże, w którym spałam z siostrą, oraz dwa małe, przysunięte do ściany na wypadek, gdyby się zapadły. Tata odmawiał spania w jednym łóżku z mamą pod pretekstem, że chrapie. Trzecią ścianę zajmowała kasztanowa szafa. Trzymało się w niej pościel i przeróżne przedmioty, między innymi stare kartonowe pudło, w którym mama przechowywała rachatlukum\*\*\* przeznaczone dla znamienitych gości. Wszędzie leżały rozsypane kulki naftaliny. Pachniały tak intensywnie, że mimo ich koloru i kształtu,

\* Ciorba (czorba) - w kuchni bałkańskiej zupa warzywna z pulpetami z mięsa i ryżu; w oszczędniejszej wersji z samych warzyw.

\*\* Mamalyga - potrawa przyrządzana z mąki lub kaszy kukurydzianej, ugotowana na gęsto.

\*\*\* Rachatlukum - galaretka z zagęszczonego soku winogronowego, pokrojona w kostkę i obsypana cukrem pudrem.

nigdy nie pomyliłyśmy ich z cukierkami, na które zawsze byłyśmy łase.

Na środku pokoju królował stół z drewna kasztanowego, na którym leżał blat ze wspinałej szklanej płyty. Była tam po to, żeby drewno nie popękało i się nie zużyło. Stół był sercem domu i spełniał liczne funkcje - jadło się przy nim posiłki, grało się na nim w karty albo co trzy miesiące przemaalowywało żetony do rummy, służył za stół do rysowania dla Seffi, za warsztat dla taty, przesiewało się na nim ryż i mąkę albo łuskało groszek i obierało z ogonków zieloną fasolkę, a wszystko to nad albumem z rodzinnymi zdjęciami.

Przebrani w swoje najpiękniejsze stroje z okazji ślubu tata i mama uśmiechali się do nas z za szklanej płyty. Mama, niezwykle elegancka, pozowała w grubym płaszczu i w kapelusiku niedbale wciśniętym na głowę. Na jednym ze zdjęć była w białej letniej sukience, podkreślającej jej szczupłą sylwetkę, która w tamtych czasach niekoniernie uznawana była za piękną. Lecz tak jak ojciec, matka wyprzedzała swoją epokę, w której chudość była synonimem biedy. Na innym zdjęciu prezentowała się nam liczna rodzina mamy, pięcioro braci i siostr, których historie znaleźmy na pamięć: najmłodszy został w Rumunii, bo komunistyczne władze nie przyznały im paszportów, najstarsza zaś dwójka wyemigrowała w latach trzydziestych do Izraela, gdzie w okolicach Hadery osuszali bagna. Z upływem czasu album powiększał się o zdjęcia zrobione w Izraelu, zwłaszcza z nami, dziewczynkami przebranymi na święto Purim.

Ustawiona w rogu maszyna do szycia ginęła pod pościelą i narzutami trzepanymi na balkonie, a potem układanymi jedne na drugich. Wieczorem, kiedy moja siostra i ja szłyśmy spać, mama wyciągała maszynę spod tego

stosu i zajmowała się łataniem oraz zszywaniem rzeczy, które tego wymagały.

Okno wychodziło na morze. Przeszklony, łukowaty otwór, typowy dla współczesnej arabskiej architektury, otwierał się na balkon, skąd można było zobaczyć i usłyszeć wszystko, co się działo i o czym mówiono na ulicy lub w domu naprzeciwko.

Rodzice zrobili to po raz trzeci w dniu śmierci babci Vaviki. W środku nocy obudził mnie hałas i zobaczyłam nagiego tatę, z wypiętymi w powietrze gołymi pośladkami, leżącego na matce.

Następnego dnia, wściekła, zapytałam go, czy pobił mamę, tak jak Nissim, syryjski sąsiad z góry, który całymi dniami okładał swoją żonę.

Nie, wyjaśnił mi, robił mamie masaży, bo po sprzątaniu bolały ją plecy, a my, egoistyczne córki nie zajmowałyśmy się nią w dzień, więc choć późno wrócił z pracy, był zmuszony natrzeć jej plecy alkoholem.

Odparowałam, że on nie wraca późno z pracy i że mama zawsze przychodzi po nim. Tak bawiłam się z nim w chowanego.

Rodzice często się kłócili, co najmniej raz dziennie. Krzyczeli tak głośno, że było ich słychać po przeciwnej stronie ulicy. Ale nigdy nie posuwali się do rękoczynów, w przeciwieństwie do innych rodzin, w których nigdy się nie kłócono, za to ciągle się bito. Z tego wywnioskowałyśmy z siostrą, że nasi rodzice są szczęśliwi.

\*

Przez następne dwa miesiące w ciągu dnia widywali się w pracy, a noce spędzali czule spleceni w mieszkaniu jego siostry, która wyjechała na wakacje do Barcelony. Pod ko-

niec tygodnia spotykała się z Johnem i rodzicami w Hajfie, dokąd nigdy nie zaprosiła swojego nowego przyjaciela, mimo że często wyrażała taką chęć.

Nigdy też nie zabrała go do skromnego mieszkania, które dzieliła z dwoma zarozumiałymi współlokatorkami. Jej pokój, w rzeczywistości salon, był oddzielony od kuchni dwucentymetrowej grubości płytą ze sklejki zręcznie zamocowaną przez Johna.

Chłopak grał dla niej na wyimaginowanej trąbce i nucił piosenki po angielsku. Po cichu płakała na myśl o ich przyszłym rozstaniu. Śpiewano jej piosenki po hebrajsku i recytowano boliwijskie wiersze po hiszpańsku, ale nikt jeszcze nie grał dla niej na trąbce po angielsku.

W ostatni weekend przed jego wyjazdem obiecała, że wróci w sobotę wieczorem, aby mogli razem spędzić ostatnią noc, ale John nalegał, że odwiezie ją samochodem do Jerozolimy, żeby nie musiała jechać autobusem. Nieotrzymana obietnica i strach, że nie będzie mogła się z nim pożegnać, zanim wróci do swojej narzeczonej z Barcelony, dręczyły ją przez całą drogę.

- Chciałabyś, żebym przeprowadził się do Jerozolimy i żebyśmy razem zamieszkali? - zapytał John, wiedząc, że nie znosi swoich współlokatorek.

- Sama nie wiem.

- Nie wiesz, czy chcesz, żebyśmy razem zamieszkali, czy żebym przeprowadził się do Jerozolimy? - obraził się John.

- I to, i to. Trochę mam już dosyć Jerozolimy. Siostra zaproponowała mi, żebym się przeprowadziła do Tel Awiwu, i zastanawiam się, czy nie przyjąć tej propozycji.

John był zszokowany.

- Teraz mi to mówisz, kiedy już powiadomiłem swojego pracodawcę, że przenoszę się do Jerozolimy!

- Posłuchaj, to nie moja wina - odpowiedziała wściekła, bo przeszkodził jej w spotkaniu z młodym Hiszpanem.

- A kiedy zamierzałaś mi o tym powiedzieć?

Odwróciła głowę.

- Przepraszam, ale dopiero teraz o tym pomyślałam. Gniewasz się?

- Oczywiście. Nawet nie zadałaś sobie trudu, żeby poinformować mnie o swoich planach.

- Wolisz, żebym wysiadła?

- Jak chcesz - odparł, zatrzymując się na wysokości zamku.

Wysiadła z samochodu dotknięta tym, że nie próbował jej zatrzymać, a zwłaszcza tym, że zostawiał ją w środku nocy nie wiadomo gdzie, nie przejmując się terrorystami ani gwałcicielami, którzy mogli ją napaść. Odeszła, nie oglądając się. Kiedy tylko ją minął, bez wahania wsiadła do pierwszego samochodu, który się zatrzymał.

Kierowcę zdziwionego tym, że podróżuje stopem w nocy, zapytała, czy zamierza ją zgwałcić.

- Nie - odpowiedział uprzejmie.

- Więc nie mam się czego bać.

Dwadzieścia minut później wysadził ją przed drzwiami.

John czekał na nią na schodach, pogrążony w ciemnościach. Podskoczyła.

- Przestraszyłeś mnie!

- Przepraszam, nie chciałem. Ale co ci strzeliło do głowy, żeby wysiąść z samochodu?

- A tobie co strzeliło do głowy, żeby zatrzymywać się na środku drogi? - odparła tym samym tonem.

- Kocham cię!

Rozczuliła się i postanowiła podarować mu ostatnią noc miłości.

- Wiem. Chcesz wejść?

Wyłączyła telefon, żeby chłopak z Barcelony nie mógł się z nią pożegnać. Weszli do pokoju za przepierzenie ze sklejki, rozebrali się i w ciszy się objęli.

Po wszystkim zapytał ją, czy przespała się z nim z litości, na co odpowiedziała, że spotkała kogoś innego i sama nie wie, na czym stoi.

John ubrał się i wyszedł bez pożegnania. Chciała go zatrzymać, poprosić, żeby został i nie jechał w środku nocy, ale niczego nie zrobiła.

Następnego dnia chłopak z Barcelony zadzwonił do niej z lotniska. Był rozczarowany, że nie mógł się z nią spotkać poprzedniego wieczoru. Skłamała, że spędziła noc w Hajfie, a rano od razu poszła do biura. Obiecał, że do niej napisze.

Została w Jerozolimie. Dwa miesiące później wybuchła wojna Jom Kippur. Pisał do niej i dzwonił od czasu do czasu, ale nie miała ochoty mu odpowiadać. Był daleko, bezpieczny w ramionach swojej narzeczonej, a tutaj zapas potencjalnych mężów się kurczył i jej przyjaciele umierali każdego dnia. Zadzwoniła do Johna do Hajfy, ale poinformowano ją, że już nie mieszka pod tym adresem. Nie śmiała skontaktować się z jego matką, żeby zapytać o jego nowe zamiary. Było jej wstyd i domyślała się, że gniewał się na nią ze słusznego powodu.

Żeby zapomnieć nieco o swoim lęku i samotności, każdego dnia chodziła do Nahlaot, w odwiedziny do rodziców Kushiego, jej najlepszego przyjaciela z czasów, kiedy studiował w akademii wojskowej w Hajfie. Ich obaj synowie zostali powołani do wojska: Kushi był spadochroniarzem, a jego brat ewakuował helikopterem rannych.

Dziesięć dni później brat Kushiego przyjechał do domu na dwunastogodzinną przepustkę.

Opowiadał im o tej przerażającej wojnie, w której ich koledzy padali jak muchy. Ona w tym czasie zastanawiała się, co czuje matka, której syn rano wyrusza na front, matka, która nie wie, czy następnym razem zobaczy go żywego czy na noszach, jak rannych i zabitych, których ewakuował każdego dnia. Zdecydowała, że zaoferuje jakiś wkład w wysiłek wojenny i pomoże tej jemeńskiej rodzinie, którą kochała. Słuchając strasznej opowieści brata Kushiego, postanowiła dać mu w prezencie siebie. Tej nocy prześpi się z nim. Przynajmniej wróci pocieszony na tę głupią wojnę.

Oczywiście domyślała się, że Kushi, który walczył gdzieś na Synaju, raczej nie byłby zachwycony, dowiadując się, że kochała się z jego młodszym bratem, który dla odmiany pewnie doceni takie pocieszenie. Zresztą zrozumiał od pierwszej aluzji.

- Chcesz kawę taką, jak ja lubię? - zaproponowała.

- Jaką lubisz?

- Bardzo mocną, tak mocną, że przenika cię aż do szpiku kości.

Tak, oczywiście, zgodził się, rezygnując z wyspania się tej nocy.

Gdy tylko rodzice poszli spać, wzięli filiżanki i zamknęli się w pokoju chłopaka, jak gdyby była to najnormalniejsza rzecz na świecie.

On był bardzo namiętny, a ona musiała przyznać, że poświęcenie wojenne sprawiło jej wielką przyjemność.

Kilka dni później chłopak z Barcelony przysłał jej list. Niepokoił się jej milczeniem i pytał o wieści z kraju zagrożonego w wojnie. Wyjaśniła mu, że każdy robi, co może, i wspomniała o swoim zaangażowaniu w wojnę bez zbytecznego wdawania się w szczegóły. Dzień po tym, kiedy otrzymał odpowiedź, zadzwonił do niej z lotniska i oświad-

czył, że właśnie wylądował w Tel Awiwie. Ponieważ przygotowywała się do oddania krwi w szpitalu, gdzie matka jednej z przyjaciółek miała przejść operację, zaproponowała, by tam się spotkali.

Przez dobrą godzinę pielęgniarka starała się znaleźć żyłę w jej ręce. Kiedy przyszedł - pachnący Hiszpanią, w żaden sposób nieobarczony trwogą wojny, która nawiedzała szpital - zaproponował, że zajmie jej miejsce.

„Mam żył pod dostatkiem”, oświadczył.

Przez następne dni spotykali się w pokoju za przepierzeniem ze sklejki zrobionym przez Johna, nie przejmując się hałasem. Jej dwie współlokatorki, mizdrząc się, zaprosiły ich do kuchni na kolację, ale grzecznie odmówili i zamknęli się w pokoju.

Po dziesięciu dniach chłopak wrócił do Barcelony i zerwał zaręczyny. Uznał, że sytuacja wojenna podniosła mu morale. Każdy robił, co mógł.

Już po ślubie wyznał jej, że od dłuższego czasu wahał się co do tej zapatrzonej w siebie córeczki tatusia, która myślała tylko o swoim wyglądzie i paplaniu z koleżankami w kawiarni. Ale nie miał odwagi zerwać zaręczyn, dopóki nie zakochał się w niej tamtego lata, które spędzili razem. Trzeba było, żeby opowiedziała mu o swoim zaangażowaniu w wojnę i aby uzmysłowił sobie, że ten tak kochany kraj był w wielkim niebezpieczeństwie. W ten sposób znalazł wreszcie odwagę i powiadomił o swoich zamiarach rodzinę.

W rzeczywistości jego rodzicom ulżyło. Wcale nie cenili jego narzeczonej, ale nie śmieli mu tego powiedzieć.

Tymczasem, zanim poprosił ją o rękę i zanim spędziła u niego trzy miesiące w Barcelonie, zadzwonił do niej, kiedy była u Józefiny w Tel Awiwie, gdzie zamieszkała,



gdy wzięto do wojska jej szwagra. Powiadomił ją, że przyjadą z rodzicami spędzić Pesach, żydowską Paschę, u jego siostry w Beit HaKerem i że chciałby z nią świętować seder\*.

- A twoi rodzice? Nie wolałbyś raczej zostać z rodziną podczas sederu?

Uspokoił ją. Widział się z nimi przez cały czas i uważał, że ważniejsze, by spotkał się z jej rodziną.

Po długich tajnych naradach z Józefiną zdecydowała, że aby nie spłoszyć przyszłego męża, zapraszając go do jej rodziców do Hajfy, lepiej obchodzić święto u ciotki w Bat Jam pod pretekstem, że to bliżej Jerozolimy.

Kilka miesięcy wcześniej John wyznał jej, że kiedy po raz pierwszy odwiedził jej rodziców, był zszokowany ich biednym, by nie powiedzieć nędznym mieszkaniem na ulicy Hapoel w Hajfie.

Rodzice zadłużyli się do ostatnich swoich dni, aby opuścić podrzędną część miasta i zamieszkać w dzielnicy willowej w Haderze. Józefina wytłumaczyła ojcu, że jeśli się nie przeprowadzą, ich młodsza córka źle skończy i nie będzie miała okazji złowić bogatego męża. Przerażeni rodzice zaczęli poszukiwać jakiegoś mieszkania w przystępnej cenie. Wypruwając sobie żyły, wzięli sporą pożyczkę i znaleźli lokum w domu potwornej brzydoty na ulicy Hapoel. To mieszkanie oznaczało znaczne podniesienie pozycji społecznej, tymczasem John był zdegustowany, stawiając tam po raz pierwszy stopę, po sześciu miesiącach ich flirtu. Trzeba jednak powiedzieć, że chłopak, jego matka i siostra opuścili wspaniałą willę w Boliwii, po tym jak ojciec porzucił ich dla młodej sekretarki. John, stosując znane żydowskie przysłowie:

\* Seder - uroczysta, rytualna kolacja zaczynająca święto Paschy.

„Kto zmienia miejsce, zmienia przeznaczenie”, przekonał matkę, aby wyjechali do Izraela.

Tym razem, aby uniknąć zbędnego ryzyka, siostry zdecydowały, że przyjmą znamienitego gościa u ciotki Auriki, siostry matki, w Bat Jam.

Rodzice zjechali do ciotki dobry tydzień przed świętem, żeby pomóc jej w tradycyjnych porządkach przed Paschą. Józefina sprawiła każdemu nowy strój. Jako że ubranie niespecjalnie jej się podobało, a nie chciała zranić siostry, kupiła sobie w butikiu na ulicy Dizengoff - który miał takie same ceny jak bazar na Karmelu - szarozieloną sukienkę w odcieniu jej oczu, która podkreślała jej kobiecość, mimo że sięgała za kolana. Józefina była na tyle delikatna, że nie zirytowała się tym, a siostrom udało się nawet przekonać Biankę, żeby uszyła sobie nową sukienkę i poszła do fryzjera.

- Mam za cienkie włosy - protestowała matka, nie chcąc wyrzucać pieniędzy na fryzurę, która wytrzyma ledwo trzy dni.

Lecz córki nie odpuściły i tak długo wystawały pod drzwiami fryzjera, aż matka wyszła z mocno wylakierowanymi włosami. Wszyscy, łącznie z wujostwem, wydali prawie miesięczną pensję, żeby zrobić dobre wrażenie na młodym Hiszpanie, i owego dnia, wystrojeni jak spod igły, siedli do starannie nakrytego stołu, czekając na jego przybycie. O dziewiętnastej trzydzieści zadzwonił bardzo zakłopotany, by przeprosić, że nie przyjdzie, ale jego siostra wpadła w furję na wieść o tym, że nie spędzi z nimi sederu, kiedy rodzice przyjechali specjalnie na tę okazję z Barcelony, a ona zadała sobie tyle trudu, żeby wszystko przygotować.

- Nie uprzedziłeś jej? - zdziwiła się.

- Nie sądziłem, że tak źle to przyjmie.

Ze wzrokiem utkwionym w imponującej fryzurze matki zapewniła go, że nic się nie stało. Mąż Józefiny zauważył z humorem, że zapewne w Hiszpanii dzieci słuchają rodziców i młody człowiek ma jeszcze czas, żeby dorosnąć. Była tak rozgniewana, że nawet się nie roześmiała.

- Powiadom swoją siostrę, że moi rodzice przyjechali specjalnie z Hajfy, żeby cię poznać - powiedziała z cichą nadzieją, że mu schlebi.

Tak naciskał, żeby się spotkać z jej rodziną! Była wściekła. Usłyszała, jak pertraktował po francusku z siostrą, która odpowiadała mu z irytacją w głosie.

- Mówi, że nasi rodzice przyjechali specjalnie z Barcelony, żebyśmy mogli spędzić ten wieczór razem - przetłumaczył na angielski.

Usiłowała wyjaśnić po rumuńsku swoim rodzicom, dlaczego jej „narzeczony” nie będzie świętował z nimi sederu.

- Mógłbym wstąpić później na kawę? - zasugerował.

Lecz odrzuciła jego propozycję, nie chcąc, by jej rodzina nerwowo czekała na jego hipotetyczne przybycie do późna w nocy.

- Zobaczmy się jutro... - skwitowała, przełykając rozczarowanie.

Następnego dnia pojawił się u Józefiny z ogromnym bukietem kwiatów i pojechali na przejażdżkę miniaturowym autkiem jej siostry i szwagra. Po drodze złapali gumę i nikt nie protestował, kiedy zaproponował, że zmieni oponę. Zasłużył sobie na to po plamie, jaką dał dzień wcześniej. I nikt nie litował się nad jego dłońmi zabrudzonymi smarem, które musiał znosić przez całą drogę. Byli ściśnięci jedno przy drugim na tylnym siedzeniu małego samochodu i kiedy chciał ją objąć, odsunęła się: nie ma mowy, żeby pobrudził jej białą bluzkę swoimi czarnymi rękami.

Przez dziesięć dni gorliwie jej nadszukiwał, co bardzo jej schlebiało. Otwierał jej drzwi przed wejściem do samochodu, ustępował, żeby ją przepuścić, i pilnował, by iść po prawej stronie chodnika, żeby ją ochronić, w razie gdyby jakiś dom miał się na nich zawalić. W eleganckiej rybnej restauracji, gdzie ją zaprosił, przeciął rybę przez środek, wyjął kręgosłup, pokazał jej, jak ją obkroić z boków, żeby usunąć skórę i ości, a na zakończenie dał jej skosztować ze swojego talerza.

Innym razem zamówił krewetki - nigdy w życiu ich nie jadła. Nauczył ją, jak je obierać, a kiedy podano małą miseczkę z wodą cytrynową i zapytała, czy należy ją wypić, wytłumaczył jej, że służy do obmywania palców. Nalał jej wina, ona zamówiła coca-colę, otworzył butelkę i obsłużył ją, a ona patrzyła na niego osłupiała. To był światowy człowiek o wyszukanych manierach. Nocami pożerał ją na surowo i nucił jej kołysanki, aż przepelniona szczęściem zasypiała w jego silnych ramionach. Czuli się bezpieczni, kochani i tym bardziej go kochali.

Po dwóch tygodniach krewetek, seksu i kołysanek wyjechał z rodzicami, zapraszając ją, by go odwiedziła w Barcelonie najszybciej, jak to tylko będzie możliwe. Przez następne trzy miesiące dzwonił prawie każdego wieczoru i powtarzał, jak bardzo mu jej brakuje. Była wykończona, bo podjęła drugą pracę, żeby móc kupić bilet na samolot i soczewki kontaktowe. Dalej mieszkała w Tel Awiwie u siostry i szwagra, którzy ciężko harowali i oszczędzali grosz do grosza, żeby kontynuować studia w Nowym Jorku. Kiedy wieczorem wracali do domu, w lodówce był tylko coraz mniejszy kawałek białego sera. Gdyby nie Bianka, która przyjeżdżała od czasu do czasu zapełnić ich lodówkę, wszyscy umarliby z głodu.

Pod koniec miesiąca ciężkiej pracy mogła kupić soczewki. Nareszcie będzie można zobaczyć jej oczy.

Uradowana, zadzwoniła do Hiszpana, zapewniając go, że nie pozna jej bez odwiecznych okularów, które miała na nosie od czternastego roku życia. Dzień przed wyjazdem była tak podekscytowana i spięta, że wkładając soczewki do plastikowego pudełka tak niezręcznie je przytrzasnęła, że pękły. Gorzko płakała przez cały lot, chociaż pierwszy raz leciała samolotem. Tak chciała zrobić wrażenie na chłopaku i jego rodzinie. Miesiąc pracy na marne, w dodatku czuła się brzydka, a powiedziała mu, że jej nie pozna.

Tymczasem poznał ją bez trudu mimo okropnych okularów i zapuchniętych oczu.

- Chodź, kupimy nowe okulary - zaproponował. - Ale obiecaj, że zaczniesz się znów uśmiechać.

Ona była za niedrogimi oprawkami, on zaś wybrał inne, ozdobione małymi diamentkami. Świetnie w nich wyglądała, ale kosztowały trzy razy więcej niż model, który wybrała.

- Weźmiemy obie - powiedział do sprzedawczyni.

Uśmiechnęła się do niego, szczęśliwa, że czuje się znowu piękna.

Przytulił ją.

- Odzyskałaś błysk w oku.

- Dokąd jedziemy? - spytała, wsiadając do jego małego seata.

- Zostawić walizkę tam, gdzie będziesz mieszkać, a potem pojedziemy do mnie. Moi rodzice czekają na ciebie.

- Nie będziemy mieszkać razem? - krzyknęła zaskoczona, bo miała nadzieję, że trzy miesiące w Barcelonie pozwolą im się lepiej poznać.

- Tak bym chciał, ale moi rodzice nie zgodzili się, mówiąc, że u nas chłopak nie wyprowadza się z domu przed ślubem. Nawet sobie nie wyobrażasz, w jaki szal wpadł

ojciec. Pomyślałem jednak, że w sumie niewiele to zmieni. Będziemy mieć dla siebie cały dzień.

„Przynajmniej to poważny chłopak”, pocieszyła się.

- Znalazłem ci pokój u mojej sekretarki, która właśnie szukała współlokatorki - kontynuował. - Zobaczysz, jest urocza. Ma na imię Mercedes. Mieszka ze swoim chłopakiem Jorgem w miłej dzielnicy, niedaleko mojego biura.

- Czyli Mercedes i Jorge mieszkają razem.

- Oni nie są Żydami. U nas to bardziej skomplikowane.

Nie rozumiała, dlaczego dwudziestoosmioletni mężczyzna - który przez pięć lat był zaręczony i sam zarabiał na życie - nie mógł zwyczajnie oświadczyć rodzicom, że chce mieszkać ze swoją żydowską narzeczoną, która opuściła kraj, żeby być z nim.

- Przecież twoja siostra wyjechała z domu, kiedy miała dwadzieścia lat, czyż nie?

- Tak, ale na studia. Nie byłoby problemu, gdybym już nie mieszkał w Barcelonie. Lecz moi rodzice jasno zakazali mi mieszkać z tobą. Tego się tu nie robi. Hiszpania jest bardzo katolickim i konserwatywnym krajem.

- Ale ty jesteś Żydem - zamruczała tak cicho, że nie usłyszał. A może i usłyszał.

## JAK TATA POZNAŁ MAMĘ

Mój ojciec nie miał stałej pracy. Ciągłe ją zmieniał, bo nie znał się na żadnym zawodzie. W tym był cały szkopuł.

Pewnego dnia założył agencję nieruchomości ze współnikiem, który całkowicie zdawał się na niego. Tata znał każdy dom w Wadi Salib i w śródmieściu. Miał wielką siłę przekonywania oraz zmysł handlu i uwijał się jak szalony. Koniec końców współnik podłożył mu świnię i wywłaszczył go z interesu, który to on postawił na nogi.

Potem ojciec rzucił się w gastronomię i tu również został oszukany. Następnie zajął się warsztatem, w którym sprzedawano i zakładano opony Alliance, ale znużona mama zwróciła mu uwagę, że nikt w dzielnicy nie posiada samochodu.

Wszedł w spółkę z pewnym Marokańczykiem, aby otworzyć bistro. Schodzili się tam wszyscy z sąsiedztwa, żeby pograć w backgammona\*. Tata przyrządzał bardzo mocną kawę po turecku, a sekret jej smaku polegał na tym,

\* Backgammon - gra planszowa.

że tata wkładał całe swe serce i wiele łyżeczek kawy do finjanu, miedzianego dzbanka. Lecz przedsiębiorstwo nie przynosiło dochodów i musiał je zamknąć z powodu bankructwa.

W międzyczasie tata został osiedlowym artystą grafikiem. Na brystolu pisał hebrajskimi literami szyldy upstrzone wszystkimi kolorami świata: fryzjer, szewc, kawiarnia, agencja nieruchomości. Nic mu za to nie płacono, ale dostawał drobne prezenty, bilety do kina lub darmowe lody dla córek.

Marzyliśmy z siostrą, żeby tata znalazł stałą pracę. Dobrze rozumialiśmy, że stabilizacja jest synonimem finansowego bezpieczeństwa. Bardzo kochałyśmy ojca, ale wiedziałyśmy, że nie możemy na niego liczyć, bo był zbyt hojny i dobroduszny. Był gotowy oddać wszystko z wyjątkiem swoich córek, żeby pomóc bliźniemu. Miał wiele wdzięku, a przede wszystkim takie poczucie humoru, że wszyscy szukali jego towarzystwa.

Tata był przystojny, miał dumną postawę, czarne włosy, zielone oczy w kształcie migdałów, których kąciki lekko opadały, co nadawało mu wyraz smutku i mądrości. To dlatego moja siostra mówiła, że był podobny do Boga. Po nim mam kolor oczu. Józefina odziedziczyła ich kształt. Smutek przekazał nam obu.

W Rumunii moi rodzice mieli kino Nissa mieszczące się przy parku Cismigiu. Tata i mama byli osobistościami w Bukareszcie przede wszystkim dlatego, że widzieli wszystkie filmy i znali wszystkich aktorów. W domu rozmawiali o Grecie Garbo, Judy Garland i Franku Sinatrze, jak gdyby chodzili z nimi do szkoły. Mieli niemalże prawo własności do aktorów z Hollywood, bo to dzięki ich kinu rumuńska publiczność знаła największe gwiazdy świata.



W latach trzydziestych, przed wojną, tata i jego szwagier Hari zajmowali się naprawami.

Chodzili od drzwi do drzwi, proponując swoje usługi, i zawsze znajdowali jakiś złamany parkan, odpadający tynk i gips albo kulawy stół, który wymagał reperacji. Ze swoją swadą tata nie miał najmniejszego problemu, by przekonać panie domu do skorzystania z jego usług. Opisywał, jak zaskoczony będzie małżonek, kiedy po powrocie z pracy znajdzie swoje mieszkanie w dobrym stanie, co przyniesie zasłużoną chlubę Rumunii, a wszystko to za jedyne parę lei i smaczny posiłek. Piękne słówka mojego ojca i zręczność Hariego przekonywały gospodynie i dzięki agresywnej akwizycji, rzadko w owym czasie spotykanej, ojciec i jego szwagier szybko zyskali renomę w tym fachu.

Pewnego dnia, gdy próbowali szczęścia w luksusowych dzielnicach miasta, drzwi swego domu otworzyła im bardzo ładna kobieta.

- Miałyby pani coś do naprawy? - zapytał tata, przyszywając swym zielonym wzrokiem panią Dorman.

- Nie, niczego nie widzę, z wyjątkiem mojego męża.

- Więc z przyjemnością naprawimy pani męża - z czarującym uśmiechem odciął się ojciec.

Ona również się do niego uśmiechnęła.

- Skoro już tu jesteście, moglibyście mi pomóc zaprowadzić go do toalety? Sama nie dam rady.

I poprowadziła ich do ciemnego pokoju, gdzie jej mąż, cierpiący na stwardnienie rozsiane, siedział ze spuszczoną głową w fotelu.

Przez dwa miesiące, po skończonym dniu pracy, ojciec pomagał jej przenosić chorego męża do toalety.

Następnie udało mu się ją przekonać, żeby zatrudniła go w swoim kinie. Tyłko on może ocalić kino przed ban-

kructwem, skoro ona musi zostawać w domu, żeby zajmować się cierpiącym mężem.

Pani Dorman była katoliczką i piękną kobietą arystokratycznego pochodzenia. Jej rodzina należała do najwyższych sfer rumuńskiego społeczeństwa, zbliżonych do kręgów władzy. Stając się jej współnikiem i kochankiem, ojciec oszczędził jej porażki. Wymyślał oryginalne sposoby na przyciągnięcie publiczności. Jego kampania reklamowa pod hasłem: „Wyjdźcie ze swojej skorupy, przyjdźcie do kina!” proponowała dwa filmy i spektakl kabaretu w cenie wejściówki. W trakcie długich przerw między filmami widzowie rzucali się na bufet Vidy, siostry taty, która otrzymała koncesję. Młode talenty - satyrycy, tancerze i śpiewacy - prezentowały swoje umiejętności w czasie antraktu.

Ojciec zwerbował stróżów spośród swoich przyjaciół z Żelaznej Gwardii. Hojnie ich wynagradzał, jakby przeczuwając, że któregoś dnia będzie potrzebował pomocy z ich strony. I rzeczywiście, doskonale utrzymywali porządek, wyrzucając bez zbędnych ceregieli pijaków i innych awanturników.

Na początku drugiej wojny światowej wszyscy mężczyźni, oprócz mojego ojca, zostali wysłani do pracy przymusowej. Jego przyjaciele z Żelaznej Gwardii załatwili mu zwolnienie, poświadczając, że jego praca w kinie jest ważnym wkładem w wysiłek wojenny, gdyż podnosi morale ludności. Nie przeszkodziło im to prześladować Żydów i wydawać ich Niemcom. „Ty nie jesteś jak inni”, mówili do mojego ojca, usprawiedliwiając się.

Siostry taty Vida i Lucyna w dzień pracowały we włoskim przedsiębiorstwie, gdzie naprawiały zadrapane lub podarte szpule filmów. Dzięki wysoko postawionym przyjaciołom taty to zajęcie również uznano za wkład w wysiłek wojenny. Wieczorem pracowały w kinie swojego brata.

Vida i Lucyna były zapalonymi syjonistkami i przez całą wojnę ukrywały walczących Żydów, których poszukiwała Żelazna Gwardia, żeby oddać ich w ręce Niemców. Ukrywały ich pod nosem przyjaciół taty, który całkowicie popierał ich działalność. Pomagały również młodym uciekinierom z obozów wyjechać do Izraela. Przez parę miesięcy Lucyna przechowywała nawet Icchaka Artziego, ojca Shlomo Artziego - słynnego śpiewaka izraelskiego - póki nie wyemigrował do Izraela.

Vida gościła czterech młodych Żydów, którzy uciekli z Polski i Rosji. Za dnia siedzieli w ukryciu, a nocą wychodzili zaczerpnąć powietrza na rowerku małej Lori.

Lori, która miała osiem lat, usilnie starała się zwrócić na siebie uwagę. Pewnego dnia, a było to w czasie wojny, zaproszono ją na urodziny. Włożyła swoją najpiękniejszą sukienkę i przyniosła bardzo drogi prezent. Po przedstawieniu odegranym przez prawdziwego magika i nagrodzonym gorącymi brawami, Lori stwierdziła, że ona również umie robić sztuczki.

- Co na przykład? - zapytano ją.

- Umiem połykać guziki i szpilki do włosów - oświadczyła, a swoje słowa poparła czynem.

Następnej nocy miała czterdzieści jeden stopni gorączki. Vida bała się posłać córeczkę do szpitala, przekonana, że zabiją ją tam, bo jest Żydówką.

Tata uspokoił siostrę. Miał przyjaciela lekarza, który pracował w szpitalu. Zawiózł tam Lori, jadąc za kolumną motocyklistów na sygnale - jego przyjaciół z Żelaznej Gwardii - jakby chodziło o królewską eskortę. Po przybyciu do szpitala motocykliści pożegnali tatę, życząc Lori szybkiego powrotu do zdrowia. Ojciec wytłumaczył swojemu przyjacielowi lekarzowi, że jego siostrzenica musi być niezwłocznie operowana.

- Odwdzięczę ci się - obiecał.

Lori została więc przeniesiona na blok operacyjny, gdzie wyjęto guziki i szpilki, które połknęła, żeby się popisać. Wieczorem chirurg oglądał spektakl wystawiany w music-hallu taty, z młodą śpiewaczką siedzącą na jego kolanach.

Kiedy trzy dni później Lori wyszła ze szpitala, silne trzęsienie ziemi - dziewięć stopni w skali Richtera - zatrzęsło Bukaresztem. Połowa miasta została zniszczona. Przerażona Lori zbiegła po schodach i wszystkie szwy się otworzyły. Tata musiał zabrać ją do szpitala, gdzie chirurg ponownie ją pozszywał.

Następnego dnia znowu zatrzęsła się ziemia, ale tym razem Lori nawet się nie ruszyła. Najwyraźniej wolała trzęsienie ziemi niż szpital.

Łazarz - mąż Lucyny i szwagier taty - został wysłany do obozu pracy: odśnieżał tory w okolicy Bukaresztu. Nabawił się przy tym tak ciężkiego zapalenia płuc, że gdyby nie pomoc Marco, młodego brata mamy, który był dentystą i odpowiadał za aprowizację obozu, byłoby po nim. Marco leczył go z wielkim poświęceniem i przepisał mu antybiotyki, które potracił ze swojego zapasu. Tak oto Łazarz wyszedł z tego *in extremis*.

W ramach podziękowań Łazarz pomógł znaleźć Marco partię dla jego siostry Bianki, „dziewczyny” trzydziesto-dwuletniej. Opowiedział mu o swoim szwagrze, trzydziestoczteroletnim kawalerze, zapalonym właścicielu kina. Pilnował się przy tym, żeby nie napomknąć o pani Dorman, katolickiej kochance ojca.

Kiedy Marco wspomniał o posagu, tata zgodził się na spotkanie. W tamtym czasie ojciec miał żal do swojej kochanki o to, że nie chciała opuścić chorego męża i wyjść za niego, mimo iż wiedział, że matka, siostry i szwagrowie nie pozwolą mu ożenić się z nie-Żydówką.

Mama, która pracowała jako księgowa, była chuda, ale dobrze zbudowana, elegancka i wykształcona. Zrobiła dobre wrażenie na rodzinie ojca, chociaż nie zapalali do niej szczególnie gorącym uczuciem.

„To aszkenazyjska\* snobka, nie tak serdeczna jak my, sefardyjczycy\*\*”, myśleli. Ale wyglądała na kobietę inteligentną oraz kulturalną i sądząc po jej ubiorze, można było domniemywać, że miała majątek.

Tata zgodził się więc poślubić Biankę.

Pobrali się bez miłości. Mama natychmiast wetknęła nos w zarządzanie i rachunki kina. Przywróciła należyty porządek i pilnowała, by liczni, niewypłacalni przyjaciele taty nie wchodzili bez normalnego biletu. „Nie mamy tutaj zniżek”, mawiała.

Tata zatrudniał w kinie całą swoją rodzinę i wielu przyjaciół. Lubił pomagać. I to samo robił w Izraelu, zapominając, że niczego już nie posiada.

Został sprzedawcą kawy.

Przemierzał śródmieście z piętrową tacą o trzech półkach i sprzedawał rumuńską, bardzo mocną kawę, której aromat rozlewał się po całym Wadi Salib. Kawę kupował wyłącznie u braci Nisnes, Arabów, którzy mielili ziarna, wsypywali je do torebek z brązowego papieru i dawali nam gratis baklawę\*\*\* oraz pistacje.

Przygotowanie napoju odbywało się zgodnie z niezmiennym rytuałem. Odmierzało się wodę i wlewało się ją do finjanu z dwoma sporymi łyżeczkami cukru. Potem dodawało się kawę, kopiał łyżeczkę na filiżankę, i wszystko

\* Aszkenazyjczycy - Żydzi ze środkowej, wschodniej i częściowo zachodniej Europy posługujący się językiem jidysz.

\*\* Sefardyjczycy - Żydzi z Półwyspu Iberyjskiego mówiący językiem ladino.

\*\*\* Baklawa - arabskie ciasteczka z migdałami lub orzechami.

doprowadzało się do wrzenia. Następnie trzeba było naczyniem wstrząsnąć, żeby po paru minutach fusy dobrze się wymieszały z gęstym płynem.

Mama nie znosiła rozrzutności taty. Czekala, kiedy nie będzie go w kuchni, żeby się tam wślizgnąć i oszczędzić jedną lub dwie łyżeczki kawy, które z powrotem wkładała do torebki, zanim zdążyły zatonać w gotującej się wodzie. Przedsięwzięcie nie zawsze kończyło się powodzeniem, ponieważ tata był bardzo spostrzegawczy i często to zauważał. Pośpiesznie dosypywał kawę, którą mama uszczknęła, i dorzucał jeszcze parę łyżeczek, żeby ją rozzłościć.

Mama wrzeszczała wniebogłosy, że to ze szkodą dla naszego posagu, ale dobrze wiedziałyśmy, że jeśli chodzi o posag, to i tak żadna z nas nigdy go nie zobaczy. Zresztą nie przejmowałyśmy się posagiem. Po pierwsze dlatego że nie znałyśmy znaczenia tego słowa, nie miałyśmy więc pojęcia, co tracimy, a po drugie zawsze trzymałyśmy stronę taty. Czego w sumie pragnął? Korzystać z życia, podczas gdy mama myślała tylko o przyszłości swoich córek. Krótko mówiąc, tata był z natury optymistą, a matka była rozważna.

W sobotę wieczorem chodziliśmy do kina. Miłość do dziesiątej muzy była jedyną rzeczą, która ich łączyła. I zawsze nas ze sobą zabierali, żeby wzbogacić naszą kulturę.

Kiedy wyświetlono w Izraelu *Dziesięć przykazań*, matka zgadła, że ten film odniesie wielki sukces. Tydzień wcześniej zdobyła dwadzieścia miejsc i w dniu, kiedy niekończąca się kolejka tłoczyła się przy kasie, sprzedała bilety po wyższej cenie. W Izraelu, nie znając ani jednego słowa po hebrajsku, mama prowadziła nielegalny handel. Byliśmy z niej bardzo dumni, nawet tata, ale patrząc na tłum, który musiał odejść z kwitkiem, żalowaliśmy, że nie wykupiła pięćdziesięciu miejsc.

Trzy razy widzieliśmy *Oklahomę!* Ale pierwszy raz okazał się klapą. Film był wyświetlany w kinie Tamar położonym na wzniesieniach Hedaru, bardzo daleko od ulicy Stanton. Po męczącej wspinaczce tata, Seffi i ja dotarliśmy do kina bladzi i ledwo żywi. Okazało się, że tata miał pieniądze tylko na dwa bilety, bo film trwał trzy godziny i cena została podniesiona. Na próżno prosił kasjera: przyszliśmy z daleka, nie mam więcej pieniędzy, a nie mogę zostawić samych moich małych córeczek. Mężczyzna o sercu z kamienia nie chciał o niczym słyszeć, musiałyśmy więc z moją siostrą zostawić tatę na zewnątrz. W czasie przerwy rzuciliśmy się w jego ramiona, prosząc kasjera, żeby pozwolił mu wejść - nasz biedny tata czekał przed kinem półtorej godziny, a ponadto stracił połowę filmu. Pracownik pozostał niewzruszony. Prawdziwy nazista. Tata czekał na nas kolejne półtorej godziny, a my byłyśmy tak smutne, że zepsuło nam to całą przyjemność. Wychodząc, przeklełyśmy na głos kasjera, tak żeby usłyszał: „Ażebyś został pochowany w grobie tego potwora Hitlera!”.

W każdy czwartek mama robiła nam strasznie długą kąpiel. Jak gdyby dwugodzinne moczenie się w wodzie było jedynym sposobem na zmycie z siebie brudu!

- Jutro będziemy mieli szacownego gościa - wytłumaczyła nam, kiedy siedziałyśmy jak zwykle na wpół uśpione w pianie. - Odwiedzi nas Ionesco, znany dramaturg.

- Kto to jest znany dramaturg? - zapytałam mamę, bo Józefina przyznała, że nie wie.

- To ktoś, kto pisze sztuki teatralne.

Zastanawiałam się, jak można pisać teatr, skoro teatr się ogląda jak kino, a nie czyta jak książki.

- A dlaczego Ionesco przyjdzie nas odwiedzić? - spytała Józefina jak zawsze pragmatyczna.

- Przychodzi do cioteczki Marii, to jeden z jej przyjaciół.

Moja siostra zaniepokoiła się. Dom cioteczki Lucyny i tak był już dość przepełniony.

- Będzie u nas mieszkał?

- Ależ nie, przyjeżdża zobaczyć Izrael. Nie zostanie tu na zawsze - uściśliła mama, marynując nas w tej kąpielii dłużej, niż to było uzasadnione.

Nasz znakomity gość przybył następnego dnia. Był to tak ważny człowiek, że cioteczka Lucyna otworzyła czerwony pokój, rozstawiła krzesła i zaprosiła wszystkich na obiad.

Cioteczka Maria była ciotką mojego ojca, Lucyny i Vidy, jego sióstr. Kiedy przyjechała do Izraela, żeby tu dopełnić swoich dni, przydzielono jej małą kuchnię. Musiała poczekać, aż Dori, najmłodszy syn cioteczki Lucyny, zaciągnie się do marynarki - wtedy mogła przenieść się do pięknego pokoju z balkonem, co zresztą jej się należało, biorąc pod uwagę jej wiek i erudycję.

Przed wojną cioteczka Maria była profesorem francuskiego w Paryżu, gdzie poznała swojego męża, nie-Żyda. Pojechała z nim do Tunezji, a on został konsulem Francji. Mieli jedną córkę Odettę, ale cioteczka Maria równie gorliwie nauczwała francuskiego dzieci z kolonii. Jakiś czas później szaleńczo zakochała się w tunezyjskim oficerze. Kiedy konsul się o tym dowiedział, rozwiódł się i powrócił do Paryża z małą Odettą. Cioteczka Maria przyjechała sama do Rumunii, gdzie w Bukareszcie prowadziła szkołę francuskiego dla dziewcząt z dobrych domów. Wróciła do swojego panińskiego nazwiska Frank, którego chrześcijańskie brzmienie pozwoliło jej w spokoju prowadzić działalność zawodową podczas wojny. W liceum nauczwała o dziełach Eugene'a Ionesco. Kiedy przeszła na emeryturę,



dołączyła w Izraelu do jedynych krewnych, jacy jej zostali, i zajęła się uczeniem Józefiny i mnie francuskiego. „Jest to międzynarodowy język, który powinien znać każdy wykształcony człowiek, aby poradzić sobie w wielkim świecie”, oświadczyła. Postanowiła wzbogacić nasze umysły i przekonania: byliśmy bowiem ostatnimi potomkiniami szacownej rodziny Frank. Cioteczka Maria uświadomiła nam, że po hiszpańsku „franco” znaczy „wolność”. Wyjawiła nam również, że nasi przodkowie wywodzili się z największych bogaczy Hiszpanii i po wygnaniu Żydów osiedlili się w Turcji, potem w Bułgarii i Rumunii.

Dowiedziawszy się, że tata był ostatnim z rodu Frank i że moja siostra oraz ja, nie będąc chłopcami, przerwałyśmy tę szlchetną linię, postanowiłam nauczyć się francuskiego, żeby uciszyć wyrzuty sumienia. Józefina zawsze lubiła się uczyć i chętnie na to przystała.

Mama poleciła nam ubrać się odpowiednio, jak na prywatne lekcje francuskiego przystało, żebyśmy nie wyglądały jak obdartusy.

Ładnie ubrane i starannie umyte przeszłyśmy przez korytarz, który prowadził z naszego pokoju do pokoju cioteczki Marii

Przez mniej więcej dziesięć lekcji przerabiałymy *Bonjour, comment ça va* i *Frère Jacques*, odmówiłam więc dalszej nauki. Poza tym zrezygnowałam z jednej z trzech wolnych godzin, którymi dysponowałam po południu, i wdychanie zapachu starości, jaki wydzielala cioteczka Maria, na rzecz przedmiotu, który nie był obowiązkowy, nie wydawało mi się warte poświęcenia. Ponadto zwróciłam uwagę mojej siostrze, że wszystkie filmy w kinie były po angielsku, a nie po francusku, co stanowiło dowód na to, że ten język nie był tak niezbędny, jak twierdziła cioteczka Maria. Lekcje zostały przerwane. Nie wiem, dlaczego ciotka odmówiła uczenia

spragnionej wiedzy Józefiny. Być może miała wrażenie, że daje prywatne lekcje, podczas gdy z nami dwoma mogła się czuć jak w swojej klasie, której tak jej brakowało.

Siostra nigdy mi tego nie wybaczyła. Przeze mnie nie nauczyła się francuskiego. Ani muzyki, ani jazdy na rowerze. Nasi rodzice byli zbyt biedni, żeby zapłacić za lekcje gry na pianinie, a Hajfa zbyt stroma, by po niej jeździć na rowerze.

Ionesco przybył więc do Izraela, szukając inspiracji w naszym malutkim kraju. Sławny dramaturg nie miał wątpliwości, że po Shoah państwo żydowskie będzie idealnym miejscem do napisania nowej sztuki, a nowe krajobrazy dostarczą mu innego natchnienia niż jego codzienne, europejskie źródła.

Przez pięć dni Ionesco zwiedzał Hajfę w towarzystwie taty. Był zachwycony widokiem rozciągającym się z góry Karmel aż po samo morze, a także złotą kopułą świątyni Bahai, chluby miasta. Przemierzali schody i zbocza prowadzące z góry Karmel do śródmieścia, w którym królował mocny aromat kawy (oczywiście dzięki tacie), i spacerowali między robotnikami wśród mozaiki kolorów i grup etnicznych, prawdziwej wieży Babel, gdzie mówiono po arabsku, rumuńsku, w jidysz, po polsku, turecku, a zwłaszcza po marokańsku.

Wszyscy się tu znali i mieli taki sam ceł, mimo że pochodzili z czterech stron świata. I do tego wszyscy byli Żydami. Oprócz Arabów, ale dla nas oni nie bardzo różnili się od Żydów.

Ionesco był zafascynowany tym, że narodowi, który stracił sześć milionów współbraci, udało się stworzyć państwo. Ze wszystkich stron byliśmy otoczeni przez wrogów, a mimo to mieliśmy swoją ojczyznę. Tata wyznał temu

wielkiemu człowiekowi, że ani przez moment nie żałował, że opuścił Rumunię - gdzie żyło mu się względnie swobodnie, pomijając przejęcie kina przez komunistów - i z dumą wychowywał swoje córki w Izraelu, chociaż żeby przetrwać, musiał zostać sprzedawcą kawy.

Po pięciu dniach Ionesco oświadczył tacie, że widział wystarczająco wiele, żeby napisać co najmniej dziesięć sztuk, gdyby chciał.

Na podstawie przeżyć i wrażeń, jakie przywiózł z podróży do Izraela, Ionesco napisał *Krzesła*, inspirowany pokojem ciotki Lucyny i jej męża Łazarza, fryzjera męskiego. Opisał szczegółowo pokój, z dużym łóżkiem w rogu i trzy-metrowej długości mahoniowym stołem otoczonym tyłoma krzesłami, ile jego gigantyczne rozmiary mogły pomieścić. Reszta identycznych krzesel została rozstawiona pod ścianą: masywne, ręcznie rzeźbione i obite czerwonym aksamitem, w który miękko się zapadało. Można powiedzieć - żołnierzyki na straży. Sztuka Ionesco przedstawia staruszkę i jego żonę czekających na fikcyjnych gości. Staruszkowie popadają w obsesję i cały czas dostawiają nowe krzesła dla swoich wymaganych gości.

*Krzesła* to dom pod numerem 40 przy ulicy Stanton. W każdym razie nasza rodzina się tym szczeni.

Co do ojca, który przez pięć dni nie szczędził trudu, by pomóc Ionesco w znalezieniu inspiracji, a potem z niecierpliwością czekał na premierę sztuki, odkrył, że nawet nie podziękowaliśmy mu za wizytę.

\*

Mercedes otworzyła im z szerokim uśmiechem na ustach, rzuciła dźwięczne *hola* i pocałowała ją w lewy, prawy i jeszcze raz w lewy policzek.

Wzdrygnęła się, nie rozumiejąc, dlaczego musi całować nieznajomych. Chłopak wyjaśnił jej, że w Hiszpanii zgodnie ze zwyczajem wszyscy całują się trzy razy na powitanie. We Francji zadowolają się jednym całusem na każdy policzek, dorzucił. Wydało jej się to dziwne.

Wieczorem, kiedy poznała Jorgego, który obdarował ją trzema całusami, zapytała chłopaka, czy powinna całować wszystkich mężczyzn, których spotka w Barcelonie. On uważał ten zwyczaj za miłszy niż słabe uściski dłoni Izraelczyków, jakby dawali jałmużnę, dodał. Zgodziła się, przypominając sobie, jak energicznie uściśnął jej dłoń w dniu, kiedy się poznali.

- Więc dlaczego nie pocałowałeś mnie pierwszego dnia w biurze?

- Wyobraź sobie, że umierałem z chęci, żeby to zrobić.

- Powinieneś być.

- A gdybym dostał policzek?

Kiedy już się wycałowali, okazało się, że nie są w stanie zamienić choćby słowa. Jak większość jej rodaków Mercedes mówiła tylko po hiszpańsku i katalońsku. Była piękną, serdeczną dziewczyną, modnie ubraną w błękitną bluzkę, dzinsy i buty na obcasie.

Pokój, w którym chłopak położył walizkę, był ciasny, pokój Mercedes dużo większy, a salon wygodny. Wszystko lśniło czystością. Kiedy jadała z nim obiady - nauczyła się kilku słów po hiszpańsku - widywała Mercedes, która wracała z pracy objuczona zakupami. Nie tracąc ani chwili, młoda kobieta wkładała do pieca kurczaka, myła podłogi i podawała whisky Jorgemu, który gnuśniejąc w fotelu, oglądał sport w telewizji. Po skończonym posiłku Mercedes pośpiesznie zmywała naczynia i sprzątała kuchnię. Jeśli Jorge był w dobrym humorze, szła za nim do ich pokoju,

wydawała z siebie parę jęków, po czym szybko wracała do biura o szesnastej trzydzieści i opuszczała je cztery godziny później. Dziewczyna zastanawiała się, skąd Mercedes ma na wszystko siły i jeszcze się uśmiecha, podczas gdy jej towarzysz wyleguje się przed telewizorem. Jorge był w stanie opróżnić pół litra whisky w trakcie południowej sjssty. Lecz kiedy porywał swoją ukochaną do pokoju, słyszała tylko jęki Mercedes, która nigdy nie czerpała z tego przyjemności.

Chciała rozpakować walizkę - przywiozła ze sobą garderobę na trzy miesiące - ale chłopak przeszkodził jej, bo jego rodzice czekali na nich z niecierpliwością. Natychmiast poczuła się winna, że spóźnili się przez tę historię z jej okularami.

Umierała z głodu, zwłaszcza po trzech miesiącach umartwiania się, które narzuciła sobie, aby móc zapłacić za podróż do Hiszpanii.

Zjechali na podziemny parking luksusowego bloku i zaparkowali obok nowego bmw. „To samochód mojego ojca”, zaznaczył. Wjeżdżając windą na dziesiąte piętro, miała wrażenie, że śni na jawie.

Chłopak otworzył drzwi, zawołał „mamciu” i powiedział po francusku, że już są. Nie miała problemu ze zrozumieniem, bo podobnie było po rumuńsku. Weszli do kwadratowego przedpokoju - o rozmiarach salonu jej rodziców - którego jedna ściana, podtrzymywana przez marmurowe filary, pokryta była lustrami. Na drugiej znajdowały się drzwi ozdobione boazerią w motywy roślinne. Hiszpan położył swoją aktówkę na krześle obitym czerwonym aksamitem, które stało przy wejściu.

Piękna, pulchna kobieta o niebieskich, dobrodusznym oczach przywitała ich szerokim uśmiechem i trzema cał-

sami. Za nią wyłonił się postawny mężczyzna o przenikliwym niebieskim spojrzeniu, z dołeczkiem w brodzie jak u Kirka Douglasa i uściśnął jej rękę. Chłopak przedstawił jej swoich rodziców, Lunę i Alberta, po czym tkwili przez chwilę w milczeniu nieco skrepowani. Ojciec biegle mówił po hebrajsku, którego nauczył się w młodości w Bułgarii, w Ha-Szomer ha-Cair\*. Gdy tylko zwróciła się swoją niepewną angielszczyzną do matki, ojciec i syn pośpiesznie zaczęli tłumaczyć.

Salon zaparł jej dech w piersiach. Był ogromny i składał się z dwóch oddzielnych przestrzeni: kącika telewizyjnego, w którym przeważnie siadywali rodzice, i drugiego, przeznaczonego dla gości, gdzie stała kanapa z czerwonego akсамitu długa na całą ścianę. Jadalnię sąsiadującą z salo-nem zajmował stół na szesnaście osób. (Przypomniała sobie, że kiedy jej rodzice zapraszali wszystkich wujków i ciotki na seder, trzeba było upchnąć część gości w mieszkaniu sąsiadów, żeby pomieścić szesnaście osób). Biały obrus haftowany w delikatne niebieskie kwiaty przykrywał stół nakryty jak do świątecznego posiłku, a zastawa leżała na gustownych serwetkach. Na każdego z biesiadników czekały duży i mały talerz obstawione dwoma kieliszkami, jednym na wodę, drugim na wino. Miedziany koszyk na chleb wyłożony białą serwetką, półmiski z plasterkami różnych warzyw - czerwonej papryki, pomidorów, ogórków i cebuli - oraz miseczka grzanek wypełniały stół.

Podziwiała blask kryształowego żyrandola zawieszonego pod sufitem jadalni, zachwycające obrazy zdobiące ściany salonu, dużą ceramiczną rzeźbę stojącą na podłodze w kącie, wspianą zastawę widoczną w kredensie

\* Ha-Szomer ha-Cair - międzynarodowa żydowska organizacja młodzieżowa dążąca do budowy żydowskiej państwowości w Palestynie.

i zastanawiała się, czy jej prezent nie oszpeci tego przepychu. Nawet nie wyjęła go z torby, którą przyciskała do serca podczas całej podróży - była to figurka z niebieskiego fajansu, którą kupiła z siostrą na ulicy Dizengoff. Zakochała się w niej od pierwszego wejrzenia. Przedstawiała kobietę z profilu, o podniesionej głowie i ramieniu wzniesionym w geście odmowy lub prośby. Z jej delikatnego ciała, które krzyczało: „Jestem, czy tego chcecie czy nie!”, emanował rzadki rodzaj energii, a spojrzenie wyrażało współczucie.

Figurka bardzo spodobała się rodzicom chłopaka. Mama ustawiła ją na honorowym miejscu w kredensie w jadalni.

Dziewczyna poczuła się znacznie lepiej. Następnie zasiadła do stołu. Matka na końcu na honorowym miejscu, mąż po jej lewej stronie, syn po prawej, a dziewczyna obok niego.

Gospoia Laura przyniosła dużą wazę zupy i postawiła ją przed panią domu, która zaczęła serwować, zaczynając od gościa, potem nalała sobie, synowi, a na końcu mężowi.

Dziewczyna zdziwiła się, że jest obsługiwana jako pierwsza. U niej mężczyźni mieli zawsze pierwszeństwo przed kobietami. Czyżby dlatego, że była gościem? Lecz wieczorem, kiedy na kolację zaproszono całą rodzinę, zauważyła, że matka najpierw obsługiwała kobiety, a potem mężczyzn. Co było zgodne z naturalnym stanem rzeczy.

Na przystawkę podano gazpacho, typową potrawę hiszpańską - zupę z warzyw na zimno, o apetycznym pomarańczowym kolorze, w której pływał lód. Dodawało się do niej wszystkie warzywa, jakie były na stole, oraz grzanki. Przyglądała się młodemu Hiszpanowi i robiła dokładnie to co on, kierując się radą, jakiej udzieliła jej siostra, odprowadzając ją na lotnisko: żeby się nie ośmieszyć, należy zachowywać się tak jak inni. Położyła serwetkę na kolanach i dokładnie odmierzała każdą łyżkę - ani za dużo, żeby nie sprawić wrażenia, że się obżera, ani za mało, żeby nie urazić gospo-

dyni. Nie pomieszała sztuczków odpowiednich do każdego dania i oczywiście nie pomyliła szklanki na wodę ze szklanką na wino. Zupa była wyśmienita, ale dziewczyna nie śmiała wziąć dokładki, jaką proponowała jej matka. Pogratulowała sobie tego, bo po następnym daniu - warzywnej sałatce z majonezem i korniszonami - była już najedzona.

Sałatka była doskonała, lepsza niż jej matki, która przyrządzała ją z resztek warzyw z rosółu z kury. Tutaj było oczywiste, że składniki zostały specjalnie przygotowane.

- To hiszpańska sałatka?

- Nie, to przepis jednej z moich przyjaciółek, Ruth, ale majonez jest domowej roboty - odparła matka, dodając, że od lat zbiera przepisy.

Dziewczyna nie rozumiała, dlaczego Luna męczy się, własnoręcznie robiąc majonez, skoro o wiele prościej było kupić słoik w sklepie za rogiem.

Jednakowoż sałatka była tak wyśmienita, że zapomniała nawet o swojej wściekłości z powodu tego idiotycznego zakazu mieszkania pod jednym dachem z młodym Hiszpanem.

Nie pytając o zdanie, ojciec nalał jej wino, podobnie i pozostałym, i wszyscy stuknęli się kieliszkami, wołając *Lechaim!*\* Kiedy chłopak spytał, czy smakuje jej wino, odparła, że tak, chociaż nie była w stanie odróżnić wina z doskonałego szczepu od marnego sikacza.

Kiedy Laura zbierała brudne talerze, dziewczyna zastanawiała się, czy powinna jej pomóc, czy byłoby niegrzecznie wstawać od stołu. Ale skoro chłopak nie ruszał się z miejsca, zrobiła to samo. Później tego żałowała i wieczorem przy kolacji zdecydowała się pomóc Laurze uprzątnąć stół, co spotkało się z dużym uznaniem.

\* *Lechaim!* - po hebrajsku: „na zdrowie”.



Zresztą Luna nie zapomniała o gosposi, która te same posiłki jadła sama w kuchni.

Potem Laura przyniosła salaterkę z zielonym groszkiem i drugą z ziemniakami z przyrumioną cebulką, a także duży półmisek z pokrojonym przez ojca udźcem jagnięcym, którym matka częstowała wokół stołu. Domyślając się, że dziewczyna jest onieśmielona, chłopak wypełnił jej talerz po brzegi. Trzeba przyznać, że mięso rozpływało się w ustach, nigdy wcześniej nie jadła równie delikatnego.

Starła się dokładnie gryźć i pamiętała, żeby zamykać usta, jak radziła jej siostra. Było to strasznie trudne. Z tego powodu nie odważyła się wykrztusić ani słowa, żeby nie mówić z pełną buzią. A poza tym lepiej było siedzieć cicho i słuchać innych, niż opowiadać głupoty, ryzykując, że popełni się jakiś nietakt przy tej wpływowej rodzinie z żydowskiej wspólnoty w Barcelonie.

Matka przerwała jej ćwiczenia w przeżuwananiu.

- Chce pani trochę czosnku?

- Nie, dziękuję.

- Widzi pani, nie dodaję czosnku. Alberto go nie lubi, ale wiem, że Rumuni za nim przepadają.

- Bułgarzy również, poza mną - dodał ojciec.

- Pani matka używa czosnku? - zagadnęła Luna.

- Tak. Je go nawet na śniadanie ze względu na ciśnienie.

- Rzeczywiście, jest bardzo dobry na ciśnienie. Ja uwielbiam czosnek - przyznała Luna.

Dużo później zdradziła jej, że dodaje go do potraw bez wiedzy męża. Bo jedzenie dobrego mięsa bez czosnku jest herezją, czyż nie? •

- A ponieważ Alberto jest cukrzykiem, gotuję także bez cukru - rzekła poufnie.

Skończyli danie główne, dyskutując o spadku cen złota i nieodbornym czasie na sprzedaż kruszcu. Starła się śle-

dzić rozmowę po francusku w tym samym czasie co tłumaczenie ojca i syna na hebrajski i angielski. Kiedy wreszcie Laura uprzątnęła zastawę, dziewczyna chciała wstać od stołu, sądząc, że po czterdziestu minutach i trzech daniach posiłek jest już skończony. Lecz kiedy zobaczyła Laurę niosącą zieloną sałatę i nowe talerze, pomyślała, że pewnie zapomniała podać ją z udźcem. Ale w przypadku tak wprawionej gospodyni jak Laura roztrzępanie było niemożliwe. Zauważywszy jej zdziwienie, Luna wyjaśniła, że w Paryżu po daniu głównym jada się sałatę, żeby ułatwić trawienie. Dziewczyna zadowolila się kilkoma liśćmi. Sałata oczywiście była wyśmienita, lecz dziewczyna nie osmieliła się zapytać Luni o przepis na sos. Kiedy była pewna, że tym razem już naprawdę skończyli, pojawiła się Laura z ogromnym wyborem serów: camemberta i różnych rodzajów kozich serów na drewnianej tacy. Było tam wszystko oprócz mdłego żółtawego sera, do którego dziewczyna była przyzwyczajona. Niczego nie tknęła, bo była najedzona co najmniej na dwa następne lata. Nie wiedziała, że czekało ją jeszcze ciasto do kawy, a wieczorem wszystko miało się powtórzyć od nowa. Kolejność każdego posiłku, który trwał ponad godzinę - lub dwie, jeśli byli goście - zawsze była taka sama: przystawka, pierwsze danie, danie główne, sałata, sery, owoce, kawa i ciasto.

Nigdy w życiu tyle nie zjadła ani nie próbowała tak wykwintnych dań. W dodatku dwa razy dziennie! Nic dziwnego, że matka Hiszpana jest pulchna.

Kiedy dwadzieścia minut później chłopak wstał, grzecznie dziękując rodzicom po francusku, pośpiesznie uczyniła to samo, obawiając się, że pojawi się ostatnie danie ułatwiające trawienie. Podziękowała po hiszpańsku, nie przez naśladownictwo, ale dlatego że rodzice wpoili jej, że należy dziękować, kiedy wstaje się od stołu.

Pokazał jej mieszkanie, w którym każdy pokój był ogromny, nawet pokój gosposi znajdujący się obok kuchni.

- Macie balkon?

- Oczywiście.

Zaprowadził ją na piętnastometrowej długości loggię ukwieconą pelargoniami w różnych kolorach, która ciągnęła się od stołu do kanapy z czerwonego aksamitu, wzdłuż ogromnego salonu-jadalni.

Naprzeciwko wznosił się piękny biurowiec bez balkonów. Wychylając się, zobaczyła przepelnione kawiarnie i restauracje oraz zbity tłum stojący w kolejce na chodniku, oczekujący na wejście.

- Nigdy nie wychodzie na balkon? - zapytała.

- Nierzęsto.

- Szkoda! Dużo traciecie!

Zaprowadził ją do swojego pokoju, wyposażonego w oddzielną łazienkę, która przypomniała jej cotygodniowe kąpiele, jakie kiedyś brała z siostrą.

## BRUDNE CZWARTKI

Mama wołała nas z balkonu po rumuńsku, żebyśmy przyszły zjeść. Zawsze kazała nam wracać, kiedy byliśmy pochłonięte jakimś pasjonującym zajęciem - na przykład zabawą w chowanego. Albo kiedy przyjeżdżała ciężarówka cysterna wydzielająca zapach benzyny, od którego kręciło nam się w głowie. Albo gdy sprzedawca lodu łupał blok na dwie lub cztery części. Albo nawet wtedy gdy siedziałyśmy za wozem, dopóki furman nas nie znalazł i nie przegonił batem.

Mama nie przestawała wrzeszczeć po rumuńsku, więc pośpiesznie wracałyśmy, żeby była cicho. Tak samo było w czwartki.

Wstydziliśmy się mówić po rumuńsku, a dokładniej, wstydziliśmy się naszego rumuńskiego pochodzenia. Twierdziłyśmy, że nasz ojciec jest Hiszpanem, a kiedy pytano nas, z jakiego kraju pochodzi, odpowiadałyśmy, że z Rumunii, ale jest sefardyjczykiem. W domu mówił w ladino, dialekcie judeohiszpańskim.

I pilnowałyśmy się, żeby nie wyjawić największej hańby: że nasza matka jest aszkenazyjską Rumunką.

- Och, nienawidzę czwartków! - zwierzyłam się mojej siostrze Seffi, kiedy wchodziłyśmy po schodach.

- Dlaczego? Nie lubisz się myć?

- No właśnie. I tak jutro znowu się ubrudzę. Więc czemu to służy?

- Ja wręcz przeciwnie, chciałabym być cały czas czysta. Gdybym mogła, kąpałabym się każdego dnia.

- Zwariowałaś? Nikt nie myje się codziennie. Nawet bogacze.

- Jestem pewna, że w Ameryce tak właśnie robią - stwierdziła moja siostra. - I że Amerykanie każdego dnia zmieniają bieliznę.

- Mniejsza z tym!

Przeszłyśmy przez kuchnię, w której mama przygotowywała mamałygę. Rozdrażnionym gestem kazała nam siadać do stołu. Wchodząc do pokoju, zobaczyłam tatę, który uchylał drzwi prowadzące do mieszkania cioteczki Lucyny. Położył palec na ustach i wślizgnął się do pokoju, cicho zamykając drzwi. Miał na ramieniu ręcznik kąpielowy, a jego włosy były wilgotne.

Podeszłam do niego i zaczęłam go obwąchiwać jak szczeniak cieszący się z powrotu pana.

- Byłeś w łaźni tureckiej - wyszeptła Józefina.

Dorzuciłam, że pachnie olejkiem różanym.

- Nie mówcie nic mamie - poprosił tata, chowając ręcznik pod stos pościeli piętrzącej się na maszynie do szycia. - Powiedziałyby, że wyrzucam pieniądze.

Skinęłyśmy głowami, gotowe bronić go z narażeniem własnego życia.

Tata poprosił, żebyśmy nakryły do stołu, i mówiąc głośniej, zapytał mamę, czy czegoś potrzebuje.

- Przestań trwonić posag swoich córek! - odpowiedziała mama z kuchni. - Śmierdzi olejkiem różanym aż

tutaj. Zapomniałeś, że głusi mają bardzo rozwinięty zmysł węchu.

Poszłam po cztery talerze, a moja siostra wyciągnęła z szafy pomarańczowy obrus w jasne wzory, który rozłożyła na stole.

- Z jakiej okazji ten piękny obrus? - zapytał tata.

- Żeby ochronić zdjęcia pod szklanym blatem - odpowiedziała moja siostra.

Nie wiedziałam, jak obrus może ochronić zdjęcia, ale powstrzymałam się od komentarza. Tata czule pogłaskał Józefinę po głowie. Pękałam z zazdrości, bo zawsze jej się udawało przypodobać ojcu, a ja przysparzałam mu tylko zmartwień.

Józefina położyła na stole talerze i wazon z polnymi makami, zerwanymi na zbliżający się szabat.

Tymczasem mama wyłoniła się z kuchni z garnkiem mamałygi.

- Z jakiej okazji te kwiaty? - zapytała moją siostrę, jakby wiedziała, że to nie mógł być mój pomysł.

Józefina wyjaśniła, że widziała to w amerykańskim filmie.

Tata jeszcze raz pogłaskał ją po włosach, szczęśliwy, że ma córkę, która podziela jego fascynację Ameryką.

Starsza siostra czuwała nad moim wychowaniem.

- Zamknij buzię, jak jesz, i nie wydawaj odgłosów, jak przeżuwasz, to niegrzeczne.

- Ale nie przeżuwam mamałygi, połykam ją.

- I trzymaj się prosto, wyciągnij szyję. Nie przeklinaj, nie pluj, nie bądź bezczelna i nigdy nie patrz dorosłym prosto w oczy. Nienawidzą tego. Kiwaj pokornie głową, jakbyś się zgadzała, a poza tym możesz robić, co ci się podoba.

- Co cię interesuje w kinie, Józefino? - zapytała mama, nakładając nam obfite porcje kaszki. Każdy talerz oblała kwaśną śmietaną, wchłoniętą natychmiast przez parującą papkę. Najpierw obsłużyła Seffi, a potem mnie taką samą porcją.

Następnie zwróciła się do taty.

- Pan życzy sobie z margaryną czy białym serem?

- Nie ma już śmietany?

- Starczy tylko na jutro dla dziewczynek. Gdybyś nie wydawał pieniędzy na hammam\*, być może moglibyśmy codziennie kupować butelkę. Jakby w domu nie było prysznic!

- Dziękuję bardzo za mycie się w zimnej wodzie! Wolę gorące kąpiele.

- Wiadomo - zamruczała pod nosem mama. - Ale gdybyś miał stałą pracę, od dawna mielibyśmy bojler.

Tata się naburmuszył i patrząc porozumiewawczo na moją siostrę i na mnie, próbował zyskać nasze poparcie.

- A ty jako osoba oszczędzająca każdą kroplę wody pozwalabyś mi go zapalać i marnować prąd?

Obiecując sobie, że kiedy będę duża, kupię ojcu całą śmietaną świata, stwierdziłam, że butelka jest do połowy pusta. Była to bardzo ładna, szklana butelka kształtem przypominająca kobietę. Podobna do kominów rafinerii, które widać było z balkonu, albo do butelek na mleko. Zamykana posrebrzonym kapslem, który mama zdejmowała z największą ostrożnością, tak aby nie uronić ani kropli kajmaku\*\*, śmietanki, która zbierała się grubą war-

\* Hammam - słowo pochodzenia arabsko-tureckiego: gorąca kąpiel; łaźnia turecka.

\*\* Kajmak - masa ze śmietanki, cukru i masła z dodatkiem wanilii, czekolady, kawy lub karmelu; służy do przekładania tortów, placków lub andrutów; tutaj; kożuch śmietany.

stwą w szyjce butelki i miała boski smak raj. Na początku kłóciłam się z siostrą, która z nas będzie miała prawo ją zjeść. Koniec końców moja siostra zaproponowała kompromis: w dni parzyste będzie moja kolej, a w nieparzyste jej. Było to o tyle słuszne, że łatwe do zapamiętania. Ale nie zwróciłam uwagi na to, że były tylko trzy dni parzyste, a cztery nieparzyste.

- Wszystko mnie w kinie interesuje, mam - odpowiedziała moja siostra. - Ubrania, makijaż, samochody, a zwłaszcza wspaniałe domy.

Szepnęłam jej do ucha, że to było niegrzeczne w stosunku do naszych rodziców, którzy nie mieli pieniędzy, żeby kupić piękne mieszkanie, a poza tym takie domy istnieją tylko w Ameryce.

W ramach przeprosin moja siostra opowiedziała, że Hanna, nauczycielka, napisała jej w zeszycie: „Doskonała uczennica, odpowiedzialna i systematyczna”, i poprosiła ją o przeczytanie swojego wypracowania przed całą klasą.

- Jaki był temat? - spytał tata.

- Co chcecie robić, kiedy będziecie dorośli.

Tata zapytał, czy nadal zamierza zostać pisarką. „Tak, bogatą i sławną pisarką”, odpowiedziała. Jeśli się tego chce, można zrealizować swoje marzenia, stwierdził tata, zwłaszcza że Józefinie nie brakowało wyobraźni.

„Doskonała uczennica, której dobre sprawowanie jest wzorem dla całej klasy”, przeczytał tata w zeszycie mojej siostry, jeszcze raz głaszcząc ją po głowie.

Naliczyłam, że był to piąty raz w ciągu pół godziny.

- Nauczycielka nie napisała, że jesteś odpowiedzialna i systematyczna, przechwalasz się - zarzuciłam siostrze.

- Wcale się nie przechwalam. Powiedziała mi to.

Mama, bardzo dumna, pozwoliła Józefinie nie kończyć talerza mamałygi, jeśli nie ma już ochoty.



Skorzystałam z okazji.

- Ja też nie! Ja też nie! A poza tym w stołówce nie było dzisiaj placków ziemniaczanych, to niesprawiedliwe! - zawołałam, żeby zmienić temat rozmowy, bo dobre oceny mojej siostry zaczynały mi działać na nerwy.

Tata natychmiast wszedł w moją grę.

- Jak to? Kucharka nie przyszła?

- Nie. Zdaje się, że jej matka zmarła. A wy kiedy umrzecie?

- Kiedy będą bardzo, bardzo starzy, a my trochę mniej - odpowiedziała moja siostra.

Kiedy mama obwieściła, że pora na kąpiel, udałam się za siostrą do łazienki, gdzie się rozebrałyśmy. Obie byłyśmy obcięte na pazia. Ona miała czarne włosy i kasztanowe, smutne oczy, a ja kasztanowe włosy i zielone, błyszczące oczy. Rzuciłam ubranie na podłogę, a Józefina złożyła swoje i położyła je na drewnianym krześle przy brzegu wanny, mimo że było brudne. Żeby udowodnić mi, iż jest odpowiedzialna i systematyczna, a nie zarozumiała.

Nienawidziłam czwartków - dnia wielkiego mycia - bo wiedziałam, że nigdzie nie uchowa się brud, jak mówiła mama do naszej syryjskiej sąsiadki Fortuny. Fortuna, matka Tsilli, Ruhamy i Lindy, każdego ranka spłukiwała podłogi wodą. Następnie wycierała brud ze wszystkich kątów, a na koniec mordowała się, osuszając podłogę szmatą na kolanach. W piątki po południu powtarzała całą operację z okazji szabat.

Mama zarzucała jej, że jest maniaczką czystości.

- Można by pomyśleć, że jadacie na podłodze! - zażartowała.

Fortuna odpowiadała, że taki jest zwyczaj w Syrii, ale mama nie rozumiała logiki lub raczej braku logiki codziennego mycia podłóg.

Fortuna odparowywała, że mama sama sprząta każdego dnia. Tak, ale dla zarobku, a nie dla rozrywki, odpowiadała moja matka.

Kiedy byliśmy już gołe, czekałyśmy, aż mama przyniesie rondel z wrzącą wodą, którą wlewała do wanny przed dodaniem zimnej wody. Moja siostra zamaczała palec, żeby ocenić, jaka jest temperatura, ale mama bez ceregieli zanurzała w niej dłoń, a następnie odkręcała kurek.

W kąpeli moja siostra i ja udawałyśmy dźwięk nadmorskiej latarni, a tata przynosił nam papierowe statki, które sam dla nas robił.

Następnie odwracał krzesła i stawiał je na stół, przynosił na łóżko wszystko, co poniewierało się po podłodze - buty, naczynia - i na balustradzie balkonu rozwieszał wytrzepany rano i zwinięty dywan. Czwartek był dniem wielkich porządków. Nikt i nic nie mogło się uchować - ani my, ani matka, ani cotygodniowe pranie, ani podłogi.

Siostra przypomniała mi, że powinnyśmy się dokładnie namydlić, także za uszami, bo Fima miała to sprawdzać następnego dnia. Posłuchałam jej, nie zapominając o wyczyszczeniu paznokci.

Korzystając z chwili, kiedy Seffi wynurzyła głowę na powierzchnię, zapytałam ją, nie bez lęku, czy nie sądzi, że nasi rodzice są strasznie starzy. Wyjaśniła mi, że babcia Vavika była bardzo, bardzo stara, kiedy zmarła w wieku siedemdziesięciu lat, a tata i mama mają dopiero czterdzieści pięć.

- Więc ile lat życia jeszcze im zostało? - zapytałam siostrę, która dla odmiany spytała mnie, czy wiem, ile jest siedemdziesiąt minus czterdzieści pięć.

- Nie mam pojęcia, jestem dopiero w zerówce.

Jak gdyby w zerówce uczono odejmowania!

- A poza tym już ci mówiłam, że tata i mama nie są naszymi prawdziwymi rodzicami - zaznaczyła moja siostra, która widziała Boga i oczywiście umiała liczyć.

- To kim są nasi prawdziwi rodzice?

Siostra wyjaśniła mi po raz enty, że Bianka nie mogła zajść w ciążę - dowód: sama nam wyznała, iż miała nas względnie późno. Kiedy spytałam ją, co znaczy „względnie”, Seffi, która była w szkole podstawowej, odpowiedziała mi, że to ma związek z niejakim Einsteinem. Nie za bardzo wiedziałam, co ma wspólnego ten Einstein z faktem, że mama miała problem z posiadaniem dzieci, ale o nic już nie pytałam, żeby nie wyjść na głupka. Jako że Bianka nie mogła zajść w ciążę, Mosze porwał nas naszym prawdziwym rodzicom, żeby sprawić jej przyjemność, utrzymywała Seffi.

- Więc kim są nasi prawdziwi rodzice?

Według Seffi nasz prawdziwy ojciec był kapitanem, który przemierzał morza, żeby nas odnaleźć.

- A mama?

Stojąc całe dni w oknie naszego zamku otoczonego łąkami, płakała, czekając na swojego męża, kapitana, aż ten przywiezie jej ukochane córeczki.

Byłoby kompletnym idiotyzmem, gdyby.nasza matka spędzała czas, stojąc nieruchomo w oknie i płacząc. Dowód: w *Człowieku, który wiedział za dużo* Doris Day i jej mąż poruszają niebo i ziemię, żeby odnaleźć zaginionego syna.

Zanuciłyśmy muzykę z filmu, wspólnie śpiewając refren:

*Que sera, sera,  
Whatever will be, will be,  
The future's not ours to see.*

Kończyło się na tym, że zasypiałyśmy w wannie i mama musiała nas z niej wyciągać marudne, zaspane i ociekające wodą. Wycierała nas, dawała nam czystą bieliznę, którą nosiliśmy przez cały następny tydzień, z czułością pomagała nam założyć pidżamy i wysyłała nas do łóżka.

- Więc ile to będzie? - nalegałam.

- Ile co będzie? - spytała moja na wpół uśpiona siostra.

- Siedemdziesiąt minus czterdzieści pięć.

- Wydaje mi się, że trzydzieści pięć.

Mama rozbierała się, żeby też się umyć. Oczywiście w tej samej wodzie.

Po skończeniu toalety zbierała brudną bieliznę z całego tygodnia i namaczała ją. Oczywiście w tej samej wannie. Kiedy bielizna była już wyprana, mama energicznie ją wyczmyślała i dawała tacie, który rozwieszał ją na balkonie. Następnie wodą z tej samej wanny, w której moczyliśmy się moja siostra, ja, mama i pranie, i której zapachu w tym stadium nie można określić inaczej jak straszny fetor, mama myła podłogę w pokoju. W tym czasie tata zajmował się praniem, a my spałyśmy.

Gdy tata kończył, mama myła balkon, tylko naszą część, lekceważąc kącik należący do ciocieczki Lucyny i jej syna Doriego.

\*

Kiedy już pokazał jej całe mieszkanie, usiedli razem w salonie, żeby obejrzeć dziennik telewizyjny, a Laura podała kawę i ciasto zrobione przez panią domu. Ojciec drzemał. Luna przy każdym łyku zamaczała kostkę cukru w kawie. Widząc zdumienie w oczach dziewczyny, wyjaśniła, że w Polsce jest zwyczaj zanurzania kawałka cukru w kawie.

Jak wyjaśnił młody Hiszpan, jego rodzice mieli się prasowalni i pralni automatycznych, którymi kierowali z siostrą bliźniaczką jego matki oraz Jeanem, jej mężem pochodzenia francuskiego. Jego matka i ciotka pracowały po południu w różnych butikach.

Luna, chcąc, żeby dziewczyna poczuła się swobodnie, opowiedziała jej, że pierwszą pralnię chemiczną otwarli trzydzieści lat temu, tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej, kiedy żaden dom nie był wyposażony w pralkę.

- W tamtych czasach interes się kręcił. Dzisiaj jest ciężko, bo każdy ma własną pralkę - westchnęła. - Na szczęście czyszczenie na sucho jeszcze idzie!

- Jak poznała pani swojego męża? - zapytała z zera ciekawością.

Luna odpowiedziała, nie dając się prosić.

- Na uniwersytecie w Paryżu. On pochodził z Bułgarii. Pobraliśmy się po roku - zaznaczyła, jakby przewidywała, że podobnie może być w przypadku jej syna. - A potem wybuchła wojna i uciekliśmy do Hiszpanii. Zakochałam się od pierwszego wejrzenia - dodała, przyglądając się z miłością swojemu śpiącemu mężowi.

- Rozumiem, to bardzo przystojny mężczyzna - powiedziała dziewczyna.

Niebieskie oczy matki, uwiedzione jej szczerością, zaślniły.

- To prawda.

- Jest więc pani Francuzką, nie Polką?

- Urodziłam się w Polsce, ale kiedy miałam rok, moi rodzice z czwórką dzieci przenieśli się do Berlina. Dziesięć lat później wyjechaliśmy do Paryża, a moje dzieci urodziły się w Hiszpanii. Jak pani widzi, jesteśmy wiecznymi tułaczami. Co do mojego męża, jego dziadkowie opuścili Bułgarię i przenieśli się do Wioch. To dzięki nim mamy

włoski paszport. Jest też w rodzinie jedna prawdziwa Włoszka: moja szwagierka Paola, żona brata Alberta, pochodzi z Mediolanu.

Dziewczyna pomyślała, że potrzebowałaby co najmniej roku, żeby przyswoić sobie imiona tej olbrzymiej rodziny.

W tym czasie obudził się ojciec. Uśmiechnął się do niej i spytał, czy podoba jej się Barcelona. Odpowiedziała, że tak, i też się do niego uśmiechnęła.

Po czym rodzice wstali i poszli do pracy, zaznaczając, że tego samego wieczoru cała rodzina przyjdzie na kolację, żeby poznać dziewczynę.

Chłopak zabrał ją na plac Kataloński, gdzie karmiła z ręki gołębie. Była w siódmym niebie. Następnie zaprowadził ją do domu towarowego Corte Ingles, gdzie przymierzyła trzy bluzeczki i dwie pary spodni z wyprzedaży.

Nie wierzyła własnym oczom.

- W Izraelu za tę cenę nie mogłabym sobie kupić nawet jednej bluzki! To niesamowite, że wyprzedaże zaczynają się tak wcześnie, kiedy lato jeszcze jest w pełni!

Szczęśliwy, że mógł jej sprawić przyjemność, chłopak podszedł do kasy.

W trakcie spaceru po Paseo de Gracia opowiedział jej o architekturze Gaudiego. Następnie usiedli w kawiarni, w której próbowali tapas. Powiedziała mu, że jej siostra studiująca architekturę byłaby zachwycona, gdyby mogła być na jej miejscu i podziwiać projekty Gaudiego.

- Nic się nie martw, któregoś dnia przyjedzie je zobaczyć - obiecał.

- Jak to możliwe, że twoja siostra opuściła tak piękne miasto dla Jerozolimy?

„Witamy w klubie”, pomyślała, kiedy poinformował ją, że była geniuszem w rodzinie.

- W szkole zawsze miała najlepsze stopnie i zgarniała nagrody za celujące wyniki - podkreślił z dumą. - Na maturze dostała maksimum punktów ze wszystkich przedmiotów. Tym samym moje osiemnaście na dwadzieścia przeszło niezauważone. Otrzymała stypendium na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie i dlatego zdecydowała się tam studiować. Poza tym mówiłem ci, że w naszej rodzinie wszyscy jesteśmy syjonistami i kiedyś zamierzamy zamieszkać w Izraelu. Moi rodzice są bardzo szczęśliwi, że ma chłopaka żydowskiego pochodzenia. Tutaj być może nie miałyby okazji wyjść za Żyda.

- Przyjedzie? - zaniepokoiła się na myśl o spotkaniu tej nadzwyczaj uzdolnionej siostry, której krzykliwy głos miała okazję poznać w trakcie rozmowy telefonicznej w Paschę.

- Tak, za miesiąc, ze swoim chłopakiem. Przewidzieliśmy wspólną dwutygodniową wycieczkę na południe.

Wyglądało na to, że wszystko zaplanował w najdrobniejszych szczegółach.

- Twoja siostra świetnie by się dogadała z moją - stwierdziła.

- Jestem pewien, że z tobą również. Wszyscy już cię bardzo polubili.

Wieczorem podczas kolacji poznała siostrę bliźniaczkę Luny, a także mnóstwo wujków, ciotek, kuzynek i kuzyna Roberta. Była to duża rodzina, ciepła, mówiąca wieloma językami: francuskim, włoskim, bułgarskim, polskim i niemieckim. Od razu jej się spodobali mimo trzech całusów, do których nie mogła się przyzwyczać. Kiedy była mała, odmawiała całowania członków swojej rodziny, zwłaszcza wujków i ciotek.

- To niegrzeczne - besztła ją siostra.

Nic sobie z tego nie robiła i odpowiadała, że nie znosi dotyku wilgotnych warg na swoim policzku i nie lubi ich zapachu.

- Czyjego zapachu?
- Starców.

Potem chłopak odprowadził ją do Mercedes i kochali się, ale nie został z nią na noc. Musiał wracać ze względu na rodziców.

- Przyjdę po ciebie jutro rano i pójdziemy na spacer. Specjalnie wziąłem tydzień urlopu.

Zasnęła w pełni szczęśliwa - jak w wieku ośmiu lat, kiedy dostała na Paschę parę nowych butów i jedynym jej zmartwieniem było to, że rano się obudzi i okaże się, że był to tylko sen. Następnego poranka, kiedy znalazła lśniące buty pod łóżkiem, położyła je przy poduszce, żeby móc ich dotknąć i czuć zapach nowej skóry. To było niesamowite.

Kiedy następnego poranka hiszpańska muzyka wyrwała ją ze snu o siódmej trzydzieści, dziewczyna uświadomiła sobie, że przeżywa sen na jawie. Rodzice i siostra cieszyliby się, wiedząc, jaka jest szczęśliwa.

Mercedes podała jej kawę i jeszcze ciepłego croissanta, którego właśnie kupiła, jak wytłumaczyła jej na migi. Młoda sekretarka ogarnęła bałagan w salonie zostawiony przez jej ukochanego - szklanki, opróżnioną dużą butelkę po whisky oraz miseczki z chrupkami na przekąskę - i o ósmej wyszła do biura.

Ponieważ dziewczyna nie знаła numeru telefonu chłopaka, czekała do jedenastej, aż sam zadzwonił, tłumacząc, że spał do późna, bo nikt nie wyciągnął go z łóżka. W samochodzie wyznał jej, że ciężko jest mu się zwlec rano z łóżka, a budzik czy telefon nic nie pomaga. Trzeba nim potrząsnąć.



- Umiesz potrząsać ludźmi?

- Nie mam pojęcia.

Zastanawiała się, dlaczego trzeba nim potrząsnąć, żeby otworzył oczy. Dla niej każdy poranek zawsze był świętem.

Pomyślała o swoim ojcu, który po latach zmartwień i kłopotów został zatrudniony jako stróż w Autocars, pierwszej i jedynej fabryce izraelskich samochodów. Był tak szczęśliwy, że wreszcie ma stałą pracę, że wstawał z kurami o czwartej trzydzieści nad ranem i godzinę później szedł bronić wejścia do firmy przed intruzami. Zimą, kiedy lało jak z cebra i zimny wiatr dął w obudowany balkon przerobiony na sypialnię, gdzie spała, słyszała, jak tata się ubiera. A kiedy przychodził się upewnić, że jest dobrze przykryta, mimo iż miała już szesnaście lat, udawała, że śpi, aby nie sprawiać przykrości ojcu, który wychodził w mroźną noc. Podobnie było w autobusie. Gdy jakiś chłopak lub dziewczyna nie ustępowali miejsca starszej osobie, miała łzy w oczach, wyobrażając sobie swoją matkę, która musiała stać z ciężkimi siatkami zakupów, bo nikt nie raczył się podnieść.

Młody Hiszpan zabrał ją do parku Giiell i do kościoła Sagrada Familia, po czym musieli się pośpieszyć, żeby zdążyć na obiad o godzinie czternastej trzydzieści, która w ich domu była święta. Drzwi otworzyła Laura, a matka poczęstowała ich świeżo wyciśniętym sokiem z pomarańczy. Posiłek, jak zwykle przepyszny, znowu składał się z dwóch przystawek, dania głównego, sałaty, tacy serów oraz deseru, i po raz kolejny obsługiwano ją pierwszą, jako specjalnego gościa. Zerknęła na niebieską figurkę królującą na kredensie i poczuła się jak u siebie w domu. Rodzice chcieli wiedzieć, czy podobało się jej mieszkanie, które znalazł dla niej ich syn. Powiedziała, że tak. Po po-

siłku wypili kawę, oglądając wiadomości, z których nie rozumiała ani słowa, a ojciec zasnął na kanapie, podczas gdy matka szykowała się, by wyjść do pracy.

Następnie poszli na spacer na Tibidabo, gdzie zjadła się churros w cukrze, i wrócili do domu o dwudziestej pierwszej. Dziwiło ją, że jada się kolację o tak późnej porze, a noc zapada dopiero o dwudziestej drugiej. To było naprawdę fantastyczne, że w Barcelonie dzień trwa tak długo. W Izraelu noc zapadała o dziewiętnastej, a ortodoksi odmawiali przejścia na czas letni.

Tym razem rodzice zaprosili swoich najlepszych przyjaciół, Ruth i Nahuma Lilienblumów. Dowiedziała się później, że byli właścicielami największego banku w Barcelonie, banku Catalana. Ruth, bardzo piękna kobieta o siwych włosach, miała sylwetkę młodej dziewczyny. Jej mąż garbił się i wyglądał przez to na starszego, niż był w rzeczywistości, ale w jego oczach błyszczała inteligencja. Adorował swoją żonę i miało się wrażenie, że zwracał się tylko do niej.

Nahum pochwalił urodę dziewczyny. Zapytał, czy mówi w jidysz, i wyglądał na zawiedzionego, kiedy powiedziała, że nie.

- Jak to możliwe? Pani rodzice nie są aszkenazyjczykami?

- Są, ale mój ojciec jest z pochodzenia Turkiem. Urodził się w Rumunii i w jego domu mówiono w ladino, a nie w jidysz, jak w rodzinie matki.

- Żyd, który nie zna jidysz, to niemożliwe - oświadczył Nahum.

- Ale ja jestem Izraelką - odparła z dumą.

Kiedy pili w salonie kawę, Nahum zwierzył się jej, że jako młody człowiek został wywieziony do obozu koncentracyjnego i nie uszedłby z życiem, gdyby nie to, że był dobry w rachunkach i nigdy się nie mylił, licząc przedmioty

zebrane z komór gazowych, obrączki, łańcuszki, złote zęby, zegarki, okulary.

Opowiedział jej tę historię ze spokojem, nie rozczulając się nad sobą, jakby chciał powiedzieć: jestem tutaj wbrew wszystkiemu, a ponadto jestem dyrektorem największego banku w Barcelonie.

Nahum nie stracił wiary mimo Shoah.

- Jesteśmy doskonałymi stworzeniami Boga - oświadczył, głaszcząc dłoń Ruth, która wpatrywała się w niego z uwielbieniem. - Weźmy na przykład kobiece ciało, ono również jest doskonałe, z wyjątkiem jednej rzeczy.

- Jakiej? - zapytała, nie rozumiejąc.

Nahum miał teorię, według której posiadanie oczu na czubku palców pozwoliłoby ustalić położenie zgubionego przedmiotu. W ten sposób można na przykład znaleźć coś, co wpadło pod łóżko.

Wybuchła śmiechem.

Utkwił w niej swój przenikliwy wzrok.

- Można stracić przez panią głowę.

- Dlaczego?

- Dlatego, że jest pani kobietą-dzieckiem.

Zmieszana nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Wychodząc, Ruth i Nahum obiecali, że odwiedzą ją w Hajfie, gdzie regularnie składali wizyty trójce swoich dzieci, które tam mieszkały. Powstrzymali się od całowania jej na pożegnanie, wiedząc, że Izraelczycy wolą zachować rezerwę.

Cały tydzień upłynął jej na zwiedzaniu z młodym Hiszpanem miasta i jego cudów i musiała przyznać, że Barcelona jest o wiele piękniejsza od Hajfy. Pamiętali, by stawiać się na obiad o czternastej trzydzieści poprzedzany szklanką soku ze świeżych pomarańczy oraz na kolację o dwudziestej pierwszej. Za każdym razem chłopak odwo-

ził ją trochę wcześniej, żeby pogadać z Mercedes i Jorgem, ale nigdy nie zostawał na noc.

Trudno jej było się przyzwyczaić do dwóch posiłków dziennie u jego rodziców, lecz były tak wyśmienite, że nie miała sumienia narzekać. A kiedy postanowiła, że będzie się uczyć hiszpańskiego, zapisał ją na miesięczny intensywny kurs dla obcokrajowców na uniwersytecie.

Pod koniec kursu była już w stanie formułować krótkie kilkudzaniowe wypowiedzi po hiszpańsku. Mercedes, bardzo z niej dumna, zapewniła, że jeszcze nigdy nie spotkała kogoś, kto z taką łatwością nauczyłby się hiszpańskiego.

Było tak zapewne dlatego, że rumuński i hiszpański są do siebie podobne.

Dobrze się czuła w towarzystwie Paoli, włoskiej ciotki, która po dziesięciu latach spędzonych w Barcelonie rozumiała, że czasami tęskni za krajem.

Siostra młodego Hiszpana przyjechała ze swoim francuskim chłopakiem, którego poznała na uniwersytecie w Jerozolimie. Pożyczyli samochód ojca i wyjechali w dwutygodniową podróż na południe kraju. Co za radość móc cały dzień mówić po hebrajsku! Siostra była prostolinijna i szalenie sympatyczna. Nie miała nic wspólnego z jędrą, jaką dziewczyna sobie wyobraziła, słuchając jej wrzasków przez telefon. Ona, która nigdy nie wyjeżdżała z domu, wpadała w zachwyt na widok każdego mijanego miasta, każdej wioski, co bardzo cieszyło pozostałych, nieco już zblazowanych. Była niczym mała dziewczynka o zaraźliwym entuzjazmie, odkrywająca cuda świata.

Zaparło jej dech w piersiach, gdy po raz pierwszy weszła do kościoła, i usilnie starała się błaznować za każdym razem, kiedy robiono jej zdjęcie na jakimś placu, pod statuą Dziewicy Maryi lub któregoś z pięciu tysięcy świętych czczonych w Hiszpanii. Zamierzała pokazać zdjęcia swoim

rodzicom, żeby ich rozbawić, podzielić się z nimi tymi niezapomnianymi chwilami. Doskonale zachowana, majestatyczna synagoga w Toledo wycisnęła jej z oczu Izy wzruszenia, jak gdyby już tam była w innym życiu.

Po dwóch bajecznych tygodniach wrócili do Barcelony akurat na Rosz Haszana. Razem z siostrą chłopaka pomagały Lunie w kuchni i nakrywały do stołu zgodnie z dokładnymi pouczeniami co do rozmieszczenia serwetek, srebrnych sztućców i oczywiście zarezerwowanego na to święto serwisu Rosenthala.

Była to najbardziej wystawna uczta, w jakiej kiedykolwiek uczestniczyła.

Zaczęto od rosółu z kury z grzankami, które matka sprowadziła z Izraela. Następnie podano wyborne danie z gefilte fish\* przygotowane przez Lunę, z chrzanem zakupionym w Perpignan, dokąd udawali się trzy razy do roku, aby zaopatrzyć się we francuskie produkty: kiełbasy, różne musztardy, sery i masło. Brakowało im francuskiego jedzenia, mimo że od trzydziestu lat mieszkali w Barcelonie. Stąd jeździli do Andory, gdzie kupowali nieocłone sprzęty gospodarstwa domowego. Dwa razy do roku składali wizytę bratu Luny i jego uśmiechniętej żonie, którzy mieszkali w Paryżu.

W Jom Kippur\*\* poszli do synagogi, a ponieważ chłopak pościł, ona również postanowiła zachować post. Dla niego był to jedyny sposób, żeby naprawdę przeżywać to święto w diasporze. Inaczej ten dzień niczym by się nie różnił od zwykłych dni. Za to pokochała go jeszcze bardziej.

\* Gefilte fish - kulki rybne.

\*\* Jom Kippur - Dzień Pojednania, święto obchodzone we wrześniu lub październiku. Jest to dzień pokuty, postu i rytualnego oczyszczenia się. Tego dnia Żydzi wyznają grzechy i błagają o przebaczenie.

W synagodze cała wspólnota ciepło przyjęła młodą Izraelkę. Pewna ładna dziewczyna przyglądała się jej natarczywie. Paola szepnęła jej do ucha, że to dawna narzeczona jej bratanka. Dziewczyna o mało nie poszła się usprawiedliwić, że ukradła jej serce młodego Hiszpana, ale tamta rozmyślnie odwróciła się do niej plecami. Zresztą i tak nie byłaby w stanie opowiedzieć, co czuje, w swoim łamanym hiszpańskim, zwłaszcza że niczego nie żałowała.

Lecz kiedy święta już się skończyły, a siostra wyjechała, dziewczyna na próżno czekała, aż chłopak wspomni cokolwiek o swoich planach na przyszłość. Ona ze swojej strony dotrzymała umowy, nauczyła się hiszpańskiego i prawie rozumiała wiadomości, których wspólne oglądanie kończyło rodzinny obiad. Powiedziała mu więc, że wraca do Izraela, żeby poszukać pracy, bo po tych trzech miesiącach bezczynności była kompletnie bez grosza. Obiecał, że będzie do niej dzwonił, jakby chciał jej dać do zrozumienia, że potrzebuje trochę więcej czasu, by zdecydować się na małżeństwo - jeśli się kiedyś zdecyduje.

- No i? - dopytywali się rodzice po jej powrocie. Śmiali się, oglądając zdjęcia, na których robiła z siebie błazna, ale naciskali. A kiedy pokazała im nowe okulary w diamentowej oprawce i piękne ubrania, które tak dobrze na niej leżały, matka stwierdziła, że spodziewała się zobaczyć inny błyszczący diament, na jej palcu. Dziewczyna nie odpowiedziała i natychmiast znalazła pracę u renomowanego architekta w Hajfie.

## UBRANIA Z ODZYSKU

W piątek po południu wyelegantowani wspinaliśmy się po stromych zboczach i schodach prowadzących z ulicy Stanton na ulicę Hess mieszczącą się na zboczach góry Karmel. Moja siostra i ja skakałyśmy na jednej nodze z zapalem i odrobiną niepokoju. Jakie ubrania odziedziczymy tym razem? Tata i mama szli za nami ciężkim krokiem osób pozbawionych złudzeń.

Sami i Fima, kuzynostwo matki, mieli dwie córki. Należeli do klasy średniej i mieszkali w dzielnicy Hadar. Sami był jednym z kierowników portu, a Fima pracowała jako pielęgniarka w szkole. Poza tym byli szczęściarzami posiadającymi krewnych w Ameryce.

Ów tajemniczy adres w Ameryce, z którego otrzymywaliśmy ubrania i konserwy, był błogosławieństwem w czasach, kiedy Izraelczycy nie mieli co włożyć do garnka. Po tym, jak Sami i Fima zostawili sobie najładniejsze ubrania, pozwalali nam wybrać to, co nam się podobało z pozostałych rzeczy. Oczywiście oprócz jedzenia, które zatrzymywali.

Fima dokonywała inspekcji naszych uszu, paznokci i głów, żeby sprawdzić, czy Seffi lub ja nie mamy wszy. Nie na darmo była szkolną pielęgniarką. A jeśli pomyślnie przeszliśmy test - zgodnie z jej drakońskimi kryteriami higieny - przynosiła ostatnią paczkę nadesłaną z Ameryki.

Rzuciłyśmy się na stos ubrań, z którego wygrzebałam kasztanową bluzkę w moim guście, informując siostrę, że zobaczyłam ją pierwsza. Józefina odparła, że wcale jej nie chce, i przekopując rzeczy, znalazła najśliczniejszą bluzkę, jaką kiedykolwiek widziałam, leżącą na niej jak ulał. Była ciemnoniebieska z błyszczącego materiału i miała efektowną czerwoną zapinkę na plecach. Moja siostra zawsze znajdowała najbardziej szykowne ubrania. Widząc me niepowodzenie, wyciągnęła czerwony trykot i poradziła mi, żebym założyła go pod kasztanową bluzkę do ciemnej spódnicy, którą właśnie wybrałam. Zapewniła mnie, że będzie to śmiesznie wyglądać. Na pytanie, dlaczego mam się ubierać śmiesznie, odpowiedziała, że ludzie będą myśleć, że to specjalnie. Lepiej wyglądać komicznie niż biednie.

Usadowiona na środku pokoju mama przymierzała beżowy kostium, wyjątkowo okropny, trzy razy na nią za duży i obwisły z każdej strony. Fima zapewniła ją, że jest wspinały i świetnie na niej leży, na co mama odparła, że musiałyby zwęzić go po bokach - jakby sama starała się przekonać. Tata skrzywił się, nic nie mówiąc, a Fima powtórzyła, że „to nowa paczka, która przysłała z Ameryki w tym tygodniu”. Zostawiłaby kostium dla siebie, ale jest na nią dużo za duży. Rzeczywiście, kuzynka Fima była mała i dużo chudsza od mamy. Pewnie jedzenie w Ameryce było tak dobre i obfite, że wszyscy byli grubi i ubrania zdecydowanie nie pasowały na drobnych Izraelczyków.

Tata przymierzył obrzydliwy sweter, a Sami wykonał ręką gest znaczący „taki sobie”. Zastanawiałam się, dla-



czego mężczyźni są bardziej szczerzy od kobiet i mają odwagę powiedzieć prawdę. Tata zdjął go i odłożył na stos ubrań. Fima zasugerowała, żeby zostawił go sobie choćby do pracy, ale tata zachnął się, że nigdy w życiu nie chodziłby w tak potwornym swetrze i że musi ubierać się przyzwoicie. Mama stwierdziła, że wędrowny sprzedawca kawy nie musi być wystrojony jak spod igły. Nie ma mowy, żeby się pokazał w ubraniu z drugiej ręki, odparł tata tonem nieznośnym sprzeciwu.

Sami zapytał, dlaczego tata nie skontaktuje się z Nikiem, swoim szwagrem z Hadery, który miał wpływy w Histadrut\*, związkowej centrali. Lecz nasz ojciec nie wiedział, jak Niko z Hadery mógłby pomóc mu w znalezieniu pracy w Hajfie. Kuzyn wyjaśnił tacie, że Histadrut ma filie w całym kraju. Mama spytała Sarniego, czy nie mógłby zatrudnić taty w porcie, gdzie miałby stałą pracę, o czym od zawsze marzyła. Mógłby, ale tylko jako dokera, odpowiedział Sami.

Następnie Fima sprawdziła, czy mama zastosowała się do wskazówek, jakich udzieliła jej ostatnim razem odnośnie zwalczania wszy. Mama zapewniła, że tak, czego dowodem było to, że ciotka nie znalazła ich na naszych głowach.

Fima nie dała się tak łatwo zbyć, wobec czego mama wyrecytowała pewnym siebie głosem, że aby je wytępić, potrzeba półtorej szklanki benzyny, pół szklanki octu, sól i pieprz. Należy posmarować włosy tą miksturą za pomocą pędzla, dokładnie je uczesać, potem nakryć głowę ręcznikiem i tak zostawić na dwie godziny. Fima powiedziała, że można się śmiać, ale nie ma innego sposobu. Mama spytała kuzynkę, czy nie sądzi, że benzyna w połączeniu

\* Histadrut - Powszechna Organizacja Robotników Żydowskich w Ziemi Izraela; żydowski związek zawodowy założony w 1921 roku w Hajfie.

z octem może poważnie zaszkodzić na mózg, bo ona i tata pokładali duże nadzieje w Józefinie, która miała zostać lekarzem lub adwokatem. Gestem ręki Fima rozwiąła wszelkie wątpliwości, a moja siostra i ja wymknęłyśmy się, żeby pobawić się z kuzynkami - miały własny pokój i sporą kolekcję lalek.

Głodna, z niecierpliwością czekałam, aż Fima zawoła nas do stołu. Robiła boskie omlety. Moja siostra powiedziała, że zjadłaby wszystko oprócz nieśmiertelnej mamałygi, którą dostawałyśmy każdego wieczoru w domu.

W końcu nastąpiła pora kolacji. Pobiegłam przed wszystkimi do jadalni, ale omletu nie było widać. Kiedy Fima przyniosła z kuchni parujący garnek, ciągle miałam nadzieję, że zobaczę cudowne omlety, lecz ciotka oświadczyła, iż dla odmiany przygotowała mamałygę. A to ci niespodzianka!

Spytała, czy lubimy mamałygę. W milczeniu spojrzalam na Józefinę, czekając, aż powie, że jemy ją codziennie. Wiedziałam, że tata ani mama nigdy by tego nie przyznali, bo niegrzecznie wybrzydzać, kiedy jest się gdzieś zaproszonym, lecz sądziłam, że nie będzie się wypominać szczerości dziecku. Moja siostra ograniczyła się do uwagi, że bardzo ją lubimy, ale nie jesteśmy tego wieczoru zbyt głodne.

W drodze powrotnej tylko mama, Józefina i ja byliśmy obciążeni torbami i paczkami. Tata nie niósł niczego, bo odmówił przyjęcia okropnego swetra.

Wściekły zwrócił mamie uwagę, że jej kuzyn mógłby zaproponować mu coś innego niż pracę dokera. Chciałby jego zobaczyć w tej roli. Mama odparła tym samym tonem, że nie przypomina sobie, aby ktoś z jego rodziny zaproponował mu coś lepszego.

- Ja sprzątam. Sądzisz, że to lepsze niż praca dokera? I po co według ciebie tak haruję? Żebyś kupił sobie nowy

sweter i mógł w nim paradować po mieście? Popatrz na mnie, ty wielki spryciarzu, który marnuje posag swoich córek! Możesz mi powiedzieć, kim zostaną, co?

- Nie martw się o nie. Poradzą sobie w życiu, zobaczysz.

Po czym wziął nas obie na ręce i zbiegł po stromej ulicy. Po drodze pocieszał nas z powodu sławnego omletu, na który tak niecierpliwie czekałyśmy, a który nas ominął. Nie powiedziałyśmy Firnie, co naprawdę myślimy o jej małżonce, tylko dlatego że jesteśmy dobrze wychowane, marudziłam.

I tak skończył się dzień. Radośnie wróciliśmy do domu z ubraniami z drugiej ręki, które w następnym czwartek miały się długo moczyć w brudnej wodzie w wannie. I pomyśleć, że choć nigdy nie słyszeliśmy o dziurze ozonowej ani recyklingu, wszystko wykorzystaliśmy powtórnie - siebie samych, ubrania, nawet wodę - i mogliśmy zbić fortunę!

\*

Pracowała u architekta od ósmej rano do szesnastej. O siedemnastej przychodziła do piekarni Duchownego, gdzie sprzedawała wybrednej klienteli wyborne pieczywo.

Nie przyjęła tej pracy ze względów finansowych - choć dodatkowe pieniądze bynajmniej jej nie przeszkadzały - ale dlatego, że Duchowny bardzo nalegał przez telefon: nie mógł znaleźć pracownika godnego zaufania. Wszyscy kradli pieniądze z kasy.

Duchowny, stary piekarz i właściciel dobrze prosperującej firmy, nie miał dzieci, którym mógłby przekazać swój interes. Miała wobec niego dług, bo kiedyś też podkraδαła mu pieniądze. Zdawała sobie sprawę, że on o tym wie-

dział, ale nie czuła się przez to mniej winna. A poza tym bardzo go lubiła i chciała oddać mu przysługę.

Zaczęła pracować w piekarni, kiedy miała siedemnaście lat, w klasie maturalnej. Piekarz zawsze pomagał jej w trudnych chwilach, aż do jej wyjazdu do Jerozolimy. Cenił ją tak bardzo, że zaproponował układ: jak tylko będzie miała wolną chwilę, może przyjść popracować dwie godziny w piekarni. Nie mniej. Żeby mógł iść do siebie odpocząć, bo dzień zaczynał o czwartej rano. Nikomu innemu nie dowierzał, mimo że wiedział, o czym była przekonana, że podkradała z kasy dziesięć szekli, kiedy miała ochotę pójść do kina z koleżanką z klasy jeszcze bardziej splekaną niż ona. Kilka razy zapytał nawet, czy film jej się podobał. Czasami na drugi dzień sama opowiadała mu spontanicznie o filmie, jakby chciała go powiadomić, że z kasy zniknęło dziesięć szekli. Zawsze brała tę samą kwotę, żeby zapłacić za dwa bilety, ani grosza więcej. Nigdy nie pozwoliłaby sobie na dodatkowy zakup na przykład popcornu. Rodzice przekazali jej miłość do kina, musiała więc zaspokoić swoją pasję. Ale żeby brać pieniądze na popcorn, nigdy w życiu, to byłaby kradzież!

Duchowny cieszył się z jej powrotu po dwóch latach nieobecności. Nie widział jej od czasu, kiedy skończyła studia i wyjechała z Hajfy do Jerozolimy, potem do Tel Awiwu, a w końcu do Barcelony. I nie mógł się pogodzić z jej przyszłym ślubem, który oznaczał, że odejdzie na zawsze. Na każdego kiedyś przychodzi czas.

Zwierzył się jej, że jeden z jego wcześniejszych sprzedawców kradł każdego dnia sto, dwieście szekli z kasy, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że jej nieszczęśne dziesięć szekli było głupstwem. Po tych słowach spokojnie poszedł się przespać, zostawiając sklep w dobrych rękach. Teraz, kiedy była kreślarką u architekta i bez problemu

mogła opłacić bilet do kina, nie podkradła ani grosza. Duchowny był tak wzruszony faktem, iż kasa pozostawała nietknięta, że z okazji jej ślubu, sześć miesięcy później, podarował jej czek na trzy tysiące szekli, sumę, jaką oszczędził, odkąd nie brała pieniędzy z kasy. Często powtarzał, że adoptowałby ją, gdyby - Boże broń od takiego nieszczęścia - nie miała rodziców. Na co odpowiadała, że jej rodzice są najwspanialsii na świecie.

Kiedy miała siedemnaście lat i zaczęła pracować w piekarni, czasami przychodził po nią jej chłopak, nieudaczny, który miał na imię Israel. Wyjątkowo nie podobał się Duchownemu. Wiedziała, że piekarz darzył go jeszcze większą niechęcią niż jej rodzice i siostra. I kiedy zjawiła się z podkulonym ogonem, po tym jak Israel celowo zrobił jej dziecko, żeby nie mogła odbyć służby wojskowej, Duchowny bardzo starał się nie grzmieć: „A nie mówiłem”, tak jak jej rodzice i siostra, którzy odetchnęli z ulgą, że ta historia raz na zawsze została zamknięta, i powstrzymywali się od komentarzy.

Jeśli klienci protestowali, bo trochę ich zwymyślała, kiedy strasznie długo wybierali między chlebem z kminkiem a trzema bułkami cebulowymi, jak gdyby od tego zależało ich życie, stary piekarz kiwał głową, tłumacząc im, że to jeszcze dzieciak. „Wiesz, ci ludzie są raczej godni politowania, jeśli nie potrafią zdecydować, który chleb kupić”, mawiał, głaszcząc ją po włosach, gdy tylko marudni klienci wyszli ze sklepu. Pewnego dnia przyszła do piekarni prawdziwa sekutnica - zapewne wracała od fryzjera, bo miała na głowie coś w rodzaju wieży podtrzymywanej przez tonę lakieru - i zaczęła wykrzykiwać w jidysz, że chleb jest nieświeży. Dziewczyna wytłumaczyła klientce, że nie rozumie jidysz, lecz ta rzuciła bochenek na ladę, żądając, aby dała jej inny. Tak też zrobiła, a kiedy kobieta pochylała się, żeby schować

go do torby, dziewczyna zgarnęła znajdujące się przed nią okruszki i rzuciła je na wylakierowaną wieżę jędzy Jej wytrzymałość też miała swoje granice i nie chciała już znosić narzekań innych ludzi. Zwłaszcza że miała dosyć własnych problemów z chłopakiem, który ciągle był w Barcelonie, podczas gdy ona sprzedawała chleb w Hajfie.

Dzwonił do niej co najmniej dwa razy w tygodniu, żeby powiedzieć, jak za nią tęskni. Milczała, nie rozumiejąc, dlaczego zadowala się telefonami, skoro tak bardzo mu jej brakuje. Też za nim tęskniła, chociaż nawiązała romans ze swoim szefem. To nie była miłość, ale wystarczało, żeby trochę załagodzić jej cierpienie.

- Mam chłopaka i kocham go - wyznała architektowi, kiedy zrozumiała, że jego zainteresowanie przekracza sferę czysto zawodową.

- Gdzie on jest?

- W Barcelonie.

- Och, to daleko!

Co z oczu, to i z serca, jak mawiają. Przecież młody Hiszpan niczego jej nie obiecywał i nigdy się jasno nie zdeklarował, nie miała więc poczucia, że jest mu niewierna. Jej szef nie mógł powiedzieć tego samego o sobie.

- Jak możesz zdradzać żonę? - spytała z naiwnością dwudziestotrzylatki.

- Gdybyś była na moim miejscu, robiłabyś to samo - odparł architekt z doświadczeniem czterdziestolatka.

- Nie, raczej bym się rozwiodła.

Opowiedział jej, że ożenił się bardzo młodo i w wieku dwudziestu pięciu lat był już ojcem trójki dzieci. Potem dopadła go rutyna, niszczące działanie czasu, szybkie przemijanie życia - i takie tam gadanie.

Postanowiła czerpać przyjemność z życia i darować sobie moralne dywagacje. Tak czy owak, jeśli nie z nią,

robiły to z inną. A w tej chwili wcale jej to nie przeszkadzało. Nie był to skomplikowany związek, ona była wolna, do niczego ją to nie zobowiązywało, a dzięki temu oczekiwanie było łatwiejsze do zniesienia. Mogłaby spotykać się z kimś w swoim wieku - miałyby tylko problem z wyborem - lecz była zbyt zakochana w Hiszpanii, żeby mieć na to ochotę. Jej żonaty szef nie zalecał się do niej na poważnie. Chciał tylko jednego, a ponieważ był przystojnym mężczyzną, nie widziała przeszkód. Któregoś dnia opowiedział jej, jak został odznaczony po wojnie sześciodniowej, i ze łzami w oczach dodał, że stracił jednego z najlepszych żołnierzy. Głęboko ją to poruszyło. Wyznała mu, że też cierpi, bo znajduje się na Bliskim Wschodzie, kiedy jej serce jest na Zachodzie, w Hiszpanii, i ten ból ich łączył.

Trzy miesiące później chłopak zadzwonił i zaproponował, żeby zorganizowali ślub w marcu. Kiedy zapytała, czy ma przez to rozumieć, że oficjalnie prosi ją o rękę, potwierdził. Obwieściła wielką nowinę swojemu szefowi, pewna, że podzieli jej szczęście, ale się pomyliła.

- Oj, znajdziesz sobie kogoś innego, z kim będziesz się pieprzył - powiedziała mu na pocieszenie.

On jednak wydawał się boleśnie zraniony i zapytał, czy tylko tyle to dla niej znaczyło.

- Oczywiście, że tak. A dla ciebie nie?

- Kto wie, w co mogłoby się to przerodzić?

Nie wierzyła własnym uszom.

- O czym ty mówisz? Za trzy miesiące wychodzę za mężczyznę, którego kocham.

- Przywiązałem się do ciebie, rozumiesz?

Nie, nie rozumiała i opuściła firmę, nic nie rozumiejąc. Stary Duchovny był zachwycony, że może ją zatrudnić na osiem godzin dziennie za taką samą pensję, jaką dostawa-

ła od architekta. Nie zgodziła się pracować więcej, żeby mieć czas na przygotowania do ślubu.

Jej siostra Seffi, mieszkająca w Tel Awiwie, wezwała na pomoc Batję, krewną, która z racji tego, że od dwóch lat była mężatką, miała w tej kwestii bogate doświadczenie. Poza tym była matką małej dziewczynki, która towarzyszyła im w oglądaniu wszystkich sal, aż wybrały taką, która im się podobała.

Kiedy dziewczyna powiedziała o tym narzeczonemu przez telefon, zaproponował, oświadczając, że jego rodzice i on woleliby jakąś restaurację na górze Karmel.

- Ale to zbyt drogo!

- To co z tego. Raz w życiu bierze się ślub!

Postanowili zaprosić dwieście pięćdziesiąt osób, sto z jej strony i sto pięćdziesiąt z jego, ponieważ miał także liczną rodzinę w Izraelu. Nie wiedziała, co powiedzieć, i domyślała się, że jej przyszli teściowie zapewne wydaliby ostatnie pieniądze na wynajęcie najbardziej luksusowej sali w Hajfie, jak chciał zrobić dwa lata wcześniej ojciec jej szwagra, zapraszając sto osób do eleganckiej restauracji w Tel Awiwie. Jednak nowożeńcy nie chcieli ceremonii z wielką pompą i wzięli ślub w kameralnym gronie.

Kiedy dwa tygodnie przed ślubem poznali się rodzice dziewczyny i Hiszpana, jej ojciec oświadczył, że chciałby uczestniczyć w kosztach. Powiedział to z grzeczności, a także z powodu dumy. Być może miał nadzieję, że odrzucą jego propozycję, bo pomyślał, żeby wybrać najdroższy lokal w mieście, nie był jego. Ale przystali na to, w związku z czym jej biedni rodzice musieli wziąć drugą pożyczkę, choć spłacali już kredyt na mieszkanie. Całe szczęście, że zaprosili tylko stu gości. I o niczym nie chcieli słyszeć, kiedy zaoferowała im swoje oszczędności, które



udało jej się zebrać przez ostatnie sześć miesięcy. Powiedzieli, żeby wpłaciła je do banku, bo nigdy nie wiadomo, co przyniesie przyszłość!

Wszyscy pojechali kolejką do restauracji na górę Karmel, żeby wybrać menu. Kiedy rodzice chłopaka opowiedzieli się za szwedzkim stołem, co oczywiście jeszcze bardziej podniosłoby koszty uroczystości, jej rodzice posłali jej tylko rozpaczliwe spojrzenie, nie śmiejąc przyznać, że ich na to nie stać. Szczęście drogo kosztuje. Smutek jest bardziej oszczędny, bo łzy wypłakuje się w domu.

Przyszły pan młody i jego rodzina wrócili do Jerozolimy, a ona i jej rodzice zamartwiali się w Hajfie.

Ze względu na cenę zrezygnowała z sukni, którą chciała kupić, skorzystała więc z okazji, że z Autocars - firmy, w której pracował jej ojciec - jechał autobus do Tel Awiwu i udała się do swojej kuzynki Jaeli, która wyszła za mąż pół roku wcześniej. Dwa miesiące temu kuzynka, chcąc jej wyświadczyć przysługę, zaproponowała, że pożyczy jej swoją suknię ślubną. Dziewczyna podziękowała, twierdząc, że chce mieć własną, a nie używaną.

Wzięła jednak ostatecznie suknię kuzynki, dwa razy na nią za dużą, i wróciła do Hajfy, żeby od razu zanieść ją do poprawki u krawcowej.

Po powrocie do domu zastała tam Fimę i Sarniego, którzy przyszli spytać jej rodziców o wrażenia z pierwszego spotkania z przyszłymi teściami. Krewni z entuzjazmem opowiedzieli im, że dzień wcześniej, w pociągu z Tel Awiwu, gdzie co tydzień bywali z wizytą u córki i wnucząt, poznali parę bardzo sympatycznych turystów pochodzących - jaki świat jest mały! - właśnie z Barcelony. Sami i Fima zwierzyli się w jidysz Ruth i Nahumowi Lilienblumom, których poznali w owym pociągu, że jeszcze dwa dni temu nie znali nikogo z tego miasta, a nagle ich krewna ma po-

ślubie młodego człowieka stamtąd. Być może go znają? Lilienblumowie odpowiedzieli, że nie tylko znają, ale przyjechali specjalnie na jego ślub.

- Przyszła panna młoda jest bardzo ładna - powiedział Nahum do Sarniego.

- Była już ładna, kiedy była mała, ale jest strasznie uparta - dodał Sami.

- Co też pan mówi? - wtrąciła się Ruth. - Wydała mi się bardzo sympatyczna.

- To fantastyczna dziewczyna o złotym sercu, ale jest buntowniczką - dorzuciła Fima.

- To właśnie jest w niej ujmujące - powiedział Nahum, któremu od razu spodobała się przyszła panna młoda. - Ma charakter i jestem pewien, że będzie z niej dobra balabusta\* umiejąca prowadzić dom.

- Kocha ją i to się liczy - zakończyła Ruth.

To właśnie opowiedzieli Sami i Fima, dodając, że kiedy wysiadali z pociągu, byli zgodni, że ta historia bardzo przypomina bajkę o Kopciuszku i jej czarującym księciu.

Tego wieczoru, kiedy narzeczony zapytał przez telefon, czy suknia jest gotowa, pilnowała się, żeby nie wyjawić, że wyjdzie za mąż w kreacji pożyczonej od kuzynki Jaeli, więc powiedziała tylko, że cudownie na niej leży.

Później, opowiadając Józefinie, ile rodzice będą musieli zapłacić za catering, dodała, że ma wielką ochotę odwołać tę rujnującą uroczystość i pobrać się w największej tajemnicy tak jak ona.

- Już za późno, teraz możesz tylko powiedzieć mu prawdę - doradziła jej siostra.

- Nie mogę. Gdybyś widziała, jakie życie prowadzą w Barcelonie, zrozumiałabyś.

• Balabusla - w jidysz: dobra gospodyni.

Kiedy wybiła godzina zero, narzeczony przyjechał po nią volkswagenem swojej siostry. W ciemnozielonym akksamitnym garniturze i niebieskiej muszce był najprzystojniejszym panem młodym, jakiego kiedykolwiek widziała. Była bardzo dumna, że to właśnie ją wybrał za żonę.

Przywitali ich rodzice: jego wyglądali bardzo elegancko w odświętnych strojach, a jej wydawali się nieco zagubieni w tej wspaniałej sali.

Matka pana młodego pochwaliła jej suknię, a wściekły ojciec zapytał, dlaczego wbrew temu, co wspólnie uzgodnili, szwedzki stół zamieniono na dania serwowane gościom do stołu. Miała ochotę odpowiedzieć, że niczego nie uzgodnili, a ta decyzja została im narzucona. Nie wiedziała jednak, co się stało, spojrzała więc pytająco na matkę.

Ta oświadczyła, że przejęła inicjatywę, ponieważ zna tutejszych ludzi i wie, że są przyzwyczajeni do obsługi przy stole, pomyślała więc, że nigdy nie stanęliby w kolejce do szwedzkiego stołu.

Wzięła matkę na stronę.

- Jak mogłaś to zrobić, nie konsultując się ze mną? - wybuchła.

- Harowałam jak wół dla tej chwili i nikomu nie pozwolę jej zepsuć. Poza tym wiesz doskonale, że dużo bardziej elegancko jest podawać ludziom do stołu.

Rodzice pana młodego byli wściekli, a jej przyszły teść przez cały wieczór nie odezwał się słowem do jej matki. Raczył jedynie życzyć jej *mazel tow\** po błogosławieństwie ślubnym. Luna okazała się bardziej ugodowa. Wśród gorących uścisków i gratulacji szybko zapomniała o incydencie.

Po uroczystości nowożeńcy usiedli na krzesłach, które goście podnieśli do góry, i trzymając się za ręce, patrzyli

\* *Maze! tow* - po hebrajsku: gratulacje!

na siebie zakochanym wzrokiem, jakby bujali w obłokach. „Na dobre i na złe”, powtórzyła w myślach.

Posiłek podany przez miłą obsługę był wysmienity, lecz zakochani młodzi niczego nie tknęli, bo wzruszenie odjęło im apetyt. Wszyscy byli trochę podchmieleni i wino łało się strumieniami, kiedy niespodziewanie jej ojciec zaczął częstować gości cygarami. Ci wetknęli je sobie między zęby i chodzili dumni jak pawie. Obserwowała swoich rodziców, którzy wydali ją na świat, kiedy byli już po czterdziestce, i tak długo czekali, żeby móc paradować na ślubie swojej córki i jej wspaniałego młodego małżonka. Tym bardziej że wesele starszej córki ograniczyło się do obiadu w restauracji - bez uroczystości religijnej czy tańców i przyjęć, z którymi grywali w rummy. A widziano już kiedyś ślub, na którym wkoło częstowano cygarami!?

Ponieważ pan młody nie mówił po hebrajsku, rabin zwrócił się do niej z pytaniem, kto zapłaci za jego posługę - ojciec pana młodego czy panny młodej.

- Ten, kto ma na to środki - odpowiedziała, wskazując swojego teścia.

Kiedy o pierwszej nad ranem ostatni goście wyszli z restauracji, młodzi udali się do znajdującego się nieopodal hotelu Dan, gdzie zgodnie z tradycją pan młody wziął ją na rękę i przeniósł przez próg wspaniałego apartamentu. Czeki, które dostali, porozrzucali na łóżku i po podłodze, zapalili papierosy i przekomarzali się, mówiąc do siebie „mój mężu” i „moja żono”. Na koniec poprosiła, żeby zachował aksamitny zielony garnitur, w którym tak świetnie wyglądał.

Lecz nie chciała się z nim kochać.

- Dlaczego? Masz okres?

- Nie, ale nie znoszę utartych schematów. Oczekuję, że cały czas będziesz mnie zaskakiwał, a nie tylko w łóżku przed spaniem.

Był zdumiony. Może nie ożeniłby się z nią, gdyby wiedział.

- Jestem w kuchni i smażę sznycle - tłumaczyła. - Zachodzisz mnie od tyłu, przytulasz, zdejmujesz mi majteczki i nagle bierzesz mnie z zaskoczenia, rozumiesz?

- U nas Laura przygotowuje sznycle. Chciałabyś, żebym zrobił jej niespodziankę?

Wybuchła śmiechem, chwyciła go za rękę i przewróciła na ziemię na czeki, którymi usłana była podłoga. Potem zajęła się zdejmowaniem jego aksamitnego, zielonego garnituru, a on oswobodził ją z sukni ślubnej po kuzynce.

Następnego dnia, kiedy szła pożegnać się ze starym Duchownym, wpadli na Batję z córeczką. Przyjaciółka obiecała, że odwiedzi ich w Barcelonie. Ponieważ jej mąż jest marynarzem, mogą podróżować, gdzie chcą.

- To jedna z twoich przyjaciółek? - spytał mąż.

Zna ją od dzieciństwa, wyjaśniła. Są jakoś spokrewnione, ale nie wiedziała jak.

## WOJNA O SYNAJ

Tamtej nocy moja siostra i ja miałyśmy taki sam sen. Znalazłyśmy na ziemi monetę. Schylając się, aby ją podnieść, znalazłyśmy jeszcze jedną, i jeszcze jedną. Można je było zbierać garściami, jak to się mówi. Już miałyśmy iść dalej, lecz nie zrobiłyśmy nawet trzech kroków, kiedy zawróciłyśmy z drogi i zaczęłyśmy kopać w poszukiwaniu skarbu. Natknęłyśmy się na monetę o wartości ćwierć szekla i kolejną - pół szekla, jednym słowem istna góra monet. Zupełnie jak gracz wygrywający w jednorękiego bandytę w kasynie, z tą różnicą, że my musiałyśmy kopać w ziemi, żeby znaleźć pieniądze.

Dwie siostry śniące identyczny sen!

Przemierzałyśmy ulicę Stanton, bawiąc się, wymyślając historyjki, opowiadając głupstwa, stwarzając świat, w którym fikcja mieszała się z rzeczywistością. Kiedy jest się biednym, fantazjowanie trochę osładza życie i myślę, że właśnie dlatego rodzice nigdy nie zmuszali nas, żebyśmy twardo stąpały po ziemi. Na przykład kiedy mówili

do nas przy stole, a my nie odpowiadałyśmy, domyślali się, że właśnie snujemy jakieś marzenia. Chwila ta była dla nas tak samo cenna jak wieczorna bajka.

Uwielbiałam historię, jaką opowiadał nam tata przed snem. Była o dwóch rybakach siedzących nad brzegiem zatoki. Jeden był ubrany bogato, a drugi bardzo skromnie. Bogaty rybak zapytał biedaka, co robi.

- To samo co ty, łowią ryby - odparł biedny.

- Dlaczego tracisz czas, czekając, aż ryba połknie haczyk? - rzekł bogaty rybak. - Powinieneś zrobić tak jak ja i zarzucić dwie przynęty. W ten sposób złowiłbyś dwa razy więcej ryb.

- I cóż bym z tego miał? - spytał biedny rybak.

- Sprzedałbyś więcej ryb i zarobił więcej pieniędzy - odparł bogaty rybak.

- I cóż bym z tego miał? - powtórzył biedny rybak.

- Za te pieniądze mógłbyś nabyć mocną sieć i łowić jeszcze więcej ryb.

- I cóż bym z tego miał?

- Sprzedawałbyś więcej ryb i za zarobione pieniądze mógłbyś kupić sobie małą łódź, zarzucać większą sieć na głębokim morzu i łowić jeszcze więcej ryb.

- I cóż bym z tego miał?

- Za uzbierane pieniądze mógłbyś kupić większą łódź i zatrudnić trzydziestu ludzi, którzy pracowaliby dla ciebie, a ty nie miałbyś już nic do roboty.

- Więc na czym spędzałbym dni? - spytał biedny rybak.

- Mógłbyś spokojnie łowić ryby dla czystej przyjemności.

- Czyż nie to właśnie robię? - zapytał biedny rybak.

To zawsze tata opowiadał nam historie aż do dnia, kiedy zastąpiła go Rosie. Była urodzoną bajarką. Pamiętała najdrobniejsze szczegóły i nigdy nie zdarzyło jej się zapo-

mnieć o zaczarowanej księżniczce zamkniętej przez mачochę w komórcie bez okien o tak wąskim otworze, że tylko ptak mógł wcisnąć tam dziób.

Rodzina Rosenbergów składała się z Rosie, matki, Johnny'ego, ojca - bardzo przystojnego mężczyzny - i Batji, chudziutkiej dziewczynki. Rosie i jej mąż byli dalekimi krewnymi taty, którzy szukali pracy w całym kraju, aż w końcu zamieszkali w Hajfie. Tata załatwił Johnny'emu pracę dokera i przekonał swoją siostrę Lucynę, żeby wynajęła Rosenbergom małą kuchnię cioteczki Marii. Ze względu na swój wiek cioteczka przeniosła się do pięknego pokoju z balkonem, w którym przed wstąpieniem do marynarki sypiał Dori.

Skulone na wąskim łóżku Rosenbergów, bo kuchnia bez okien była zbyt ciasna, żeby postawić w niej drugie łóżko, Batja, Seffi i ja, z głowami przepełnionymi historiami o czarownicach, które opowiadała nam Rosie, latałyśmy nad odległymi krainami przemarnięte do szpiku kości, siedząc okrakiem na miotle, w towarzystwie królów, hrabiów, książąt i ropuch, wiedząc, że tylko miłość może uratować świat od zła.

Potem błogo zasypiałyśmy w małym łóżku, śniąc piękne sny i z nadzieją czekając na następny dzień.

Rano krzyki Rosie zerwały nas na równe nogi. Johnny wrócił pijany w sztok, na kilometr cuchnąc alkoholem. Rozochocony winem zlał swoją żonę na kwaśne jabłko, ponieważ śmiała zapytać, gdzie spędził noc.

Batja, która była przeraźliwie chuda i słaba, próbowała rozdzielić matkę i ojca. Ale Johnny potrząsnął nią jak gruszą i odpuszczając na chwilę żonę, zaczął bić córkę. Patrzyłyśmy na to osłupiałe i przerażone widokiem takiego okrucieństwa. I pomyśleć, że zasypiałyśmy pełne nadziei, a obudziłyśmy się w koszmarze!



Seffi i ja na próżno próbowaliśmy odciągnąć Batję, bo jej ojciec odepchnął nas jak zawodnik sumo podnoszący piórko.

Tata przybiegł zaalarmowany naszymi krzykami, ale był bezsilny wobec takiego furjata.

Ponieważ nie mieliśmy telefonu, żeby wezwać policję, moja siostra i ja o szóstej nad ranem rzuciłyśmy się na balkon i krzyczałyśmy wniebogłosy: „Ratunku! Ratunku! Zabiją nam tatę!”.

Wiele ciekawskich głów pojawiło się w otwartych oknach, bo było gorąco.

Nissim, nasz sąsiad z góry, przybył pierwszy i ze względu na doświadczenie, jakie posiadał w tej materii - nie było dnia, żeby nie bił pasem piątki swoich dzieci - bez większego problemu wyrwał naszego ojca ze szponów tego wariata.

Tata kazał swojemu kuzynowi Johnny'emu wynosić się razem z żoną i córką.

Rosie na kolanach błagała tatę, żeby wybaczył jej mężowi, który wcale nie chciał źle. Po prostu za dużo wypił i postradał rozum.

- To już się nie powtórzy, obiecuję.

Lecz tata nie chciał o niczym słyszeć. Miał po dziurki w nosie tych wszystkich mężczyzn z bloku bijących swoje żony i dzieci.

Johnny położył się na łóżku i zaczął kwilić jak mały chłopiec, który został zbesztany. Prosił tatę o przebaczenie, przysięgając, że nigdy więcej tego nie zrobi, i mówiąc, że nie ma dokąd iść.

- To dlatego, że wszystkich tłuczesz jak brutal - powiedział tata, rozumiejąc teraz przyczynę kłopotów Johnny'ego i jego rodziny.

- Biję tylko swoją żonę i córkę, żeby odreagować - zaprotestował Johnny.

Rosie rzuciła ojcu błagalne spojrzenie, szepcząc mu do ucha, że jeśli ich wyrzuci, Johnny któregoś dnia w końcu zabije ją i dziecko.

Tata się ugiął i pozwolił Johnny'emu zostać, ostrzegając go, że jeśli znowu zacznie, wyśle go do więzienia.

- Tam przynajmniej nie będziesz mógł nikogo bić i będziesz pod surowym nadzorem.

Potem zaprowadził nas do domu i ukołysał, żebyśmy mogły zasnąć spokojne i bezpieczne.

Następnego wieczoru byliśmy w łózkach, kiedy przyszła Rosie z Batją, żeby opowiedzieć nam bajkę. Zapadałyśmy już w sen, gdy wyszły.

Wycie syren postawiło nas na równe nogi.

Seffi wybuchła szlochem, sądząc, że Johnny znowu bije Batję, ale tata powiedział, że tym razem nie chodzi o Johnny'ego, tylko o alarm lotniczy. Wybuchła wojna.

Tak zaczęła się wojna o Synaj.

Policyjny samochód z głośnikiem patrolował dzielnicę, wzywając ludność do zejścia do schronów. Hajfa była bombardowana.

Johnny pojawił się z córką w ramionach, wziął nas, moją siostrę i mnie, za ręce i zaprowadził do schronu. Tata zajął się babcią Vaviką, która jeszcze żyła - miała umrzeć następnego roku - a mama, która zawsze twardo stąpała po ziemi, czuwała nad tym, by zabrać kołdry.

- Chcę mój pantofel! Wracam go poszukać! - krzyknęłam, odkrywając, że w pośpiechu zgubiłam jeden but.

Oswobodziłam się z uścisku Johnny'ego, który cały czas trzymał nas za ręce, jak gdyby to mogło uchronić nas przed bombami.

Dorośli usiłowali odwieść mnie od tego, zapewniając, że pantofel do niczego mi się nie przyda, jeśli zginę bombardowana przez Egipcjan.

Kiedy Johnny zgłosił się na ochotnika, że go poszuka, mama skorzystała z okazji i poprosiła, żeby przyniósł pudełko z rachatlukum, które znajdowało się w szafie na drugiej półce po prawej stronie. Przechowywała je na specjalne okazje. To przynajmniej osłodziłoby nasze ostatnie chwile.

Johnny pojawił się całą wieczność później z moim pantoflem i pudełkiem rachatlukum.

- Gdzieś ty przepadł? - lamentowała mama.

- Tak dobrze je ukryłaś, że sama już zapomniałaś, gdzie je włożyłaś. Wywróciłem wszystko do góry nogami i w końcu znalazłem je na dolnej półce po prawej stronie.

Wszyscy rzucili się na słodkości, po czym oświadczyłam, że umieram z pragnienia.

Johnny jeszcze raz poszedł na górę szukać butelek z wodą.

Kiedy ugasiłyśmy pragnienie, wszystkie trzy zaczęłyśmy się skarżyć, że chce nam się siusiu.

Johnny po raz trzeci poszedł na górę i wrócił z nocnikiem, a potem każda z nas stała w kolejce, żeby sobie ulżyć. Gdy dzieci skończyły, przyszła kolej na rodziców.

Następnego wieczoru, słysząc syrenę, tata oznajmił, że lepiej zostać w ciepłym łóżku, niż spędzać noc na bieganiu po nocnik. Na szczęście po kilku dniach wojna się skończyła i Rosie znowu mogła opowiadać nam bajki przed snem. Aż do dnia, kiedy Johnny wypił stanowczo za dużo i odszedł z żoną i córką tam, gdzie mógł się znęcać nad nimi do woli bez ryzyka, że tata będzie mu ciągle rzucał kłody pod nogi.

Chciała zadzwonić do siostry, żeby opowiedzieć jej o swoim miodowym miesiącu w Grecji.

- Hotel był położony na szczycie klifu - opowiadała jej później - widziałam podpisy mnóstwa sławnych aktorów w złotej księdze, Paul Newman, Glenda Jackson... Wiesz, zrobiło mi się od tego słabo. Noc kosztowała równowartość miesięcznej wypłaty taty.

- Ale dlaczego zrobiło ci się słabo?

- Bo zostaliśmy sześć nocy i nie przestaję myśleć o tym, co tata i mama mogliby zrobić z podobną kwotą.

- To kwestia przyzwyczajenia - odparła Józefina, jak gdyby była ekspertem w tej dziedzinie.

- Wiesz, fotograf z hotelu zrobił nam zdjęcie. Nigdy nie zgadniesz, ile to kosztowało.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała jej siostra, która nie skończyła jeszcze studiów i ledwo wiązała koniec z końcem.

- Tyle co twoja suknia ślubna.

- Naprawdę? Przynajmniej kolorowe to zdjęcie?

- Nie, czarno-białe. Ale duży format, oprawiliśmy je w srebrną ramkę i stoi w salonie.

- A ile kosztowała ramka?

- Tyle co twoje wesele.

- Słuchaj, w końcu się do tego przyzwyczaisz, zobaczysz.

- Do czego się przyzwyczaję?

- Do dostatniego życia. Ale postaraj się dobrze zachowywać, żebyś nie przyniosła nam wstydu.

Po powrocie do Barcelony przeprowadzili się do olbrzymiego mieszkania na czwartym piętrze, w którym wszędzie były parkiety. Paola, włoska ciotka, mieszkała nad

nimi z mężem i dwójką dzieci. Mieszkanie było puste, żeby mogli je umeblować wedle własnego gustu. Mąż z dumą pokazał jej, gdzie zamierza urządzić salon, jadalnię, biuro i dwa pozostałe pomieszczenia, pokój dla gości i ewentualnie pokój dla dziecka.

Pokój, który miał być ich sypialnią, był tak przestronny, że można było jeździć w nim na wrotkach. Stwierdziła, że jest za duży i nieprzytulny, gdy tymczasem sąsiedni pokój, przeznaczony na biuro, ma idealne rozmiary.

Jeszcze bardziej nie podobał jej się sposób, w jaki mąż chciał urządzić olbrzymi salon składający się z dwóch pomieszczeń różnej wielkości. Był zdania, że mniejsza część świetnie nadawałaby się na kącik telewizyjny, a w drugiej mógłby stać stół, przy którym spotykałoby się rodzina i przyjaciele.

Nie zgadzała się z nim, więc zaprowadził ją na piąte piętro, aby zobaczyła, że u jego wujka salon też zajmował największą przestrzeń, przestronny pokój należał do rodziców, średni do ich syna Roberta, a najmniejszy do ich córki.

- No i co z tego? Oni mają dzieci.

Paola wyjaśniła jej na stronie w kuchni, że jest to tradycyjny układ barcelońskich mieszkań. Widząc, że nie ustępuje, podsumowała lapidarnym zdaniem.

- Tak już jest w małżeństwie i tyle.

- Co to znaczy: „tak jest”? Ja też mam coś do powiedzenia!

- Ale to jego zawód. Studiował przez pięć lat, żeby do tego dojść - przekonywała ciotka.

Dziewczyna bała się, że Paola pomyśli, iż jest kapryśna. Ale nie zamierzała ustąpić, nawet jeśli siostra przykazała jej dobrze się zachowywać.

- Tak? A ja jestem kobietą, która wie czego chce, a czego nie chce.

Po tygodniu dyskusji poddał się, kiedy powiedziała, że jest trochę zagubiona w tym dużym mieszkaniu

i chciałyby czuć się dobrze przynajmniej w swoim pokoju. U rodziców spała na balkonie, metr na dwa, przerobionym na sypialnię. Trzydziestometrowy pokój był cztery razy większy od salonu z jej dzieciństwa. A ona tak lubiła ciepło, które wiązało się z życiem w kupie na małym metrażu. W końcu przystał na jej argumenty.

Ponadto czuła się bardzo zażenowana, kiedy wychodząc z windy, widziała portiera w liberii biegnącego, by otworzyć jej drzwi. Sama jest w stanie sobie z tym poradzić, oświadczyła mu po hiszpańsku, lecz mężczyzna poprzestał na uśmiechu, nie ruszając się z miejsca. Kiedy obładowana pakunkami wracała z Corte Ingles, portier spieszył, aby odebrać je od niej, i wołał windę, żeby nie musiała czekać. Zastanawiała się, co pomyśleliby jej rodzice, widząc, że ten człowiek traktuje ich córkę z szacunkiem godnym księżniczki.

Pewnego wieczoru zwierzyła się z tego teściom, którzy zaprosili ich na kolację: nie lubiła, kiedy portier otwierał jej drzwi, jakby był służącym. Jej teść, nieco rozdrażniony, dał jej do zrozumienia, że temu człowiekowi za to właśnie płacono i powinna przyzwyczać się do nowego życia, zachowywać się z godnością i nie wprowadzać w zakłopotanie stróża ani nie przeszkadzać mu w wykonywaniu jego pracy.

Poppełniła kolejny błąd, kiedy teściowa zaproponowała, że pożyczycy im Laurę na jeden dzień w tygodniu, żeby pomogła jej w pracach domowych i w kuchni.

- Ujdzie jeszcze, żeby sprzątała, ale nie ma mowy, żeby jej stopa postąpiła w mojej kuchni - oburzyła się.

A kiedy zaprosiła gosposię, żeby zjadła z nimi obiad, który sama przygotowała, zauważyła, że Laura nie mogła przełknąć najmniejszego kęsa, tak była skrępowana.

Któregoś dnia teściowie powiadomili ich, że mają zamiar wyprawić w Barcelonie przyjęcie z okazji ich ślubu i zaprosić przyjaciół z diaspory. Powtarzanie uroczystości wydało jej się dziwne, ale odparli, że wszyscy pragną dzielić ich szczęście i dać im prezenty.

Zgodnie ze zwyczajem zostawili w luksusowym sklepie listę prezentów, co było o wiele rozsądniejszym rozwiązaniem niż dawanie czeków - banalny prezent, przy którym nigdy nie było wiadomo, jak określić wysokość sumy, żeby nie sprawić zawodu. Dzięki temu mogli urządzić mieszkanie od lodówki, przez kanapy do salonu, po toster. Ona sama wybrała wagę. Jest to doprawdy dziwaczny prezent, niepasujący do pozostałych przedmiotów, i zapewne nie znajdzie nabywcy, zauważył jej mąż. Na co odpowiedziała, śmiejąc się, że kupi go ten, kto chciałby zważyć jej życie.

- W rzeczywistości ta waga da mi wrażenie bycia bogatą - wyjaśniła. - Będę mogła się zważyć, kiedy tylko przyjdzie mi na to ochota.

Ten przedmiot znajdujący się w drogim sklepie był symbolem jej nowego życia, zbytku, który do niczego nie był potrzebny, lecz pragnęło się go mieć.

Waga pozostała samotna na liście aż do nieoczekiwanego przyjazdu Kushiego. W drodze do Stanów Zjednoczonych zatrzymał się w Barcelonie, żeby zobaczyć dziewczynę, i przy okazji podarował jej ten prezent.

- Moja droga, jeśli urodziłaś się w Wadi Salib i poślubiłaś barcelończyka, waga to pozorny szczyt luksusu - odparł, kiedy zapytała go o wyjaśnienia. - To żebyś mogła sobie powtarzać każdego dnia: „Liczą się ze mną. Nikogo nie potrzebuję”.

- Tak dobrze mnie rozumiesz! Powiedz, nie gniewasz się już? - spytała, mając na myśli zdarzenie z czasu wojny Jom Kippur.

Pojął aluzję.

- Nigdy się nie gniewałem. Tylko nie rozumiałem i nie zrozumieć, co ci strzeliło do głowy.

Odwiedziła ją także siostra ze szwagrem, którzy wyjeżdżali do Nowego Jorku, żeby tam kontynuować studia.

Zwierzyla się siostrze, kiedy siedziały w kuchni jej wspaniałego domu, że czuje się coraz bardziej zagubiona.

- To dlatego, że nie przywykłaś jeszcze do małżeństwa - wyjaśniła Józefina, zostawiając ją z jej nową rodziną.

Siostra ubarwiała swoje listy roztroprnymi radami: nie zapominać o zamykaniu ust w trakcie jedzenia, dobrze przeżuwać, zanim się przełknie, trzymać nóż w prawej, a widelec w lewej ręce i nie mylić sztućców do ryby ze sztućcami do mięsa.

- Sądzisz, że kurczak mógłby się zachnąć, gdybym pokroiła go nożem do ryb?

- Kurczak nie, ale rodzina twojego męża tak.

W innym liście napisała Józefinie, że chciałaby pracować dla architekta nazwiskiem Coudrec.

- To najbardziej renomowane biuro w Barcelonie. Wyobraź sobie, że jego syn powiadomił mnie, iż należy być schludnie ubranym i zorganizowanym, żeby mieć szansę na to stanowisko. Nie zapytał mnie, czy umiem rysować ani jakie mam doświadczenie, zdajesz sobie sprawę? Szuka gosposi czy co? Wytłumaczył mi, że pod koniec dnia należy wyczyścić każdy rysunek dwoma rodzajami gumki i przetrzeć go watką nasączoną benzyną przed zwinieniem go na następny dzień.

To przypomniało jej Johna, Boliwijczyka o wrażliwym sercu, najlepszego rysownika w grupie. Miał talent do tego zawodu, który ona niechętnie wybrała. Poznała go na Izraelskim Uniwersytecie Technicznym, gdzie studiowała



architekturę. Spotykała się u niej grupka studentów z Ameryki Południowej, a także niejaki Mosze, który pochodził z Istambułu i pomagał im przygotować się do egzaminów.

John mieszkał ze swoim rodakiem, który przybył do Izraela po tym, jak reżim porwał jego młodszego brata - nigdy nie zwrócono im jego ciała. Lubiła odwiedzać Johna w jego małym, ładnie urządzonej mieszkancku i kiedy przygotowywał zupę pomidorową z torebki, uczyła go hebrajskiego. On dla odmiany uczył ją hiszpańskiego. Nie miał pojęcia, że jakiś czas później będzie rozmawiała w tym języku z innym mężczyzną.

Co piętnaście dni jeździła z nim do jego matki i młodszej siostry do Tel Awiwu. Dostrzegając współczucie w jego oczach, kiedy patrzył na matkę porzuconą przez męża dla młodej sekretarki, zrozumiała, że nie wybaczył ojcu.

Mimo że nie została przyjęta na Uniwersytet Hebrajski, zdecydowała się przenieść do Jerozolimy, bo bardzo potrzebowała zmiany powietrza. John pomagał jej szukać mieszkania, ale wszystkie były zbyt drogie. W końcu znaleźli w Beit HaKerem mieszkanie na spółkę z dwoma studentkami, które za przyzwoitą cenę zaproponowały jej wspólny salon. John zrobił przepierzenie oraz drzwi ze sklejki i tym sposobem miała najładniejszy pokój za niski czynsz. Jej wściekłe współlokatorki zażądały, żeby więcej płaciła, ale posłała je do diabła, wymachując im przed nosem umową o najem.

John zgodził się przenieść do Jerozolimy, gdyby zdecydowała się tam zostać. Znalazła pracę w biurze Ackersteina, a w piątki wracała do Hajfy, żeby zobaczyć się z nim i swoimi rodzicami. Lecz kiedy John chciał wreszcie zrealizować swój plan, było już za późno, właśnie poznała młode-

go barcelończyka, który nucił jej melodie po angielsku i udawał trąbkę.

Być może nie zostawiłaby Johna, gdyby umiał udawać dźwięk trąbki, choć zastanawiając się, doszła do wniosku, że przeszkadzały jej jego chuderlawość i niski wzrost. Kiedy ją obejmował, miała wrażenie, że ściska w ramionach dziecko, a nie prawdziwego mężczyznę. Lecz jak dwudziestodwuletnia dziewczyna mogła zrozumieć, że mały Boliwijczyk wcale nie był mniej męski od wysokiego i silnego Hiszpana?

- No i co, ten Coudrec w końcu cię zatrudnił czy nie? - dopytywała się jej siostra w kolejnym liście.

- Tak. Parsknął śmiechem, kiedy spytałam, czy chce, żebym przychodziła do pracy w masce chirurgicznej. Moja izraelska bezpośredniość musiała mu się spodobać.

- No to świetnie. I co robisz z tymi pieniędzmi?

- Odkładam na czarną godzinę, a część wysyłam rodzicom.

- Niepotrzebnie. Wiesz, że nigdy ich nie ruszą.

Zaczęła się codzienna rutyna. Rano obydwójce wychodzili do pracy, o czternastej mąż przyjeżdżał po nią i zabierał ją do swoich rodziców, aż do dnia, kiedy się zbuntowała i wywalczyła ograniczenie do dwóch wizyt w tygodniu. Po południu przygotowywał się do obrony pracy doktorskiej, nad którą ślęczał od wielu tygodni, gdy tymczasem Seffi skończyła swoją w niecałe dwa miesiące na Technion\* w Hajfie.

\* Technion - Instytut Technologii Technion w Hajfie, najbardziej znana wyższa uczelnia techniczna w Izraelu.

Kiedy po południu chciała zaangażować go do jakiegokolwiek zajęcia, mówił, że nie ma czasu, bo musi przygotowywać się do obrony. Z braku lepszego rozwiązania wychodziła z Mercedes, swoją była współlokatorką, kolegami z pracy, a najczęściej z Paolą i jej dziećmi lub teściami. On widywał się ze swoimi przyjaciółmi raz w tygodniu.

Teściowa uczyła ją swoich sekretów i przepisów kulinarnych. Kiedy je opanowała, ośmieliła się zaprosić teściów oraz wujków i ciotki męża, którzy rozplýwali się w pochwałach nad jej kulinarnym talentem. Pewnego wieczoru zaprosiła na kolację Ruth i jej męża. Zachwycali się kawiozem z bakłażana mocno doprawionym czosnkiem oraz liśćmi winogron faszerowanymi mięsem i ryżem z dodatkiem jogurtu. A Nahum oświadczył, że zawsze wiedział, iż będzie z niej doskonała pani domu.

Była urzeczona.

- Po czym to poznać?

- Masz wyraziste spojrzenie. Ponadto, jak sobie przypominasz, mam oczy na opuszkach palców, dzięki czemu mogę widzieć więcej.

Odpowiedziała, że prawdziwa Rumunka musi umieć gotować. Ma to w genach.

## GRA W RUMMY

Katastrofa! W następny szabat mieliśmy grać w rummy u Markowiczów.

Nienawidziłam tam chodzić. Mieszkali na końcu świata i kiedy tata przegrywał, nie miał ochoty nieść mnie na rękach w drodze powrotnej. Wystarczyło, że z powodu tej głupiej gry musiałam wracać o drugiej nad ranem, powłócząc nogami.

Dlaczego w każdy piątkowy wieczór nie grało się tylko u nas?

Musiałymy chodzić z rodzicami, bo Seffi nie lubiła zostawać sama w domu. Ja nie bałam się złodziei. W każdym razie nie było u nas niczego, co warto by ukraść, no może poza żetonami do rummy: były to najbardziej gładkie i najbardziej błyszczące żetony, jakie kiedykolwiek widziałam.

Oświadczyłam Józefinie, że odmawiam pójścia do Markowiczów w następnym tygodniu po tym, co zrobiła nam ich córka Pnina, i zaproponowałam siostrze, żeby została ze mną w domu. Ubłagała mnie, żebym poszła

jeszcze ten jeden raz, a tata obiecał, że pozwoli nam po-  
malować żetony do rummy w następny szabat.

W wieku lat dwunastu Pnina Markowicz cierpiała na  
metr siedemdziesiąt wzrostu i trądzik. Ledwo wyszłyśmy  
na zewnątrz, pośpiesznie robiła sobie makijaż, żeby  
ukryć pryszcze. Przy jej wzroście i tapecie na twarzy spo-  
kojnie można ją było wziąć za szesnastolatkę.

Pnina robiła wszystko, żeby podobać się chłopcom,  
prawdopodobnie z powodu swoich kompleksów, a także  
dlatego że rodzice nie okazywali zbyt wielkiej czułości  
swej jedynaczce.

Podczas naszej poprzedniej wizyty u Markowiczów  
moja siostra odmówiła zabawy w chowanego z Pniną,  
twierdząc, iż ta dziewczyna wcale nie ma ochoty się  
z nami bawić, ale mamie udało się przekonać Seffi, że  
„mała”, czyli ja, zanudzi się i zacznie marudzić. Wiedząc,  
że rodzice nigdy nie pozwoliliby jej wyjść samej, Pnina  
wtrąciła swoje trzy grosze. W końcu moja siostra nie-  
chętnie zgodziła się wyjść, gderając, że to przeze mnie.

- Tak, ale to przez ciebie tu jesteśmy - odparowałam,  
żeby zamknąć jej dziób.

Pnina ociągała się na schodach, robiąc sobie makijaż,  
aby ukryć pryszcze, a ja naciskałam wyłącznik światła.

Nie zdążyłyśmy zrobić trzech kroków na ulicy, kiedy  
otoczyła nas czwórka urwisów w wieku około szesna-  
stu lat, których, szczerze mówiąc, interesowała tylko  
Pnina.

Zaproponowałam, żebyśmy pobawili się w berka, i nie  
mogłam zrozumieć, dlaczego patrzą na mnie z pogardą,  
mówiąc, że to dobre dla pięcioletnich maluchów.

- Ja mam osiem i pół roku i uwielbiam bawić się w ber-  
ka - zaprotestowałam.

Lecz oni byli za zabawą w chowanego, a Pnina chętnie się zgodziła. Ustąpiłam więc, pod warunkiem że pierwsza będę szukać.

Obróciłam się do ściany i zaczęłam liczyć do pięćdziesięciu.

Następnie otworzyłam oczy i zaczęłam szukać. Nie miałam problemu ze znalezieniem swojej siostry, bo nigdy nie oddalała się zbyt daleko i bała się ciemnych kryjówek.

Dla odmiany Pnina przepadła jak kamień w wodę. Zapuszczając się aż na dzikie pole, gdzie nie chodziłyśmy nawet za dnia, usłyszałyśmy szepty i zobaczyłyśmy na rogu ulicy czterech łobuzów otaczających Pninę i obmacujących jej piersi.

Skryłyśmy się w pewnej odległości, żeby nas nie dostrzegli, i właśnie miałyśmy odejść, kiedy Pnina zaczęła płakać: „Przestańcie! Puśćcie mnie!”.

Zmusili ją, żeby wsiadła do porzuconej na dzikim polu ciężarówce, a jeden z nich stał na czatach. Seffi zasugerowała, żebyśmy pobiegły po rodziców Pniny, ale odwiodłam ją od tego, bo pomyślałam, że dziewczyna dostanie niezłe lanie, jeśli jej rodzice się dowiedzą, że zadaje się z bandą łobuzów.

Pociągnęłam za sobą siostrę.

- Chodź, porozmawiamy z nimi.

Zbliżając się, odkryłyśmy, że na warcie stoi nie kto inny, tylko Jaków Abbas, który mieszkał na naszej ulicy.

Kazałam mu wypuścić Pninę.

- Niby dlaczego? - odparł z tupetem.

Postawiłam wszystko na jedną kartę, wiedząc, że ojciec Jakowa jest bardzo surowy i zasadniczy i nie toleruje, kiedy jego dzieci podkradają ze sklepów.

- Bo jak nie, to powiem twojemu ojcu, że kradniesz ze sklepu gumy do żucia. Zobaczysz, spuści ci lanie!

- A poza tym natychmiast idziemy na policję - dodała moja siostra stanowczym tonem.

Jaków, prawdopodobnie bardziej wrażliwy na pierwszy argument, wszedł do ciężarówki i po chwili wyprowadził z niej zapłakaną Pninę.

- Splywa ci tusz do rzęs - rzuciłam do Pniny, żeby ją rozweselić, ale nie przestawała szlochać.

Nie musiała nas prosić, żebyśmy trzymały język za zębami. Z pewnością nie zamierzałyśmy donosić. Józefina wtajemniczyła jedynie tatę, ale wcześniej kazała mu przyrzec, że zachowa to dla siebie. Ponieważ wiedział, że biedaczka dostałaby nieźle w skórę, a nienawidził rodziców bijących dzieci, dotrzymał słowa.

Kiedy Pnina skończyła gimnazjum, jej matka wysłała ją do pracy w biurze. Na darmo nasza mama próbowała ją przekonać, żeby zmieniła zdanie, tłumacząc, że dziewczyna powinna iść do liceum albo przynajmniej uczyć się na sekretarkę, lecz pani Markowicz o niczym nie chciała słyszeć. Utrzymywała swoją córkę do czternastego roku życia i było to aż nadto. Najwyższy czas, żeby sama zaczęła sobie radzić, znalazła męża i opuściła dom. Poza tym liceum kosztuje majątek, a to znaczy, że nie tylko nie przynosiłaby pieniędzy do domu, ale trzeba by jeszcze zaciskać pasa przez kolejne cztery lata, żeby jej głupia córka znalazła bardziej wykształconego męża. A tak w ogóle kto powiedział, że dobry mąż gwarantuje dobrą przyszłość? „Sama jesteś księgową. I na co ci była ta nauka, co? Zostałaś sprzątaczką, żeby wyżywić rodzinę, co to za życie?”

Mama odpowiedziała, że jest jej wszystko jedno. Wiedziała, że Józefina pójdzie do liceum. Co do mnie, nie miała sprecyzowanych planów.

- Mówiąc między nami, jest ładna, zawsze jakoś sobie poradzi. Ale twoja Pnina - ciągnęła mama, kręcąc głową - powinna nauczyć się jakiegoś zawodu.

Tamtego piątku graliśmy w rummy u nas w domu. Uwielbiałam, kiedy przypadała nasza kolej przyjmowania gości. Cały dom był w stanie podwyższonej gotowości. Niczym rozgorączkowany hazardziści przygotowaliśmy dla gości trzy stoły przykryte zielonym sukniem, które tata przywiózł z Rumunii, i pożyczaliśmy czerwone krzesła od ciotki Lucyny. Następnie pomagaliśmy mamie przygotowywać przekąski: kanapki z kaszkawałem i czarnymi oliwkami, kawior z bakłażanów mocno doprawiony czosnkiem i taramę\*, którą tata sam przyrządzał z plasterków cebuli i mięszu challaha, plecionej chałki na szabat. Był również bułgarski słony ser z plasterkami pomidorów dla złagodzenia ostrości. Od czasu do czasu pojawiały się także burekas\*\*, jajka na twardo, owoce, arbuzy i oczywiście fantastyczny cozonac\*\*\* mamy.

Kiedy to my mieliśmy przyjmować gości, rezygnowałam nawet z zabawy na dworze, żeby pomóc mamie w przygotowywaniu cozonaca. Starannie oddzielała białko od żółtka, żeby nie stłuc skorupki ani nie upuścić kropli żółtka do białka, przez co mogłaby się zepsuć konsystencja ciasta - do taty należało ubijanie białek - i palcem czyściła dno skorupki. Tak samo zresztą robiło się, przygotowując jajka sadzone albo zwykły omlet.

Ciasto rosło przez całą noc zawinięte w dwie szmatki, trochę jak dziecko, któremu zabraniało się wychodzenia z mokrymi włosami. Następnie uroczyście stawiało się

\* Tarama - turecka pasta rybna.

\*\* Burekas - w kuchni tureckiej: rożki nadziewane oliwkami, cebulą i szpinakiem.

\*\*\* Cozonac - rumuńskie ciasto drożdżowe.



zawiniętą masę koło maszynki spirytusowej, najcieplejszego miejsca w domu. Kiedy ciasto potroiło objętość, rozwałkowałyśmy je i wypełniałyśmy pysznym nadzieniem, które mama robiła z kakao, cukru, cynamonu i tłuczonych orzechów. Bez rodzynków, bo ich nie lubiliśmy.

Kiedy ciasto zostało zwinięte i ozdobione, ostrożnie wkładaliśmy je do formy, którą mama przykrywała, i odstawialiśmy je do wyrośnięcia na jeszcze kilka godzin. Gdy w końcu mama wstawiała je do pieca, co pięć minut sprawdzałyśmy, czy cozonac rośnie jak należy, i rozkoszowałyśmy się cudownym zapachem.

Na początek mama podawała jako aperitif dulceatę\* z zimną wodą dla zaostrenia apetytu. Jakby trzeba było pobudzać nasz apetyt! Co jak co, ale nie byliśmy ascetami. Mama nakładała konfiturę, którą przyrządzała wiele dni wcześniej, do kryształowych kieliszków przywiezionych z Rumunii.

Dulceata była rumuńską specjalnością, której uparcie nie chciałam wziąć do ust.

- Przynajmniej spróbuj - nalegał tata. - Jeśli nie, skąd możesz wiedzieć, że jej nie lubisz?

- Nie znoszę tego kasztanowego koloru.

Kiedy gracze zasiadali przy stole, Józefina i ja podchodziłyśmy jak najbliżej, żeby nie przegapić ani fragmentu rozgrywki.

Siadałam obok ojca, żeby patrzeć, jak gra. Zawsze towarzyszyło temu napięcie, bo lubił podejmować ryzyko. Pod koniec wieczoru tata i mama liczyli swoje wygrane. Ostrożność mamy i brawura taty przeważnie równoważyły zyski i straty, a często trafiały im się niezłe sumy, z czego cieszyliśmy się z siostrą.

\* Dulceata - w kuchni rumuńskiej: konfitura z owoców.

Kolo dwudziestej drugiej podawało się kolację. Była to chwila, na którą czekałyśmy z utęsknieniem. Tata i mama wstawali, by dokończyć ostatnie przygotowania. Pozwalali nam grać za siebie na pieniądze, nie na żarty, i mogłyśmy nawet zachować kwoty, które wygrałyśmy. Brali za to na siebie nasze przegrane. Rodzice mieli do nas zaufanie nawet w grze.

Skrupulatnie wykorzystywałyśmy ich nieobecność, która trwała około pół godziny. Jeśli wygrywałyśmy, goście oskarżali moją siostrę i mnie, że oszukujemy, używając zaszyfrowanego języka. Oczywiście była to nieprawda, ale dorośli mieli zwyczaj kłamać, żeby wyjść z twarzą. Nie przejmowałyśmy się tym zupełnie, najważniejsze było to, żeby wygrać.

Kiedy kończono posiłek, a stół był uprzątnięty, korzystałyśmy z kolejnej przerwy, kiedy tata przygotowywał kawę po turecku, której sekret znał tylko on. Stawiał dzbanek na ogniu, a mama biegła do kuchni, żeby oszczędzić kilka łyżeczek kawy, zanim pochłonie je wrząca woda.

Po kawie zaczynała się kolejna partia. Byłam bardzo zadowolona, kiedy tata wygrywał, bo wprawiało go to w dobry humor.

Nazajutrz rano Józefina przypomniała ojcu, że zgodziłyby się zostać w domu w następny piątek, pod warunkiem że będzie mogła przemalować czerwone i żółte żetony do gry.

- Ona pomaluje czarne - zasugerowała, wskazując na mnie - a ty zielone.

- Dlaczego ona miałaby mieć dwa kolory, a ja tylko jeden? - natychmiast zaprotestowałam. - Niech przynajmniej zostawi mi największe numery.

- Numery nie są ważne, głupia, tylko kolory, a są jedynie cztery.

Tata spytał, czy chciałabym iść z nimi w następny piątek do Markowiczów.

- Dobrze wiesz, że nie! - odpowiedziałam rozdrażniona.

- To pozwól dzisiaj wybrać siostrze, a następnym razem będzie twoja kolej.

Ustąpiłam, ale następnym razem moja siostra znowu malowała dwa kolory, a ja tylko jeden.

Spirałam się o to, kiedy wreszcie przyjdzie moja kolej.

- Dobrze, ale ja biorę zielone, a ty czarne.

- Nie lubię czarnego - odparłam przez przekorę, żeby nie zrobić tego, co zaproponowała moja siostra. Zawsze postępowałam na przekór, żeby sobie nie myślała, że jest bardziej sprytna dlatego, że ma rok i osiem miesięcy więcej niż ja.

- Dlaczego nie lubisz czarnego? - spytał tata.

Błyskawicznie wymyśliłam kłamstwo.

- Dlatego że ludzie w czerni zawsze są smutni jak wy, kiedy umarła babcia.

Co dwa miesiące, żeby uniknąć kłótni, tata pozwalała nam przemaalowywać żetony do rummy, mimo że wystarczyłoby to robić dwa razy do roku. Trzeba zaznaczyć, że w przeciwieństwie do Polaków, którzy grają w remika zwykłymi kartami, Rumuni grają w rummy. Zasady są takie same, ale my używamy prostokątnych żetonów, których kolory ścierają się z czasem. Mieliśmy dwa komplety do gry wyprodukowane w Rumunii, dużo lepszej jakości niż tandeta sprzedawana w Izraelu.

Tata zostawiał żetony na całą noc do namoczenia w ciepłej wodzie z mydłem. Rano były gładkie i bezbarwne, gotowe oddać się w nasze ręce. Najpierw dokładnie je wycierałyśmy. Następnie otwierałyśmy cztery słoiczki z farba-

mi - czerwoną, zieloną, żółtą i czarną - w których zamaczałyśmy cienkie pędzelki, uważając, żeby farba nie wypłynęła. Kiedy wyschła, za pomocą brzytwy delikatnie zeszkrobywałyśmy rozlany kolor i polerowałyśmy każdy żeton alkoholem, żeby nadać mu połysk.

Nasze żetony były jak nowe, bo moja siostra i ja nie przestawaliśmy się kłócić o to, która przemaluje ich więcej.

\* •

Kiedy jej mąż zgadzał się porzucić swoje notatki dla chwili odprężenia, udawali się do jego przyjaciół, którzy wydawali jej się nudni jak flaki z olejem. W szczególności Jacob, dobrze prosperujący biznesmen, pochodzący z zamożnej rodziny. Zawsze był ubrany zgodnie z ostatnim krzykiem mody w nienaganny garnitur i dobrany do niego krawat, nawet kiedy przyjmował gości w domu. Prześcigał się w elegancji ze swoją żoną, która jak dwie krople wody przypominała Jacqueline Onassis. Wszystko w ich domu było z białej skóry. Z obawy, żeby jej nie zabrudzić, nikt nie śmiał usiąść na kanapie w salonie, do którego zresztą dzieci nie miały prawa wstępu. Maluchy mogły się bawić tylko w swoich pokojach, i to między siedemnastą a osiemnastą. Potem była kąpiel i kolacja, którą niania dawała im w kuchni, bo nie pozwalano im jeść w jadalni znajdującej się obok nieskalanego salonu. Dzieci bogaczy musiały być bardzo nieszczęśliwe w tym bielusińskim domu, w którym niczego nie mogły dotykać i były poddawane żelaznej dyscyplinie szkoły wojskowej.

Upłynął rok. Młody małżonek obwieścił, że na Paschę pojedą do Izraela. Ucieszyła się i powiedziała mu, że chciałaby obchodzić seder ze swoimi rodzicami.

- Ale miałem zamiar spędzić pierwszy wieczór świąt u mojej siostry!

- A ja mam zamiar spędzić go u moich rodziców. Ale możesz jechać do Jerozolimy, jeśli chcesz. Nic nie stoi na przeszkodzie.

Nie wierzył własnym uszom. Jak mogła zasugerować mu coś podobnego?

- Jesteś moją żoną i nie chcę się z tobą rozstawać.

- Przede wszystkim jestem córką moich rodziców - odparła jak rozpieszczona dziewczynka.

Mimo wszystko zgodziła się spędzić seder w Jerozolimie, a do Hajfy pojechać następnego dnia.

Dzięki temu jej rodzice nie będą musieli stawać na głowie, żeby zrobić wrażenie na swoim bogatym zięciu.

Zaraz po przyjeździe zapytała rodziców, co słychać u Batji.

- Dlaczego pytasz? - zainteresowała się matka, odwracając wzrok.

- Wysłałam do niej co najmniej trzy listy, ale na żaden nie odpisała. A nie mogłam do niej zadzwonić, bo zgubiłam jej numer.

Prosiła ojca, żeby podał jej numer, ale on odłożył słuchawkę. Rzucił jej zakłopotane spojrzenie i przyznał, że Batja zmarła dziesięć miesięcy temu. Wirusowe zapalenie wątroby wykończyło ją w ciągu miesiąca, niedługo po ich ślubie.

- Dlaczego mi nie powiedzieliście?

Nie chcieli jej martwić. Woleli poczekać na jej przyjazd, by osobiście przekazać jej smutną wiadomość, niż żeby dotarła do niej z daleka.

Mąż wziął ją za rękę, żeby dodać jej otuchy.

- Ale jak można tak szybko umrzeć na zapalenie wątroby? - pytała.

- Nie wiadomo. Wszystko wydarzyło się tak nagle!
- To na pewno dlatego, że była ciągle bita przez ojca.

Jak zareagował na śmierć córki?

Rodzice spojrzeli po sobie.

- Johnny palnął sobie w łeb na grobie Batji - rzuciła w końcu matka.

- Kochał ją na swój sposób - skomentował ojciec.

- A Rosie?

- Plecie bez ładu i składu. Wiesz, pomieszało się jej od tego w głowie. Dobrze, że raz w tygodniu zanosimy jej jedzenie, bo inaczej zagłodziłaby się na śmierć.

Pod koniec smętnego posiłku dziewczyna wyszła pod pretekstem, żeby się przewietrzyć. Myślała, że gdy wróci do miejsca, w którym spotkała Batję w przeddzień swojego ślubu, rok temu, być może stanie się cud. Nie było cudu, za to wpadła na jedną ze starych koleżanek z klasy, która powiadomiła ją, że John się ożenił, ma bliźniaki i jest architektem w Londynie, gdzie robi wielką karierę.

- Sama widzisz, życie toczy się dalej - zakończyła ze złośliwą satysfakcją.

- Tym lepiej - przyznała dziewczyna szczerze zadowolona, że dobrze mu się powodzi.

Wróciła do rodziców, gdzie czekał zaniepokojony mąż. Poprosiła go, żeby zanucił jej melodię, udając trąbkę, co tak dobrze umiał robić. Dwa tygodnie później cieszyła się, że wrócili do Barcelony.

Następnego lata pojechali do Lloret de Mar na Costa Brava, do domu rodziców jej męża, w towarzystwie Mercedes i Jorgego zachwyconych, że mogą spędzić z nimi wakacje. Delektowała się paellą, piła sangrię, obierała z pancerzy krewetki i zajadała się kalmarami oraz skorupiakami, jakby były to zwykłe orzeszki ziemne. Mąż nie

opuszczał jej przez całe lato, co na nowo rozbudziło jej miłość do niego. Przynosił jej kwiaty do łóżka, nosił ją na plecach po stromych schodach prowadzących do domu stojącego na zboczu wzgórza. Kiedy się kąpali, nurkował pod jej nogami, podnosił ją na ramionach i wyrzucał do tyłu. Zachowywali się jak zakochane nastolatki, lecz kiedy tylko dołączyli do nich na weekend jego rodzice, znowu stał się poważnym i powściągliwym Europejczykiem.

W Rosh Haszana, na jej dwudzieste piąte urodziny, zrobił jej niespodziankę, zawożąc na lotnisko bez słowa wyjaśnienia. Myślała, że chce ją zabrać do Rzymu albo Paryża, do chwili kiedy zobaczyła swoich rodziców z walizkami.

Jej matka natychmiast wzięła w posiadanie kuchnię, gdzie zabrała się do przyrządzania rumuńskich potraw, którymi rozkoszowali się jej teściowie po tym, jak poradziła mamie, żeby dawała mniej czosnku.

Z przyjemnością pokazywała im miasto, które bardzo im się spodobało, mimo że jej matka wypluła owoce morza, nie mogąc pojąć, jak można spożywać niekoszerne jedzenie. Co ciekawe, bardzo zasmakowała w wieprzownie. Ojciec do wszystkiego się przyzwyczaił i bez skrępowania ucinął sobie z portierem pogawędkę w ladino.

Miesiąc później jej rodzice polecieli do Paryża. Bowiem oprócz niespodzianki, jaką zrobił jej mąż na urodziny, bardzo się starał, żeby jego teściowie poznali wielki świat. I jeszcze bardziej go kochała.

Mieszkali u wujka i ciotki swego zięcia, którzy pokazali im stolicę. Po powrocie do Izraela wydawało im się, że był to sen.

Odwiedzili ją także przyjaciele z Izraela - Gingi, Amiram i Mosze. Jej mąż zaprosił ich na corridę, a ona zabrała ich na spacer po Les Ramblas, a potem do wesołego miasteczka.

Ale następnej zimy, kiedy wszyscy wyjechali, a mąż pograżył się w studiowaniu, znowu poczuła się samotna w obcym kraju.

Pewnego wieczoru Jacob i jego żona zaprosili ich na kolację. Posiłek podany na wspaniałej zastawie wcale nie był wyjątkowy. Z niecierpliwością czekała na deser, lecz wielkie było jej rozczarowanie, kiedy zobaczyła, jak bona - bo mieli prawdziwą bonę - kładzie na każdym talerzu nieobraną pomarańczę, jak gdyby był to kawior z białugi. Jacob, posługując się nożem i widelcem, obrał owoc ze zdumiewającą zręcznością. Następnie pokroił go, ciągle za pomocą noża, na cztery części, które nabijał na widelec. Jej mąż i żona Jacoba zrobili tak samo.

- Nie lubisz pomarańczy? - spytali.

- Oczywiście, że lubię. U nas jadamy je od kołyski. - I śmiało chwytając owoc, obrała go palcami, nie tykając sztucców. - U nas jada się pomarańcze rękami, jak kurczaka - wyjaśniła pozostałym, którzy przypatrywali się jej w milczeniu. - A właściwie gdzie są Marc i Gabi? - spytała nieco później, zdziwiona nieobecnością dzieci.

- Marc ma zakaz wychodzenia z swojego pokoju przez dwa tygodnie - odpowiedział Jacob.

- Dlaczego?

- Wszedł do naszego pokoju i przeszukał wszystkie szafy.

Domyśliła się, że chłopiec w końcu nie wytrzymał i stracił panowanie nad sobą, ale postanowiła się nie odzywać i obiecała sobie, że własne dzieci wychowa w Izraelu.

- Biedne dzieciaki, szkoda ich, nie sądzisz? - powiedziała do męża w drodze powrotnej.

Lecz on wcale tak nie uważał i oświadczył, że dzieci potrzebują dyscypliny.

- Dzieci potrzebują miłości.



- Jacob jest być może trochę surowy, ale kocha swoje dzieci - odparł.

Wątpiła w to. Zastanawiała się, czy one kochają ojca, i żałowała, że nigdy nie zapytała o to Batji.

- Chciałabym wrócić do Izraela - oświadczyła niespodziewanie.

- Nie czujesz się tutaj dobrze?

Próbowała lawirować.

- Nie o to chodzi. Chcę żyć w małym mieszkaniu w Tel Awiwie i mieć czwórkę dzieci, które palcami obierają pomarańcze.

Później zwierzyła się siostrze przez telefon, że się dusi.

To musiała być poważna sprawa, skoro zadzwoniła do niej, zamiast napisać, zrozumiała Józefina.

- Dlaczego?

- Wszystko jest tu ustalone. Dwa razy muszę się zastanowić, czy mogę coś zrobić czy nie. Zakaz żartowania ze sprzedawcą, a tym bardziej z portierem, bo szanująca się dama nie obcuje z prostymi ludźmi. Nie mówiąc o tych historiach z nożami i widelcami, które zaczynają mi działać na nerwy. Używają ich nawet do jedzenia pomarańczy, wyobrażasz sobie? A poza tym dzieci są tutaj nieszczęśliwe.

- Nie przesadzasz trochę?

- Nie. Nie jestem szczęśliwa.

- Nudzisz się i tyle.

- Może.

- Weź sobie psa, tak jak ja!

Poszła za radą siostry i kupiła cudnego szczeniaka, kokerkę, którą nazwała Medi, „dziewczynka” w jidysz. Teraz miała dobry powód, żeby chodzić na spacery każdego popołudnia.

- Po co ci taka kula u nogi? - spytali jej teściowie.  
- Lubię psy. A poza tym jestem w ciąży i przydadzą mi się spacerzy - oznajmiła przy obiedzie, po zielonej sałacie.

Wszystkie spojrzenia skupiły się na niej. Zapadła grobowa cisza.

Mąż wziął ją w ramiona i pocałował.

- To cudownie!

- Nie za wcześnie? - wmieszała się Luna, podczas gdy Alberto milczał.

- Dlaczego za wcześnie?

- No cóż, jesteście obydwójcie młodzi i dopiero co zaczęliście karierę. Nie jesteście jeszcze ustawieni.

- Jedno nie przeszkadza drugiemu. A poza tym dobrze zarabiamy.

Mąż przytulił ją do siebie w ciszy. Teść zakończył stwierdzeniem, że są małżeństwem dopiero od półtora roku i należałoby rozważyć tę sprawę.

- I macie psa - dodał, jakby chciał powiedzieć: to wystarczająca rozrywka, po co wam jeszcze dziecko?

- Dzieci lubią zwierzęta.

Po czym pożegnała się pod pretekstem, że jest zmęczona i chciałyby odpocząć.

Wieczorem zadzwoniła do siostry i do rodziców, którzy skakali z radości.

Chwilę później przyszła ciotka Paola.

- Luna przekazała mi wielką nowinę! Gratulacje! Tak się cieszę! Dzieci przynoszą tyle radości w życiu!

I bez ogródek wyjaśniła jej, jak należy walczyć z nudnościami.

Teściowa zadzwoniła, żeby przeprosić za swoją wcześniejszą reakcję. Oczywiście decyzja należy do niej.

Odpowiedziała, że decyzja została podjęta i jest nieodwołalna.

Potem zapowiedziała mężowi, że daje mu sześć miesięcy na obronę doktoratu, bo ona wraca do Izraela z dzieckiem w brzuchu, z psem i z nim, taką przynajmniej ma nadzieję.

- Chcę urodzić w Izraelu, przy moich rodzicach i mojej siostrze.

## DUMA NARODU

Stojąc na balkonie, patrzyłam, jak ojciec Jakowa bije syna pasem, i z całego serca żałowałam chłopca. Ktoś musiał donieść, że podkradał w sklepie. I wtedy na balkonie pojawiła się moja siostra ze szklanką mleka w ręku, radząc, bym je wypila. Odmówiłam stanowczo, ale nalegała, strasząc mnie, że inaczej nigdy nie urosnę.

- I co z tego? - powiedziałam ze wzrokiem ciągle utkwionym w Jakowie.

Siostra zagroziła, że jeśli jej nie posłucham, wyleje mi mleko na głowę.

- Tylko spróbuj - odparłam.

Co też uczyniła.

Tego wieczoru dostałam gorączki i mama powiedziała Seffi, że to przez nią i to mleko, które na mnie wylała. Jednak kiedy następnego ranka mama szła ze mną do lekarza, oświadczyła, że najwyraźniej mam anginę i że oskarżyła moją siostrę ze złości za jej marnotrawstwo.

W przychodni zastałyśmy niekończącą się kolejkę i mimo że przyszłyśmy wcześniej rano, miałyśmy dopiero osiemnasty

numer. Mama usiłowała wepchać się przed innych, twierdząc, że mamy dziewiąty, ale ponieważ był już komuś przydzielony, ludzie zaczęli mojej matce wygrażać, wyzywając ją od oszustek. Było mi tak wstyd, że nie wiedziałam, gdzie się schować.

Przy wyjściu policjant zapytał mnie, dlaczego płaczę. Odpowiedziałam, że jestem chora i boję się, że nie wyzdrowieję na Święto Niepodległości. „Oczywiście, że wyzdrowiejesz, bo święto jest dopiero za tydzień”, zapewnił mnie.

Żeby mnie pocieszyć, tata sprawił mi w prezencie czarną tablicę i kolorową kredę. Moja siostra pobiegła po Tsillę, Ruhamę i Lindę, żebyśmy pobawiły się w szkołę, i uczyła nas pisać nasze imiona po angielsku.

Pisownia angielska nie jest trudna. Wystarczy bazgrać z dołu do góry, narysować kilka kółek i koniecznie połączyć litery, zostawiając odstępy między słowami. Łatwizna. Nie to, co hebrajski.

Moja siostra napisała swoje imię i od tej pory kazała nam mówić do siebie Josephine, tak jak miała na imię bohaterka *Małych kobietek*. Wyjaśniła nam, że Josephine to jest to samo, co Józefina, od czego zdrobnieniem jest Seffi. Z tą różnicą, że Józefina jest żydowskim imieniem, a Josephine nie. Popisując się, skłoniła nas nawet do tego, żebyśmy w śmieszny sposób wymawiały „j”, tak jak w amerykańskich filmach.

Tata wytłumaczył jej jednak, że nie można zmienić imienia, a jej imię jest po dziadku Józefie. Należy uczcić pamięć naszego zmarłego przodka, a to nie ich wina, że ona urodziła się dziewczynką, a nie chłopcem. Poza tym powinno się nadawać dzieciom imiona biblijne, to obowiązkowe.

Nie można jej zmuszać, żeby nosiła męskie imię, które przecież za nią, a nie za nimi będzie się ciągnęło przez całe życie, zaprotestowała moja siostra.

Józefina nie pozwoliła Tsilli być nauczycielką pod pretekstem, że tablica należy do mnie.

- Więc ja chcę być nauczycielką - zażądałam natychmiast.

Siostra znów się nie zgodziła, argumentując, że boli mnie gardło i nie mogę mówić.

Wieczorem zmuszono mnie do przełknięcia rosołu z kury, po czym mama pochyliła się nade mną i wyrecytowała magiczne zaklęcie w jidysz, trzykrotnie splunęła i każała mi za sobą powtórzyć tajemnicze słowa. Na koniec cała nasza czwórka, czyli ja z mamą, tata i Seffi, zakrzyknęła zgodnym chórem: „Amen, amen, za cały Izrael!”. Gorączka spadła po czterech dniach, dzięki czemu mogłam uczestniczyć w obchodach Święta Niepodległości, najwspanialszego ze wszystkich świąt.

Dzień wcześniej poszliśmy zobaczyć dzieci z ruchów młodzieżowych tańczące *hora*\* na ulicy Herzla, głównej arterii Hadaru. Byliśmy bardzo dumni z tego, że mamy własne państwo, mimo że ze wszystkich stron otaczają nas wrogowie.

Moja siostra i ja poszliśmy wcześniej spać, żeby wstać o piątej następnego poranka.

Tym razem defilada wojskowa, duma narodu, odbywała się w Hajfie.

Jednego roku była w Jerozolimie, kolejnego w Tel Awiwie, a jeszcze następnego w Hajfie.

Obudziłyśmy się na czas. Rodzice przygotowali kanapki i szybko udaliśmy się na aleję Niepodległości, gdzie o dziesiątej miała się rozpocząć parada - chcieliśmy zająć miejsce w pierwszym rzędzie, aby nikt nie zasłaniał nam wi-

\* Hora - tradycyjny taniec żydowski tańczony w zamkniętym, obracającym się kręgu.

doku. Klaskaliśmy na widok czołgów i krzyczeliśmy z radości, podziwiając naszych dumnych i przystojnych żołnierzy. Oto, do czego doszliśmy, mimo Hitlera, niech pamięć jego będzie na wieki przeklęta. Po tych słowach należy splunąć trzy razy i pociągnąć się za włosy, czekając, aż przeleci ptak, żeby odpędzić zły urok.

Wszyscy wiedzą, że to sposób na to, żeby klątwa nie spadła z powrotem na głowę.

Moja siostra, jak zawsze praktyczna, wytłumaczyła mi, że zanim się kogoś przeklnie, najpierw należy się rozejrzeć po niebie, żeby się upewnić, czy jest w zasięgu wzroku jakiś ptak. Jeśli nie, można było rwać włosy przez cały dzień, aby odpędzić urok. Tak samo należało postępować w przypadku czarnego kota.

Nagle rozpętała się gwałtowna ulewa. Tata chciał zostać do końca, ale mama się nie zgodziła, bo byłam jeszcze w nie najlepszej formie.

\*

W piątek o ósmej wieczorem w mieszkaniu w Rishon LeZion odeszły jej wody. Jej mąż z wrażenia upuścił ubrania pakowane w pośpiechu do walizki, której zawartość miała wystarczyć na trzy dni pobytu w szpitalu.

- Przecież jesteś dopiero na początku dziewiątego miesiąca - zauważył, usiłując zapanować nad nerwami.

Poprosiła, żeby zrobił jej kawę, a ona w tym czasie z namysłem przygotowywała rzeczy do spakowania: pantofle, bieliznę, koszulkę do karmienia, szlafrok i pidżamę, bo nie znosiła szpitalnych fartuchów w kolorze zielonego groszku. Ostatecznie można było jeszcze znieść te niebieskie, które dostawali mężczyźni, ale było mało prawdopodobne, żeby znalazła taki na oddziale położniczym. Szalała

z radości, że wreszcie urodzi, i w dodatku ta niekończąca się ciąża potrwa trzy tygodnie krócej.

Włożyła do torby kosmetyczkę z przyborami do maki-  
jażu, nie zapomniała przy tym podkreślić kredką swych  
zielonych oczu i pomalować ust czerwoną pomadką, która  
najbardziej podobała się mężowi. Dziesięć minut później  
przyniósł jej w drżących rękach napój, który był ledwie  
kiepską imitacją kawy po turecku parzonej przez jej ojca,  
w dodatku podał ją w śmiesznej filiżance! W tej samej  
chwili poczuła pierwszy skurcz, który w przeciwieństwie  
do tego, o czym ją zapewniano, był tak silny, że omal nie  
spadła z łóżka, na którym siedziała, pakując torbę.

Kawa wylała się na białą pierzynę, pokrywając ją błot-  
nistym osadem. Dziewczyna zwijała się z bólu, kiedy jej  
mąż ściągał poszwę z kołdry, na której rozpościerała się  
szarawa plama.

„To zły znak”, pomyślała przerażona. Gdyby przynaj-  
mniej filiżanka się rozbiła, mogłoby to przynieść szczęście.  
Ale porcelana nie pękła. Kołdra, którą matka dała jej w pre-  
zencie ślubnym, była cała poplamiona.

Nie wiedząc, czy się śmiać, czy płakać, dziewczyna  
przypomniała sobie, że jej mąż wniósł do małżeństwa  
dom, samochód, meble, telewizor, pralkę, suszarkę do  
prania, zlewozmywak, naczynia i sprzęty kuchenne, w tym  
różnego rodzaju roboty i elektryczny ekspres do kawy,  
podczas gdy jej matka podarowała im pierzynę kupioną za  
z trudem zaoszczędzone pieniądze.

Dotarli do szpitala o dwudziestej pierwszej, a skurcze  
stawały się coraz silniejsze. Czowała się szczęśliwa, że rodzi  
w piątek, jakby mała Noa - takie imię wybrali dla dziecka,  
żeby uczcić pamięć zmarłej niedawno siostry bliźniaczki  
Luny - była królową szabatu urodzoną w dniu, kiedy  
Boska obecność opromienia świat.



Na darmo dziewczyna chodziła tam i z powrotem, jak jej zalecono, żeby przyspieszyć skurcze, bo rozwarcie ciągle jeszcze było zbyt małe. Przy dwucentymetrowym rozwarciu odsyłało się pacjentki do domu.

Zaczęła więc przemierzać korytarze, wyprzedzając swojego męża mimo jego wielkich kroków, opętana myślą, żeby jej córka przyszła na świat w czasie, kiedy Boska obecność błogosławi szabat. Przyzwyczaiła się do chodzenia szybkim krokiem podczas codziennych spacerów z Medi, jej kokerką.

Nagle przypomniała sobie, że wychodząc w pośpiechu, nie pożegnała się ze swoją ukochaną sunią.

- Gdzie jest Medi?

- W domu.

- W domu? Ale to może potrwać dwadzieścia cztery godziny! - wykrzyknęła, nie wyobrażając sobie, że poród mógłby bardziej się przeciągnąć.

- Chcesz, żebym pojechał ją wyprowadzić?

Była przerażona.

- I zostawiłbyś mnie samą? Och, czemu nie ma tutaj mojej siostry, kiedy jej potrzebuję?

- Przypominam ci, że jest w Nowym Jorku. Ale mogę zadzwonić do twojej mamy, jeśli ci na tym zależy - zaproponował, mając nadzieję, że odmówi.

- Nie, nie ma mowy, żeby wrzeszczała nade mną po rumuńsku, by dodać mi odwagi.

Mąż, mimo że miał długie nogi, z trudem nadażał za nią po korytarzach. Józefina, kiedy projektowała zaproszenia na ich ślub, narysowała z drugiej strony długie nogi i ślubny welon.

- Ale dokąd tak pędzisz? Co najmniej od trzech godzin się męczysz. Usiądź - zaproponował. - Chcesz kawę?

- Która jest godzina?

- Pięć minut po północy.

Usiadła i wzięła kubek, który jej podał. Lubiła kawę ze śmietanką ze szpitalnych dystrybutorów, jedyną rzecz w miarę nadającą się do przełknięcia. Cała reszta była ohydna.

- Jak się mówi po hebrajsku „zepsuta maszyna”? - zapytał, żeby odwrócić jej uwagę, widząc, jak zwija się z bólu.

- Och, te ciągle skurcze i ani śladu rozwarcia! - krzyknęła zniechęcona. - Przeklęta pozeraczka.

- Proszę? - zapytał zbity z tropu.

- Maszyna. Pytałeś mnie, jak nazywa się zepsuta maszyna, nie? Obym tylko sama nie zepsuła się przy tym porodzie! - wykrzyknęła przerażona wspomnieniem plam kawy, które zabrudziły bieluteńką kołdrę.

Usiadła przy nich para ortodoksyjnych Żydów. Kobieta powiadomiła ich radośnie, że to jej czwarty poród, ale pierwszy, który wypada w szabat.

O drugiej nad ranem dziewczyna została przyjęta na salę porodową. Kobieta z korytarza była tam już od pół godziny. Nie miała wątpliwości, że z takim doświadczeniem kobieta urodzi przed nią.

Kiedy znaleźli się w środku, usłyszeli wrzaski dobiegające zza zasłonki: „Coś ty mi zrobił, skurwysynu!” Zastanawiała się, jak ortodoksyjna Żydówka może tak kląć i gdzie miała okazję nauczyć się takich słów. Wielce zakłopotany mąż wyjaśnił im, że jego żona ma zwyczaj przeklinać go w czasie skurczów. W domu nigdy nie używa podobnych wulgaryzmów, dodał pośpiesznie.

Dziewczyna starała się rozładować atmosferę.

- Chciałabym być cały czas w ciąży, żeby móc ubliżać całemu światu. Choć po zastanowieniu się stwierdzam, że ból jest tak silny, że chyba zadowolę się dwójką dzieci.

„Będziesz rodzić w bólu i będziesz przeklinać ojca swoich dzieci”, pomyślała, wyjąc z bólu, żeby się przekonać, która z nich krzyczyć głośniej.

Mąż starał się ją wspierać najlepiej, jak potrafił. Wachlował ją, ocierał jej pot z czoła, gładził ją po ręce.

- Chcesz, żebym wymasował ci stopy?

Odmówiła, bo to nie stopy sprawiały jej największy ból.

„Jest taki miły. Gdybym już nie była jego żoną, sądzę, że wyszłabym za niego”, powiedziała do siebie w myślach.

Noa urodziła się o piątej nad ranem, pięć minut przed córeczką tamtej kobiety. Jak gdyby jej Noa chciała ubiec swoją ortodoksyjną rywalkę w dzień szabatu.

Mąż miał łzy w oczach.

- Dlaczego płaczesz?

- Gdybyś widziała, jak lekarz cię kroił, to było straszne, jak kurczaka!

- Ojoj! - przerwała mu. - Tak mnie jeszcze boli! Przecież dziecko już wyszło, prawda?

- Zostało jeszcze łożysko - wyjaśnił lekarz siedzący naprzeciwko niej. - Niech pani mocno prze!

Leżąc z szeroko rozłożonymi nogami, zaczęła wyc jak szalona.

- Dobrze, łożysko wyszło - powiedział doktor. - Doskonale. Niech się pani nie rusza, przecinam. Teraz zszycę.

Była wycieńczona z bólu.

- Będzie bolało?

- Niczego już pani nie będzie czuła - uspokoił ją.

- Moja matka powstrzymuje się od szycia w szabat - wyszeptwała na ucho mężowi, który trzymał ją za rękę i gdyby mógł, chciałby cierpieć za nią.

- Mam wrażenie, że widzę cię, jak nadziewasz kurczaka ryżem - powiedział.

- Zapomniałeś o orzeszkach piniowych i rodzynekach.

- Twój kurczak jest najlepszy na świecie.

- Kochasz go?

Pochylił się i dał jej długi pocałunek.

- Ciebie kocham, skarbie.

Pierwszą rzeczą, jakiej nauczył Noę, będzie faszerowany kurczak po rumuńsku według przepisu przekazywanego z pokolenia na pokolenie, oświadczyła, kiedy przestali się całować.

Położył jej palce na ustach, żeby zmusić ją do milczenia:

- Ciii! Nie mów już. Musisz odpocząć.

Niczego już nie czuła.

- Lekarz skończył?

- Tak - potwierdził lekarz. - Powinna pani teraz pośpać.

- Jak wygląda nasza córka? - spytała przed zaśnięciem.

- Jest piękna jak jej matka.

Zamknęła oczy przepelniona szczęściem.

## NOWE BUTY

Obudziłam się w środku nocy z radością w sercu. Potrzebowałam chwili, żeby przypomnieć sobie dlaczego, i spoglądając pod łóżko, zobaczyłam moje nowe buty błyszczące w ciemności. Podniosłam je, żeby je pogładzić i wciągnąć w nozdrza zapach skóry, następnie delikatnie odstawiłam je na podłogę. Po czym znów zasnęłam pijana szczęściem.

Poprzedniego dnia rodzice zaprowadzili moją siostrę i mnie do sklepu obok kina, żeby kupić nam po raz pierwszy w życiu nowe buty.

Ja chciałam czarne lakierki, takie jak miała Haja, przyjaciółka mojej siostry, ponieważ lśniły jak lustra. Józefina wolała czerwone.

Matka próbowała przekonać ją do czarnych lub białych, argumentując, że te kolory do wszystkiego pasują, na co moja siostra odpowiedziała, że czerwone też.

Sprzedawca zmierzył moją stopę i powiedział mamie, że mam rozmiar dwadzieścia osiem.

- Jaki rozmiar buta państwo sobie życzą? - spytał.

Tata odpowiedział, że dwadzieścia dziewięć, a mama, że trzydzieści jeden, żeby buty mogły mi służyć przez dobre trzy lata.

W końcu zgodzili się na rozmiar trzydzieści. Sprzedawca przyniósł mi czarne lakierki, wypchał je wata, żebym ich nie zgubiła, i podał mi je. Buty mojej siostry były czerwone, ale nielakierowane.

- Nie mam czerwonych lakierków - tłumaczył sprzedawca.

Józefina chwyciła parę, którą jej pokazał, i usiadła, żeby je przymierzyć.

- No i co z tego? Nie lubię błyszczących butów - powiedziała, patrząc na mnie z pogardą.

Pogłaskałam swoje czarne buty, a moja siostra swoje czerwone, żeby rodzice zrozumieli, że się nam podobają i nie zmienimy nagle zdania.

Ojciec zapytał sprzedawcę, czy może zapłacić w sześciu ratach.

- Niech się pan nie przejmuj, będę miał dosyć pieniędzy, żeby zapłacić, bo w listopadzie są wybory.

Sprzedawca się zgodził i zapakował nasze zakupy.

Po raz pierwszy miałyśmy nowe buty na Paschę - do tej pory zawsze chodziłam w starych butach po siostrze. Po raz pierwszy także dostałyśmy białe plisowane spódnice: mama otrzymała je w zamian za poprawki krawieckie, jakie wykonywała.

Mama spakowała nasze nowe spódnice oraz buty do walizki i wyruszyliśmy do naszych kuzynów mieszkających w Haderze świętować seder. Nasza matka pękała z dumy, że jej córki włożą nowe ubrania na święto. Wreszcie będzie mogła iść z podniesioną głową przed swoim bratem Nikiem i bratową Avą.

Przed okienkiem na dworcu stała gigantyczna kolejka, a pociąg do Tel Awiwu był przepełniony.

Tata pomógł mojej siostrze i mnie wdrapać się przez okno z walizkami, żebyśmy zajęły miejsca, kiedy mama i on będą kupować bilety.

Gdy pociąg wreszcie ruszył, wychyliłam się przez okno, nie słuchając taty, który krzyczał, że słup elektryczny może mi uciąć głowę. Beztroska, z przyjemnością wystawiałam się na wiatr, który smagał moją twarz, patrzyłam na mijane w pędzie domy i radośnie machałam ludziom, którzy mnie pozdrawiali.

Wielkie było moje zdziwienie, kiedy odkryłam, że na dworcu w Haderze czeka na nas autobus. Skąd znał dokładną godzinę naszego przyjazdu? Nie musieliśmy czekać na niego godzinami, jak często bywało w przypadku autobusów w Hajfie. To było nieprawdopodobne!

Józefina wytłumaczyła mi, że kierowca znał godzinę przyjazdu pociągu, tak samo jak my wiedzieliśmy, o której odjeżdżał z Tel Awiwu, ale niczego nie zrozumiałam z tych objaśnień.

Niko i jego żona przybyli do Izraela w latach trzydziestych. Niko należał do służby pomocniczej w policji i obecnie zajmował wysokie stanowisko w Histadrut. Po osuszeniu bagien wujek i ciotka zamieszkali w Haderze. Tutaj urządzili skrawek raj, w którym wychowywali swoje dzieci. Niko i Ava uważali, że mama i tata nie są w stanie nagle przeobrazić się w Izraelczyków, ale byli zdania, że ja i moja siostra mogłybyśmy pozbyć się typowo rumuńskich cech i stać się prawdziwymi sabrami\* oraz czystymi syjonistkami. Wyrzucali mojej matce, że nie nauczyła się hebrajskiego. Z kolei mama była wzburzona tym, że jej brat nie uczy swoich dzieci żadnego innego języka, nawet jidysz, jeśli już nie rumuńskiego. Obcy język jest konieczny w życiu. Hebrajski nie wystarczy.

\* Sabra - Żyd urodzony w państwie Izrael lub przed 1948 w Palestynie.

Ale Niko ślepo uwielbiał tylko hebrajski. Na szczęście mama, która nigdy nie uczęszczała na ulpan i była przygłucha, nie miała żadnego problemu, żeby dogadywać się z bratankami i bratanicami w mieszance hebrajskiego i jidysz wzbogaconej gestykulacją.

Wysawszy miłość do Syjonu z mlekiem matki, nasi kuzyni Ryfkele, Itzik i Jossi byli Izraelczykami czystej krwi. My, mieszcuchy, zazdrościliśmy im. Po pierwsze dlatego, że mieszkali w domu z ogrodem, w którym rosły trawa i kwiaty, a zwłaszcza drzewa owocowe: pomarańcze, cytrynowce, nieszpułki i śliwy. W dobudówce w głębi ogrodu było nawet urządzenie do wyciskania soku ze świeżych pomarańczy, bogatego w witaminy. Dla nas był to raj, w którym można było zbierać i zjadać tyle śliwek, ile się tylko chciało, ryzykując niestrawność w środku nocy. Po drugie dlatego, że oni mówili tylko po hebrajsku.

Spaliśmy w pokoju Jossiego. Rodzice wyciągnęli dostawkę spod jego łóżka i złączyli oba meble. Seffi wybrała najlepsze miejsce, przy ścianie, a Jossi na skraju - normalne w przypadku nadpobudliwego dziecka, wstającego o piątej rano. Mnie przypadło więc miejsce środkowe, a ponieważ łóżka nie były tej samej wysokości, znalazłam się w kilkucentymetrowej dziurze. Nie zmrużyłam oka, bo wstydziłam się spać w chłopcym pokoju, mimo że należał do mojego kuzyna, a poza tym umierałam ze strachu, że puszczą donośnego bąka, co wszyscy na pewno by usłyszeli. Całą noc leżałam nieruchoma jak posąg, nie mając odwagi się poruszyć ani oddychać. Niczym jeżozwierze, które kochają się z wielką ostrożnością.

Następnego ranka w sklepie spożywczym, gdzie robiliśmy ostatnie zakupy przed świętem, przyłapałam Jossiego, jak podkradał cukierki i tabliczkę czekolady. Sprzedawca Rahamim zapytał mojego kuzyna, czy jest pewny, że o niczym nie zapomniał.



- Absolutnie pewny - odparł mały nicpoń.

Powiedziałam ojcu o drobnej kradzieży kuzyna.

- Tak naprawdę niczego nie ukradł - odparł tata.

- Ależ tak! Wziął cukierki i czekoladę.

Tata wyjaśnił mi, że ciotka płaciła za kradzieże swego syna, które Rahamim skrupulatnie odnotowywał, żeby nie robić mu wstydu.

Wieczorem włożyłyśmy białe plisowane spódnice i po raz pierwszy nowe buty: ja czarne lakierki, a moja siostra czerwone, nielakierowane. Siostra włożyła niebieską bluzkę z czerwoną zapinką, która bardzo pasowała do jej butów. Co do mnie, moja kasztanowa bluzka gryzła się z nowymi butami, mimo że czarny ponoć pasuje do wszystkiego.

Stół był wspaniale udekorowany, tak jak powinien wyglądać na święto Paschy. Mimo że Niko i jego żona deklarowali się jako niewierzący (nie pościli nawet w Jom Kippur, w przeciwieństwie do naszych rodziców), nie opuścili ani jednego przecinka w Hagadzie\*, kiedy wieczorem siedliśmy do sederu. Cierpliwie zniesliśmy więc naszą niedolę, czekając na to, aby Bóg wyprowadził dzieci Izraela z Egiptu, „silną ręką i z wyciągniętym ramieniem”, i wreszcie nadszedł czas posiłku.

Mnie interesował tylko *afikoman*\*\* . Siedziałam ze wzrokiem wbitym w wujka, żeby zobaczyć, gdzie też mógł schować połowę macy, którą pod koniec posiłku miały znaleźć dzieci. Niestety, nie zauważyłam niczego szczególnego. Kiedy nastąpiła ta chwila, cała nasza piątka rozpierzchnęła się po pokoju. Moja siostra przeszukiwała dywan, Itzik zaglądał pod poduszki, Jossi sprawdzał każdą szparę, a ja przeglądałam stertę płyt leżących na kredensie.

\* Hagada - część Talmudu składająca się z legend, opowiadań, alegorii i przysłów. Hagada na święto Paschy czytana podczas wieczerzy sederowej opowiada o wyjściu Izraelitów z Egiptu.

\*\* Afikoman - kawałek macy, której dzieci szukają podczas sederu.

Przestawiłam wszystkie rosyjskie albumy ciotki. Wyciągając ze stosu hebrajską płytę Yaffy Yarkoni, poczułam coś twardego. Strzał w dziesiątkę! Znalazłam *afikoman*. Mogłam zażyć sobie wszystkiego, co tylko przyszło mi do głowy.

Pomyślałam o rowerze, ale wstydziłam się poprosić o coś tak drogiego, a poza tym ulice Hajfy były zbyt strome, żeby po nich jeździć.

Pomyślałam także o piłce, ale to nie była zabawa dla dziewczyn.

A gdybym wybrała niebieską bluzkę z czerwoną zapinką? Nie, takie ubrania były tylko w Ameryce.

Zapytałam Józefinę o radę.

- O co mogę poprosić? - wyszeptalam jej do ucha.

- O książkę. To zawsze robi dobre wrażenie.

Żeby się sprzeciwić siostrze, która tak naprawdę chciała książkę dla siebie, wybrałam malowaną.

- Jedną dla mnie, a drugą dla Seffi - uściśliłam.

Moja wspaniałomyślność ucieszyła matkę. Nie przypuszczała, że kierował mną duch przekory? ,

\*

Kiedy się obudziła, zobaczyła, że ortodoksyjna kobieta karmi swoją córkę.

- Przyniosłam pani małą Ryfkę - powiedziała pielęgniarka, kładąc na piersi matki owłosioną niemowlę.

Następnego poranka, wchodząc do pokoju, który dzieliła z dwoma innymi młodymi mamami, dziewczyna usłyszała, jak matka Ryfki zwierza się swoim gościom: „Biedna kobieta! Jej córka jest chora. Bogu dzięki, moja jest zdrowa!”. Domyśliła się, że mówią o niej, kiedy zamilkły na jej widok. Z powrotem położyła się do łóżka, odwracając się do nich plecami.

Nie rozumiała, dlaczego nie przynoszą jej dziecka. Widząc, że religijna kobieta po raz drugi karmi swoją córeczkę, gdy ona nie widziała swojej od dwudziestu czterech godzin, zażądała od pielęgniarki wyjaśnień.

- Gdzie jest Noa?

- Noa?

- Tak, Noa, moja córka. Gdzie ona jest?

- Nie wiem. Niech pani zapyta doktora - odpowiedziała pielęgniarka, odwracając się na pięcie.

Dziewczyna zaczęła krzyczeć.

- Chcę się widzieć z moim mężem. Gdzie jest mój mąż?

Wsuwając głowę w szparę między drzwiami, pielęgniarka kazała jej się uciszyć: przeszkadza spać innym mamom.

- Pani mąż czeka na zewnątrz, aż Ryfka skończy ssać.

Dziewczyna założyła pantofle i wyszła w pidżamie na korytarz. Nie znalazła swojego szlafroka, nie pamiętała, gdzie położył go jej mąż. Była przemarznięta i trzęsła się z zimna, a może ze strachu.

Mąż czekał, nie wiedząc, jakie tortury przechodzi.

- Widziałeś ją? - spytała bez wstępu.

- Jeszcze nie. Powiedziano mi, że ktoś przyjdzie z nami porozmawiać.

- Porozmawiać z nami? O czym?

- Nie mam pojęcia. A co? To nie jest normalne?

- Nie, to wcale nie jest normalne - oświadczyła stanowczo, jakby wiedziała, o co chodzi. - Chodź, zobaczymy.

Pociągnęła go za sobą, sadząc wielkie kroki, jakby biegła w maratonie. Kiedy dotarli do sali dla niemowląt, pytali pielęgniarkę, gdzie jest ich córka. Po sprawdzeniu powiedziano im, że nie ma tam ich dziecka.

Miała ściśnięty żołądek i myślała, że zemdleje.

- Ale gdzie ona jest?
- Kiedy się urodziła? - spytała pielęgniarka.
- Wczoraj.
- I jeszcze jej pani nie karmiła?
- No właśnie nie! Gdzie ona może być?

Traciła zimną krew. Jej mąż zapytał, kto może udzielić im informacji.

Pielęgniarka zrozumiała, że coś jest nie tak. Myślała o porwaniach jemeńskich dzieci, które były tematem plotek.

- Może jest na neonatologii? Urodziła się przed terminem? Ile waży?
- Dwa kilo czterysta.
- To niezbyt wiele, ale nie jest wcześniakiem.
- Gdzie się znajduje neonatologia?
- W głębi korytarza.

Tym razem on biegł z przodu, a ona z trudem za nim nadążała, ślizgając się w kapciach przy każdym kroku. Dotarli do zamkniętych drzwi z okrągłymi okienkami - jakby znaleźli się na jakimś statku. Zastukali w szybę. Otworzyła im pielęgniarka w zielonym fartuchu i sterylnej masce na twarzy. Kiedy się przedstawili, powiedziała, że pójdzie poszukać dyrektora oddziału. Siwowłosa mężczyzna mówiący z południowoamerykańskim akcentem, doktor Mogilner, jak wyczytali z identyfikatora przypiętego do białego fartucha, powiedział, że ich dziecko cierpi na niewydolność oddechową.

- Co to jest? - spytali przygnębieni.
- To sinica u noworodków, ale nie znaleźliśmy przyczyny.

Zaprowadził ich do swojego biura, gdzie zapytał, jak przebiegała ciąża.

- W porządku - odpowiedział mąż, jakby chciał dać do zrozumienia, że jego żona nie stwarzała problemów, a on ją wspierał.

- Nie jestem tego taka pewna - sprzeciwiła się.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Zaczęła mówić bardzo szybko, jakby chciała zwymiotować minione miesiące.

- Dręczyło mnie to, że zmusiłam cię do przyjazdu do Izraela. Bałam się, że nie dostaniesz pracy i nie odnajdziesz się tutaj, rezygnując z łatwego życia, do którego byłeś przyzwyczajony. Poza tym sama musiałam zająć się przeprowadzką. Bolały cię plecy, pamiętasz? A oprócz tego jeszcze śmierć twojej ciotki.

- Ale teraz wszystko jest w porządku. Nie masz się czym martwić. Jestem szczęśliwy, że mieszkamy tutaj, a nasze dziecko będzie rodowitą Izraelką.

Zwróciła się do lekarza.

- Czy stres może wpłynąć na płód?

- Oczywiście. A jak przebiegł poród?

Zastanawiała się, czy czegoś przed nią nie ukryto.

- Rodziłam w tym szpitalu. Czy to nie jest zaznaczone w moich aktach?

Doktor zapoznał się z papierami i oświadczył, że nie wydaje się, żeby były jakieś komplikacje.

- Chcecie ją zobaczyć?

Wstali z ławki i poszli za nim do sterylnej sali. Wyjaśnił im, że najpierw muszą umyć ręce, włożyć czepki, zielone fartuchy wiązane na plecach i ochronne pantofle, no i oczywiście założyć maski, żeby nie było ryzyka zakażenia. Kiedy robili to po raz pierwszy, walczyli z paskami, prawą i lewą stroną, ale przez trzy miesiące, które Noa spędziła w szpitalu, mieli czas się wprawić i przyzwyczaili się do tej czynności, która zajmowała im potem tylko kilka sekund.

Wzruszeni oglądali swoją córeczkę leżącą w inkubatorze. Była urocza i proporcjonalna, bez najmniejszego defektu. Po prostu anioł. Ale była naga.

- Nie jest jej zimno? - spytała pielęgniarkę, która była łaskawa przesunąć ich małą Noę, żeby mogli ją podziwiać ze wszystkich stron.

- Tam jest gorąco jak w łaźni, niech się pani nie martwi - zapewniła ją pielęgniarka o imieniu Zahara, jak wynikało z jej identyfikatora.

Dziewczyna przypomniała sobie, jak w szkole raz w tygodniu zabierano ich do wioski Kfar Gałim, żeby nauczyć ich pracy w polu. Tamta zima była wyjątkowo ostra i wilgotna i kiedy zaproponowano uczniom różne zajęcia, każdy wybrał zbiory. Jako małe mieszcuchy zamierzali w spokoju objadać się owocami. Tylko ona zapytała instruktora, czy może wybrać coś innego.

Zaproponował jej pracę w kuchni albo zbieranie patatów, ale odmówiła.

Instruktor dał za wygraną.

- Naprawdę nie chcesz towarzyszyć kolegom w sadzie?

- Napatrzę się na nich wystarczająco przez cały dzień.

- W takim razie zostaje tylko wylęgarnia.

W ten mroźny i wilgotny dzień propozycja wydała się kusząca.

- A co miałabym robić?

- Nic szczególnego. Musiałabyś tylko dbać, żeby kurczętom nie było zimno.

Zaprowadził ją do czegoś w rodzaju domku dla krasnoludków, gdzie musiała się schylić, żeby wejść. Nie dało się tam stanąć, można było tylko siedzieć albo leżeć na podłodze pokrytej słomą. W każdym razie było ciepło. Kurczęta dziobały ją w nogi, więc szybko zdjęła buty. Pomyślała o przygodach Guliwera w krainie Liliputów i nieźle się ubawiła, widząc, jak ptaszki wdrapują się na nią bez najmniejszego lęku. Nie nudziła się, patrząc na nie. Na początku

wszystkie wydawały się takie same, ale szybko nauczyła się je rozróżniać.

Zidentyfikowała najbardziej towarzyskiego, pyszałka, kapryśnika i leniucha. A kiedy ustaliła, który jest najłabszy i nie może się przepchać do korytka, sama go karmiła, żeby trochę się wzmocnił. W następnym tygodniu przyniosła książkę i czytała im na głos. Szczególnymi względami darzyła swojego małego podopiecznego, któremu zawsze dawała jeść pierwszemu. Prawo natury mówi, że najłabszy przeżyje tylko wtedy, gdy będzie miał opiekę. W ciągu sześciu tygodni jej kurczaczek urósł i stał się taki jak pozostałe. W międzyczasie poprawiła się pogoda i dziewczynka zaczęła się dusić w wylęgarni. Poprosiła więc instruktora, o przeniesienie do pracy przy zbiorach i przynosiła do domu kilogramy jabłek. Wszyscy byli bardzo zadowoleni. Przypominając sobie to wydarzenie z dzieciństwa, kiedy patrzyła na swoje piękne, nagie niemowlę, pomyślała nagle, że instruktor być może rozmyślnie powierzył jej zajęcie opiekowania się wątłym kurczątkiem.

Noa otworzyła oczy.

- Są niebieskie! - powiedziała dziewczyna do męża. - Jak oczy twojej matki!

- To się jeszcze może zmienić - oświadczyła inna pielęgniarka, jak gdyby kolor oczu niemowlęcia, który mógł się zmienić w orzechowy, zielony lub piwny, zajmował ich bardziej niż jej niewydolność oddechowa.

## TRAGEDIE SIERPNIOWE

Tamtego miesiąca moja siostra przeżyła dwie tragedie i wyplakała wszystkie łzy. Chociaż tata tłumaczył jej, że nieszczęścia zawsze przychodzą w sierpniu, miesiącu zburzenia Świątyni, nie zdołał jej pocieszyć. Warto wspomnieć, że ojciec nigdy nie pozwalał nam chodzić na plażę w Ticha Beav ze względu na to, że właśnie tam zdarza się najwięcej utonięć - zwłaszcza w sierpniu - mimo obecności ratowników, którzy w tamtych czasach nie strajkowali jeszcze przy każdej okazji.

Najpierw Haja, najlepsza przyjaciółka Józefiny, wyemigrowała do Ameryki, gdyż jej wujkom i ciotkom udało się przekonać rodziców, że w Nowym Jorku czeka Żydów lepsza przyszłość niż w Izraelu, nie mówiąc już o tym, że łatwiej dawać prezenty siostrzenicy, gdy nie trzeba wysyłać ich pocztą.

Później Hannah, jej ulubiona nauczycielka, zginęła w wypadku samochodowym.

Jednoczesna utrata dwóch istot, które moja siostra podziwiała najbardziej na świecie, była dla niej wielkim szokiem.



Nie wspominając o tym, że Haja zabrała ze sobą lalki oraz pianino, na którym moja siostra uwielbiała brzdąkać. Hannah, która uczyła dzieci z naszej dzielnicy, choć sama mieszkała na górze Karmel, odeszła na zawsze. W tamtym czasie młodzi ludzie umierali na wojnie, nie w głupich wypadkach samochodowych.

Żeby rozweselić moją siostrę, ojciec zabrał nas na przejażdżkę Karmelitką, kolejką linową, która właśnie powstała w Hajfie i pokonując kilka stacji, docierała na szczyt góry Karmel.

Cała nasza czwórka (tata zgodził się, żeby mama też uczestniczyła w wyprawie) uważnie obserwowała podróży i kiedy wreszcie zdobyliśmy się na odwagę, żeby postawić stopę w wagoniku, zgubiłam jeden ze swoich nowych czarnych lakierków, tych które dostałam na Paschę. Zobaczyłam, jak się stacza i zatrzymuje na dole schodów. Krzyknęłam, żeby zatrzymano maszynę, abym mogła odzyskać but. Na darmo. Ruchome schody bezlitośnie zmiażdżyły mój nowiutki bucik.

Im bardziej lamentowałam, tym bardziej moja siostra się śmiała. Rodzice wtórowali jej, tak że szybko zapomniała o swych troskach. Spacerowaliśmy po górze Karmel, potem zeszliliśmy na dół, a ja skakałam na jednej nodze ze zmiażdżonym butem pod pachą.

Następnego dnia ubrane w odświętne, plisowane spódnice, mimo że był to zwykły dzień, poszliśmy z mamą do dyrektora kolejki. Jako dowód rzeczowy niosłam swój biedny but.

Dyrektor zauważył, że jestem smutna, ale wyjaśnił mamie, że nie może wypłacić nam odszkodowania za zniszczony but. Gdybym została ranna lub przejechana, można byłoby wystąpić o pieniądze z ubezpieczenia. Ale nie z powodu buta, który uległ zniszczeniu, ponieważ nie umia-

łam korzystać z kolejki. W ramach rekompensaty zaproponował dziesięć darmowych biletów dla dziecka.

Dziesięć biletów dla całej rodziny, zażądała mama bez mrugnięcia okiem i ku jej wielkiemu zdziwieniu dyrektor się zgodził. Tam i z powrotem, dodała więc, żebyśmy nie musieli schodzić pieszo do Wadi Salib.

Dyrektor przystał również na to, wyszliśmy więc zadowolone i gotowe świętować nasze małe zwycięstwo.

Na rogu ulicy zobaczyliśmy małego Araba sprzedającego figi i podeszliśmy do niego. Przed nami w kolejce stał korpu-lentny mężczyzna. Obzerał się figami i za każdym razem kiedy sądziłyśmy, że skończył, wybierał kolejny soczysty owoc, który chcieliśmy kupić. Chłopiec brał figę w podrapane ręce, przecinał ją i obierał, zanim podał temu prosiakowi. Mama wpadła w złość i poprosiła chłopca, żeby wreszcie zajął się nami, biorąc pod uwagę, że tamten żarłok zjadł już co najmniej ze czterdzieści fig. Dziecko posłuchało i obrąło nam dwa dojrzałe owoce, lecz w chwili, kiedy mama właśnie miała poprosić go o więcej, dzieciak kątem oka zobaczył policjanta, który zbliżał się do nas. Mały sprzedawca prawdopodobnie nie miał pozwolenia na handel, w pośpiechu zgarnął więc towar, skręcił w prawo i czmychnął w jedną z uliczek bazaru. I pomyśleć, że pożeracz fig objadł się za darmo, to było odrażające! Według mamy to pewnie on zawołał policję, przy okazji częstując się do woli.

Policjant zapytał nas, czy wiemy, w którą stronę uciekł mały Arab. Grubas wskazał mu właściwy kierunek, ale mama oskarżyła go, że kłamie, a nawet o to, że ukradł wszystkie figi tego biednego dziecka, zmuszonego do pracy, aby przeżyć. Nie mając wątpliwości, że dorośli są zdolni do kłamstwa, policjant zapytał więc o to samo moją siostrę, pewien, że dziewięćipółletnia dziewczynka w białej plisowanej spódniczce powie mu prawdę.

Józefina potwierdziła matczyną wersję. Widząc, że policjant się waha, pogroziłam mu moim butem i spytałam, dlaczego woli wierzyć temu opasłemu złodziejowi fig bardziej niż nam.

Policjant poszedł więc fałszywym tropem, który mu wskazałyśmy, a my tymczasem spokojnie skręciłyśmy w ulicę po prawej stronie, żeby odnaleźć małego sprzedawcę rozłożonego kawałek dalej. Mama kupiła trzy figi, po jednej dla każdej z nas, zapłaciła za nie i zaprowadziła nas do domu.

Byłyśmy bardzo dumne ze sposobu, w jaki nasza matka wykiwała policjanta, żeby uchronić małego Araba. To ten odrażający grubas, ten podły typ zasługiwał na to, żeby skończyć w więzieniu za kradzież ze stoiska!

Tata stwierdził, że jazda kolejką tam i z powrotem nie wystarczy, żeby pocieszyć jego córkę po bolesnej stracie, jakiej doświadczyła. Kilka dni później wrócił do domu z wielkim pudłem. Wszyscy ścisnęli się wokół niego, żeby zgadnąć, co się w nim kryje.

Moja siostra natychmiast odgadła:

- To radio!

Mama miała nadzieję, że chodzi o przenośną pralkę, która uwolniłaby ją od coczwartkowej katorgi prania brudnej bielizny. Ja myślałam, że tata kupił nam dużą lalkę, ponieważ był przy pieniądzach z powodu listopadowych wyborów, a Haja zabrała wszystkie swoje lalki do Ameryki. Ale rzeczywiście było to radio: okrągłe, z brązowego drewna, z zieloną skalą, która się zapalała, kiedy się je włączało. Rodzice codziennie słuchali wiadomości po rumuńsku. Przez resztę czasu odbiornik był wyłączony, bo prąd drogo kosztował.

Pod koniec miesiąca tata miał dla nas jeszcze jedną niespodziankę. Mieliśmy zagrać w prawdziwym amerykań-

skim filmie i nawet zarobić pieniądze. W tym celu wykorzystał swoje znajomości. Dzięki partii załatwił role statystów: kiedy zbliżały się wybory, podlizywano mu się jak nigdy, bo tylko nasz blok ocalał w trakcie zamieszek w Wadi Salib, podczas gdy wszystkie aszkenazyjskie domy zostały obrzucone kamieniami.

Film opowiadał o trzydziestoletniej Amerykance przybywającej do Izraela na spotkanie ze swoim ukochanym z młodości, który ocalał z Shoah. Nie widziała go od piętnastu lat. Oczywiście nigdy nie wyszła za mąż, mając nadzieję, że jej ukochany przeżył to piekło. On również pozostał kawalerem i w końcu odnalazł ją dzięki nadawanym przez radio informacjom o osobach poszukiwanych. Czekał na nią na peronie z bukietem kwiatów w dłoni. Ona miała na sobie czerwony kostium, gustowny kapelusz i białą torebkę. Chwyliła poręcz i chwiejnym krokiem zeszła po schodach. My znajdowaliśmy się wśród tłumu ludzi czekających na swoich bliskich. Zgodnie z pouczeniami reżysera mieliśmy klaskać za każdym razem, kiedy wysiadał pasażer. Godzinami patrzyliśmy, jak przy wtórce okrzyków aktorka wchodzi po schodach i schodzi z nich, po czym rzuca się na szyję swego ukochanego i namiętnie go całuje. Nie przestawali się całować, a przy każdej sekwencji wymieniano bukiet. Seffi i ja nie uroniłyśmy ani słowa z przedstawienia i dialogów, które po raz pierwszy słyszałyśmy na żywo z ust prawdziwych aktorów. Byłyśmy w siódmym niebie, modliłyśmy się, żeby trwało to wiecznie. Poza tym wiedziałyśmy, że dzięki nam tata zarobi pieniądze. Zresztą gdyby reżyser nas poprosił, zrobiłybyśmy to za darmo. A wieczorem przynieśliśmy do domu wszystkie kwiaty.

Podziwiali swoją śliczną córeczkę, kiedy nagle dziecko pośmiało i zaczęło gwałtownie bić powietrze małutkimi piąstkami, jakby wołając o pomoc. Ze wszystkich sił zaciskała wargi, jak gdyby walczyła z czymś niewidzialnym. Aparatura podłączona do inkubatora zaczęła piszczeć. Zahara próbowała ich wyprosić, ale matka ani drgnęła. Pielęgniarka delikatnie odsunęła dziewczynę i wdmuchała tlen do inkubatora. Noa ciągle była sina. Miała dopiero dwadzieścia sześć godzin.

Mała otworzyła usta, żeby krzyknąć, ale rozmyśliła się i zaczęła słabo kwilić. Nie miało to nic wspólnego z niemowlęciem, które krzyczy, bo jest głodne. Nie, to był zduszony płacz dziecka, które chciało żyć. Smutny lament. Aparaty ucichły. Noa oddychała swoimi ślicznymi, lekko rozchyłonymi ustami. Uspokojona, uważnie im się przyglądała, jak gdyby czuła kojącą obecność swoich rodziców, chociaż widziała ich po raz pierwszy. Jej matka włożyła rękę przez otwór i pogłaskała delikatną główkę. Już tak bardzo kochała córkę!

- Spróbujemy ją nakarmić - powiedziała Zahara.

- Niczego jeszcze do tej pory nie jadła? - zirytowała się matka, wściekła, że pozwalają jej maleństwu umierać z głodu.

- Jest pod kroplówką - wyjaśniła pielęgniarka, wskazując rurkę przyczepioną do małej stópki. - Nie znamy jeszcze przyczyny jej niewydolności oddechowej. Przeprowadziliśmy wszystkie możliwe badania, ale ciągle nie mamy wyjaśnienia. Podejmiemy więc pierwszą próbę.

- Butelką ze smoczkiem? - spytał ojciec.

- Nie, przez sondę - odparła Zahara, próbując wprowadzić cienką rurkę do prawej dziurki nosa niemowlęcia. Po

wielu bezowocnych próbach pielęgniarka zaalarmowała doktora Mogilnera. Lekarz patrzył, jak ponownie próbuje przeprowadzić zabieg, tym razem w lewej dziurce od nosa. Na próżno.

Rodzice byli przybici: z niewyjaśnionej przyczyny ich córka, ich aniołeczek, nie mogła ani oddychać, ani jeść. Mąż mocno ścisnął żonę za rękę, jakby chciał dodać jej otuchy. Za to lekarz wydawał się bardzo podekscytowany. Poprosił pielęgniarkę, żeby przyniosła dwie nowe sondy i ponowiła próbę. Zahara tak uczyniła, ciągle bez powodzenia.

Doktor Mogilner promieniał.

- Ma zatkane nozdrza! To jest wyjaśnienie. Wasze niemowlę ma niedrożność nosową. Stąd sinica. To pierwszy taki przypadek w mojej dwudziestoletniej karierze.

- To dobry czy zły znak?

- Jakikolwiek jest, to jakieś wyjaśnienie. Wreszcie będzie można rozwiązać problem.

Poprosił Zaharę, żeby przyniosła aparat do intubacji, i z wielką ostrożnością wsunął rurkę do malutkiej buzi.

- Rurka pomoże jej trzymać otwarte usta. Będzie mogła oddychać, zobaczycie - oświadczył zaniepokojonym rodzicom.

Rzeczywiście oddech Noi ponownie stał się spokojny i regularny.

Lekarz ucieszył się, jakby właśnie odkrył Amerykę.

- To najładniejsze niemowlę, jakie mieliśmy na oddziale - oświadczyła Zahara.

Doktor przytaknął.

- To prawdziwy cud!

- Cud?

- Tak, to niesamowite, że niemowlę mające dwadzieścia sześć godzin zdołało przeżyć, prawie nie oddychając.

Wytłumaczył zdumionym rodzicom, że niemowlęta nie otwierają instynktownie ust, żeby oddychać. To zdarza się pod koniec pierwszego miesiąca, czyli dużo później. Nie znajdował wyjaśnienia, jak z niedrożnością nosową ich dziecko mogło przeżyć tak długo bez powietrza.

Jej anioleczek o niebieskich oczach został pobłogosławiony przez Boga, zrozumiała zachwycona matka.

Trzy dni później opuściła klinikę położniczą, zostawiając Noę na czas nieokreślony na neonatologii.

- Jej stan jest bardzo poważny - wyjaśnił doktor Mogilner. - Na szczęście udało nam się rozwiązać problem sinicy, ale wystąpiły typowe objawy niedrożności nosa. Jeszcze nie znamy jej przyczyny. Po analizie krwi podejrzewamy problem z układem odpornościowym, ale musimy jeszcze przeprowadzić serię badań i dlatego Noa musi być pod obserwacją dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Czy mogę ją karmić?

- Nie, lepiej niech pani wróci do domu. Powinna pani odpocząć.

- Dlaczego? Moje mleko jest niedobre?

Czuła się upokorzona i nie potrafiła zrozumieć, że jej dziecko nie mogłoby oddychać, mając w ustach pierś lub butelkę.

- Można ją karmić tylko przez sondę - wyjaśnił doktor Mogilner. - Dostanie pani tak jak wszystkie mamy wcześniaków aparat do ściągania pokarmu i będziemy jej dawać matczyne mleko. To najlepszy z możliwych środków wzmacniających.

- A kiedy będzie mogła wyjść?

- Szczerze mówiąc, nie wiem. W każdym razie nieprędko.

Na parkingu rzucili zazdrosne spojrzenie parze żydowskich ortodoksów, którzy odjeżdżali ze swoim czwartym dzieckiem.

Wrócili do pustego mieszkania, zostawiając serce z niemowlęciem w inkubatorze. Łóżko ciągle było poplamione kawą. Mąż zmienił pościel i przykrył kołdrę niebieską narzutą, wiedząc, że to ulubiony kolor żony. Następnie napuścił wodę do wanny, lecz kiedy chciał dziewczynie pomóc się rozebrać, odmówiła. Wolała być sama, żeby „pozbyć się szpitalnego zaduchu”. Później to wyrażenie ona i jej córka zawsze powtarzały po powrocie ze szpitala, gdzie Noa była leczona. Energicznie szorowały się pod prysznicem, żeby usunąć wszystkie bakterie, jakie mogły stamtąd przynieść.

Zanurzyła głowę pod wodę, żeby sprawdzić, ile czasu mogłaby wytrzymać bez oddychania. Nie wytrzymała długo i z krzykiem wynurzyła się na powierzchnię. W tej samej chwili pojawił się jej mąż z bielizną i pidżamą, które położył na brzegu wanny. Wiedział, że nie lubiła mieszać brudnej i czystej bielizny, kiedy się kąpała, bo przypominało jej to biedne dzieciństwo, ale nie chciał, żeby wychodziła z wanny naga. Był luty, najchłodniejszy miesiąc w roku, a w domu, w którym nieobecność dziecka potęgowała wielką pustkę, zimno przejmowało serce. Mimo gorącej kąpieli dziewczyna dzwoniła zębami, wślizgując się pod kołdrę, i nie mogła się rozgrzać. Pocieszyła się myślą, że w dobrze ogrzewanym inkubatorze Noi nie jest zimno.

- Jak nasza córka sobie radzi z oddychaniem? - spytała męża.

- Jak w okrecie podwodnym. Przyzwyczai się, nie martw się. Jest silna.

- Przed chwilą w wannie próbowałam, ale nie udało mi się.



- Dlatego że miałaś wybór.
- Ty też próbowałaś?
- Od trzech dni zatykam sobie nos palcami, żeby zobaczyć, jak to jest.

Zasnęła i obudziła się w środku nocy, dzwoniąc zębami, a jej ciałem wstrząsały dreszcze. Mąż przyniósł termometr. Miała czterdzieści stopni gorączki.

- Myślę, że masz zapalenie płuc.
- Więc jak to jest?
- Z czym? Z zapaleniem płuc?
- Nie, kiedy zatyka się nos palcami, żeby nie móc oddychać?
- Prawdziwy koszmar.

Przez dziewięć dni leżała w łóżku z obustronnym zapaleniem płuc. Miała wysoką gorączkę i czuła się winna, że nie może odwiedzać córki. Jej mąż codziennie chodził do szpitala i wracał z mało pocieszającymi wiadomościami. Noa zwracała pokarm, który podawano jej przez sondę. Traciła na wadze i lekarze nie wiedzieli dokładnie, co jej dolega, pomijając nieobecność matki. Z powodu antybiotyków, jakie dziewczynie przepisano, nie mogła ściągać mleka, które w końcu przestało płynąć. Miała wrażenie, że jest pustym, bezużytecznym workiem.

Powierzywszy chorego męża opiece uprzejmej sąsiadki i nie zważając na nadciśnienie, Bianka przyjechała spędzić kilka dni przy swojej córce.

Wyszeptwała magiczne zaklęcie w nieznanym języku, trzykrotnie splunęła na rozpalone czoło córki i zakończyła trzema *amen*, ale gorączka nie spadła.

Bianka była zrozpaczona: stan jej męża się pogarszał, córka majaczyła, jedyna wnuczka leżała ciężko chora w szpitalu, a na domiar złego jej magiczne zaklęcie nie działało.

W jednym z rzadkich momentów przytomności młoda mama próbowała rozweselić swoją matkę. Opowiedziała jej anegdotę na temat ojca, którego starość osiągnęła już takie stadium, że stała się komiczna.

Gdy była w ósmym miesiącu ciąży, złożyła rodzicom niespodziewaną wizytę. Jej matka pobiegła na targ, żeby dziecko w brzuchu mogło spróbować rumuńskiej kuchni. Ojciec wpadł w złość i oskarżył Biankę, że wyrzuciła jego czarne buty, które właśnie wypastował. To była jego mania. Godzinami powlekał je pastą, następnie polerował szmatką, a potem szczotką, jakby połysk starych butów przypominał mu blask dawnego życia.

- Na pewno chciała się zemścić, bo pozbyłem się wszystkich jej rupieci - wyjaśnił z argumentacją charakterystyczną dla demencji, na którą cierpiał od zeszło-rocznego udaru mózgu.

- Mama wszystko przechowuje. Czy pozbyłaby się papieru toaletowego, który trzyma w komórce?

- Nie, ale z pewnością wyrzuciła moje czarne buty, które właśnie wypucowałem!

- Dobrze, w takim razie, kiedy ona jest na targu, my wyrzucimy jej papier toaletowy - zaproponowała córka, żeby go udobruchać.

Piętnaście lat temu, w czasach, gdy matka sprzątała biura administracji celnej, wykrađa cały zapas papieru toaletowego i przechowywała go w komórce, na czarną godzinę.

Za każdym razem, kiedy odwiedzała którąś z córek, nie omieszkła przywieźć ze sobą pięciu rolek. Mania ta irytowała Józefinę. Po stokroć powtarzała matce, że ma za co kupić papier, lecz ona nie ustępowała. „Wybacz, ale mój, za przeproszeniem, zadek nie potrzebuje twojego różowego papieru, który jest tak delikatny, że drze się

w palcach. (Za każdym razem, kiedy mówiła „zadek”, przeproszała, żeby złagodzić wulgarność słowa). Widzisz, mój, za przeproszeniem, zadek woli szorstki papier z urzędu celnego”.

Rozumiejąc, że nie uda się jej zmienić przyzwyczajajeń matki, córka pozwoliła Biance gromadzić w łazience rolki przeznaczone do jej prywatnego użytku. Lecz kiedy tylko matka wyjechała, pospiesznie pozbyła się trzydziestoletniego papieru, o którym zapomniała Bianka.

- Oszalałaś, twoja matka mnie zabije, gdy się dowie, że wyrzuciłem jej rolki! - krzyknął ojciec.

Chociaż miał już lekki zamęt w głowie, wołał nie denerwować żony, bo oprócz niej nie miał nikogo innego na świecie, kto by się nim zajął.

Ojciec i córka zabrali się do poszukiwania czarnych butów pod łózkami i kołdrami, na maszynie do szycia, nad i pod szafą, między albumami na zdjęcia. Ani śladu. Pokazała mu kasztanowe buty, także wypolerowane, na wypadek gdyby pomylił je z czarnymi, choć od dawna nie wychodził już z domu. Ale wpadł w gniew: zdecydowanie chodziło o czarne. Właśnie je wypastował. W dowód tego przyniósł jej czarną pastę i szmatkę, która - co było widać - była mało zużyta. Przetawiła meble. Wyszła nawet sprawdzić śmietnik, w razie gdyby ojciec miał rację. Zamiast butów znalazła porozrzucane w nieładzie, niewłożone do plastikowych worków jedzenie: w połowie opróżnione pudełko białego sera, niesolony kozi ser, który jadała jej matka z powodu ciśnienia, a nawet woreczek ze skórkami od ogórków, które Bianka trzymała w chłodzie, żeby robić z nich okłady w razie gorączki. Wydało jej się to dziwne, ale z kubła korzystali wszyscy i być może któryś z lokatorów postanowił opróżnić lodówkę. Wróciła do domu, udała się do kuchni i otworzyła lodówkę.

Była zupełnie pusta, jedynie na półce stały czarne błyszczące buty.

- Dlaczego wyrzuciłeś jedzenie? - spytała ojca.

- Żeby zrobić miejsce na moje buty.

Próbowała zrozumieć.

- Ale dlaczego w lodówce?

- Żeby się zakonserwowały jak mięso.

## O TRUDNOŚCI HEBRAJSKIEGO

Zjeżdżałam okrakiem po marmurowej poręczy przy wyjściu ze szkoły niczym strzała, kiedy poczułam, że małe kawałki kamyków zdarty mi skórę. Gdy zjechałam na dół, cała byłam we krwi i chociaż wykrzywiałam się na wszystkie strony, nie mogłam usunąć odłamków, którymi naszpikowane były moje pośladki.

Wiedząc, że siostra wyjdzie dopiero za godzinę, postanowiłam iść do biura taty. W tamtym czasie był agentem nieruchomości, ale marnie zarabiał. Tata zaprowadził mnie do przychodni, gdzie zszyto mi tyłek. Szczepionka przeciwko tężcowi była zbędna, bo zostałam zaszczepiona niecałe trzy miesiące wcześniej, w dniu kiedy upadłam na żelazny pręt, przeskakując przez balustradę.

Pielęgniarka poznała mnie i zarzuciła mojemu ojcu, że nie umie upilnować swojej córki chłopczycy. Na co tata odpowiedział, że blizna na tyłku ośmioipółletniej dziewczynki jest bardzo seksowna.

Moja siostra zaniepokojona czekała na nas w domu. Zapytała tatę, co mama robiła dzisiaj w szkole.

- Zastępuje woźną, która jest chora.
  - Ale dlaczego akurat w naszej szkole?
  - Bo być może zaproponują jej stałą pracę.
- Siostra nie zadawała więcej pytań.

„Księgowa szuka pracy przy sprzątaniu lub innej, niewymagającej znajomości hebrajskiego. Mówi po rumuńsku, w jidysz i trochę po francusku. Dotknięta głuchotą”. Oto tekst, jaki mama mogłaby zredagować, gdyby musiała umieścić ogłoszenie w gazecie. Dla mojej matki najważniejsza była stabilizacja. A synonimem stabilizacji była dla niej posada państwowa.

Marzyła o tym, żeby wreszcie móc zwalniać się z pracy bez żadnych potrąceń z wypłaty. Lecz jeszcze bardziej istotna była emerytura. Dawała zabezpieczenie na następne trzydzieści lat. Emeryt miał status społeczny. A to również znaczyło, że mogłaby spokojnie odłożyć na posag dla córek. Gdyby miała zapewnione utrzymanie na starość, nie stałaby się ciężarem dla swoich dzieci.

Następnego dnia Józefina i jej przyjaciółki Malka i Tova czekały na mnie przy wyjściu, żeby zaprowadzić mnie do domu. Tata kazał przyrzec mojej siostrze, że codziennie będzie mnie odprowadzać, żebym znowu nie zjeżdżała, bo mogłyby się otworzyć szwy, które miałam na pupie.

Tova spytała moją siostrę, czy nasza matka jest nową woźną w szkole.

Seffi tak bardzo się wstydziła, że milczała, ale ja odpowiedziałam, że tak, dodając, że obiecano jej nawet, że zostawią ją na stałe, jeśli będą z niej zadowoleni.

Następnego dnia mama przyszła do szkoły, kiedy skończyły się lekcje. Dołączyłam do niej w klasie, żeby pomóc jej wystawiać krzesła na ławki, aby mogła umyć podłogę.

Ach, ci uczniowie! Nauczycielka na próżno prosiła ich, żeby pod koniec lekcji wystawiali krzesła na ławki. Wypa-

dali na zewnątrz, gdy tylko zadzwonił dzwonek, bo bali się, że dostaną dodatkowe zadania.

Moja siostra udawała, że niczego nie widzi, i pospiesznie wyszła ze szkoły z koleżankami. Mnie było obojętne, co powiedzą inni. Józefina mówiła, że wszystko mi ujdzie, bo jestem ładna.

Dzień później znowu pomagałam mamie układać krzesła na stołach, podczas gdy ona myła podłogi dużą ilością wody. Nie przejmowała się marnotrawstwem, bo to nie my płaciliśmy rachunek. A w tamtych czasach poziom jeziora Genezaret był naszym najmniejszym zmartwieniem.

Moja siostra wyszła z koleżankami, ale po tym, jak pożegnała się z nimi na rogu naszej ulicy, zboczyła z drogi i wróciła do szkoły, żeby układać krzesła i zamiatać ze mną klasy.

Od czwartego dnia Józefina i ja zabierałyśmy się do ustawiania krzesel i zamiatania, gdy tylko skończyły się lekcje.

Mama zabraniała nam myć podłogi aż do siedemnastego roku życia z obawy, żebyśmy nie zniszczyły sobie rąk. Ani w domu, ani tym bardziej poza nim. Nasze ręce są naszym posagiem, powtarzała. Nic z tego nie rozumiałam, bo wydawało mi się, że naszym posagiem miały być ręczniki i pościel. Z tego samego powodu nie pozwalała nam zmywać naczyń i zadanie to spadało na tatę.

Pod koniec tygodnia mama zrezygnowała z etatu, który zaproponowano jej w szkole. Nie chciała, żeby jej córki sprzątały po lekcjach. Ani kiedykolwiek indziej.

Znalazła pracę w urzędzie celnym. Była bardzo zadowolona, bo wreszcie mogła udawać chorą co najmniej jeden dzień w miesiącu i zaopatrywać się do woli, w co tylko się dało.

Trzeba przyznać, że mama podkradła różne rzeczy wszędzie tam, gdzie pracowała. Oszczędzała tylko prywatnie, bo wiedziała, że natychmiast stałaby się główną podejrzaną. Zwłaszcza że jej pracodawczynie hojnie obsypywały ją prezentami dla jej uroczych córeczek. Lecz na państwowych posadach było inaczej. Państwo miało środki, więc drobne kradzieże były bez znaczenia. Mama zręcznie podkradła ołówki, długopisy, papier, trochę herbaty, cukru, sacharyny, kawy i wszystko przynosiła do domu.

W urzędzie celnym regularnie „zaopatrywała się” w papier toaletowy. Każdego dnia przynosiła dwie rolki, które przemycała w torbie. Po dwóch latach w domu nie można było zrobić kroku, żeby nie wpaść na papier toaletowy. Cała komórka była nim wypełniona, jakbyśmy przygotowali schron na trzecią wojnę światową.

Nasza matka pracowała w urzędzie celnym od szóstej rano do południa. Po powrocie zabierała się do szycia. Nie była prawdziwą krawcową, ale miała zręczne dłonie. Skrócenie plisowanej spódnicy zabierało jej kilka minut: zaczynało się od rozprucia podszewki w pasie, w miejscu skąd wychodziły plisy. Następnie ucinano się odpowiednią długość, wsuwało plisy do pasa z podszewką i zszywało na maszynie.

Lecz na tym nie kończył się jeszcze pracowity dzień mamy. O siedemnastej szła do kawiarni na rogu ulic Proroków i Herzla, gdzie robiła kanapki. Zmywała tam także naczynia i ucinała końcówki bułek do hot dogów, żeby włożyć do nich kiełbaski. Po zamknięciu kawiarni o dwudziestej trzeciej wystawiała krzesła na stoły i myła podłogę, aby była czysta na następny poranek.

Zmordowana wracała o północy z plastikową siatką wypełnioną pajdami chleba. Moja siostra i ja tak byliśmy



na nie łase, że wieczorem przed położeniem się spać ob-  
żerałyśmy się nimi aż do bólu. Czasami mama robiła z nich  
grzanki, które nazywała „tostami po amerykańsku”. Często  
zapraszałyśmy Tsillę, Ruhamę i Lindę, sąsiadki z góry,  
żeby zjadały się razem z nami.

W szkole pozostałe dzieci ze swoimi skromnymi ka-  
napkami zieleniały z zazdrości, widząc, jak wyjmujemy  
nasze smakowite resztki z poprzedniego wieczoru - wte-  
dy nie miałyśmy już prawa jeść kolacji po dwudziestej  
drugiej.

Lecz przeważnie wstydziliśmy się za naszą matkę. Na  
przykład kiedy przychodziła mi przynieść kurtkę przeciw-  
deszczową, której zapomniałam z domu - w rzeczywisto-  
ści robiłam to umyślnie, bo była strasznie brzydka. Mama  
pukała do drzwi klasy, przepraszała ze swoim wyraźnym  
rumuńskim akcentem i obwieszczała: „To dla mojej Rinuki,  
żeby nie zmokła”.

Wszyscy się ze mnie naśmiewali, ponieważ byłam  
Rumunką, a ponadto w domu mówiono na mnie Rinuka.  
Chciałam na zawsze zapaść się pod ziemię.

Cóż to był za wstyd w kinie, kiedy mama w środku fil-  
mu rozpakowywała nasze przekąski! Pergamin, którym je  
owijała, strasznie szeleścił, a ponieważ mama gorąco za-  
chęcała nas po rumuńsku do jedzenia, nikt nie miał wątp-  
liwości co do naszego pochodzenia i zawartości naszych  
kanapek!

Nie mówiąc już o autobusach, w których odmładzała  
nas przed kierowcą, żeby zapłacić za pół biletu. W przy-  
padku kiedy kierowca wyrażał powątpiewanie, kazała  
nam odstawiać szopkę. Byłyśmy tak zażenowane, że wy-  
raz naszych zapłakanych twarzy od razu wzruszał serce  
tego życzliwego człowieka, który nie śmiał nas wysadzić

i zgadzał się przyjąć ulgowe bilety podawane mu przez mamę. W rzeczywistości nasz smutek nie był udawany, bo byliśmy bardzo przygnębione na myśl o tym, że będziemy musiały się wspinać piechotą po stromych ulicach miasta, zamiast rozsiąść się wygodnie w autobusie. Lecz kiedy podstęp nie działał, wymyślałyśmy kierowcy półgłosem od nazistów, żeby dokładnie wiedział, co o nim myślimy.

Gdy wysiadałyśmy na naszym przystanku, mama dawała zaoszczędzone pieniądze pierwszemu napotkanemu żebrakowi.

- Widzicie, opłacało się oszukać - oświadczała radośnie.

Tamtego lata pojechałyśmy na kolonię z Mapai\* dzięki kontaktom taty, który wyświadczył dużą przysługę partii: „pożyczył” nasze mieszkanie na spotkania, na które byli zapraszani nasi marokańscy i kurdyjscy sąsiedzi, w skrócie - cała dzielnica. (Obiecywał im, że czekają na nich napoje chłodzące, a to, co zostanie, będą nawet mogli wziąć ze sobą). Wybory były zrzędzeniem opatrności dla taty: w ciągu dwóch miesięcy zarabiał na utrzymanie przez resztę roku. Ale w ostatnim tygodniu szczęście sięgnęło zenitu: dostał kolonie z zakwaterowaniem, wyżywieniem i różnymi zajęciami - z makramy, ceramiki - mówiąc krótko, prawdziwie luksusowe wakacje za darmo.

Mama zaprowadziła nas na miejsce zbiórki. Kombi-nowała tak, żebyśmy były pierwsze przy wsiadaniu do autobusu. Wierzyła, że zajmując najlepsze miejsca, będziemy mieć również najlepszy pokój i najlepsze jedzenie.

\* Mapai - lewicowa Partia Pracy Ziemi Izraela założona w latach trzydziestych XX wieku.

W jidysz poprosiła wychowawcę, aby pilnował, żebyśmy wszystko zjadały, bo wydała fortunę na ten pobyt.

Umierałyśmy ze wstydu także w poczekalni u lekarza: mama nagminnie oszukiwała, by wepchnąć się bez kolejki, i utrzymywała bezwstydnie, że mamy numer czterdzieści trzy, a nie dziewięćdziesiąt osiem. A gdy ktoś protestował, mówiła tylko, że widocznie się pomyliła.

Mama nie rozumiała, co do niej mówiono, z powodu głuchoty albo nieznamości hebrajskiego lub może dlatego że jej to odpowiadało. Jeśli potrząsała energicznie głową, znaczyło to, że nie rozumiała ani jednego słowa, co zmuszało nas do przekrzykiwania wszystkich, oczywiście po rumuńsku. Ze wstydu nie wiedziałyśmy, gdzie się schować.

Praktycznie wszyscy nasi koledzy z bloku pochodzili z Afryki Północnej, ale z czasem nauczyli się przy mamie kilku słów po rumuńsku, zwłaszcza dotyczących kuchni. Nie byliśmy w domu wielkimi znawcami Bialika ani Altermana, nie czytaliśmy też historii Szolema Alejchema. Naszym ulubionym tematem, oprócz Ben Guriona, było jedzenie. Kiedy więc mama krzyczała na nas z balkonu, żebyśmy przyszły coś zjeść: „*Seffi, Rinuka, vino s'màncat!*”, cała ulica ją naśladowała. Było nam głupio, ale mama dbała o to jak o zeszłoroczny śnieg. Kiedy spaceruję po dzielnicy, obecnie zamieszkaney wyłącznie przez Arabów, wydaje mi się, że wciąż słyszę mamę, jak na całe gardło krzyczy w swoim języku.

Ponadto w dni kiedy Jael, nasz kuzyn ze strony ojca, jadał obiady w domu, mama niezmiennie podawała mu tylko jedno mizerne udko z kurczaka, co napawało nas wstydem. Na próżno wyczyniałyśmy sztuczki, żeby zamienić talerze. Był to daremny trud. Mama musiała coś podejrzewać, bo siedziała przy nas, dopóki nie skończyłyśmy. Przeżykałyśmy więc w milczeniu ostatni kęs, przysię-

gając sobie, że któregoś dnia zwrócimy Jaelowi wszystkie kurze udka, których pozbawiła go mama.

Ale za to kiedy odwiedzał nas Jossi, nasz kuzyn z Hadery, sprawiedliwie rozdzielała takie same porcje i ku naszej wielkiej radości nierzadko dawała mu nawet podwójny kawałek. Trzeba dodać, że Jossi był jej bratankiem, późnym synem Nika, jej starszego brata. I sędzę, że mama robiła to z czystego wyrachowania: wiedząc, że często spędzamy wakacje w Haderze, chciała, żebyśmy tam mieli jak u Pana Boga za piecem.

• •

Noa miała dwanaście dni, a młoda mama od ponad tygodnia leżała przykuta do łóżka, gdy jej mąż wrócił przygnębiony ze szpitala. Niemowlę dostało zakażenia septycznego, przeprowadzono transfuzję, ale nie zdołano zwalczyć infekcji. Stan dziecka był krytyczny.

Tego samego wieczoru, tuż po przyjeździe z Nowego Jorku, przyszła ją odwiedzić Józefina i spojrzała na nią przestraszona.

- Wyglądasz jak trup - stwierdziła i wyraziła żal, że nie mogła być przy niej, żeby ją wspierać w tych trudnych chwilach.

- Nie martw się, mama tutaj była.

Dziewczyna stanęła na wadze w łazience. Schudła dziewięć kilo w ciągu dziewięciu dni. Jeden kilogram dziennie, jakby idąc w ślady swojego niemowlęcia, które ciągle nie przybierało na wadze.

Następnego dnia pojechała z mężem do szpitala. Byli przerażeni myślą, że mogą nie znaleźć swojej córeczki, którą tak lubili głaskać przez szkło inkubatora. Nie wymienili ani jednego zdania przez dwadzieścia pięć minut

drogi do szpitala Kapłan w Rehovot, jakby zbyt duże słowo mogło zagrozić życiu niemowlęcia. Kiedy przybyli na oddział neonatologii, mąż pomógł jej założyć zielony fartuch i maskę, bo była jeszcze bardzo osłabiona.

Doktor Alkalay powiadomił ich, że stan ich dziecka jest krytyczny. Rurka, która pomagała Noi oddychać ustami, została zakażona, a zakażenie przeniosło się na twarz i jamę ustną. Wątroba się powiększyła, a nerki przestały działać. Noa cierpiała na puchlinę wodną i istniało ryzyko, że nie przeżyje, jeśli w ciągu doby nie odda moczu. Z powodu braku tlenu jej ciałem wstrząsały konwulsje i obawiano się uszkodzenia mózgu. Lekarz uściślił, że podają jej przez kroplówkę trzy antybiotyki i osocze.

- Robimy co w naszej mocy, reszta jest w rękach Boga - dodał. - Ale jej szanse na przeżycie są bardzo niskie, może jeden procent. Trzeba cudu, żeby ją uratować.

- Jakiego rodzaju cudu?

- Na przykład żeby mogła oddać mocz w ciągu najbliższych godzin. Na chwilę obecną nic nie możecie dla niej zrobić. Lecz bądźcie pewni, wasze dziecko jest w dobrych rękach.

Dużo czasu spędzili przy łóżku swojej małej córeczki, chociaż, o czym wiedzieli, nie zdawała sobie sprawy z ich obecności.

Mąż nalegał, żeby wróciła do domu i położyła się spać, ale wolała zostać przy niemowlęciu. Czekając, wypili kawę, która wydała im się zimna i gorzka.

Następnie dziewczyna zadzwoniła do siostry z prośbą, żeby do nich przyjechała, ale szwagier powiadomił ją, że wyjechała do Hajfy. Stan ich ojca się pogorszył i musiano pilnie zabrać go do szpitala. Dziewczyna egoistycznie pomyślała, że nie ma się już do kogo zwrócić, ani do siostry, ani do matki.

- W gruncie rzeczy to dobrze, że nie mamy telefonu - powiedziała do męża.

- Dlaczego?

- Dzięki temu nie docierają do nas złe wiadomości. Moich rodziców nie było stać na opłacenie abonamentu. Pewnego dnia zadzwoniono po mnie do sąsiadki, żeby zawiadomić mnie o samobójstwie siostry Vardy.

- Kto to jest Varda?

- Przyjaciółka. To dla jej mamy oddawałeś krew w szpitalu Hadassah w dniu, kiedy nie mogli u mnie znaleźć żyły, pamiętasz?

- Tak, no i...?

- Siostra mojej przyjaciółki Vardy kilkakrotnie usiłowała popełnić samobójstwo. Dwa razy próbowała się utopić, następnie wyskoczyła z trzeciego piętra, nie robiąc sobie wielkiej szkody, innym razem położyła się na torach kolejowych, ale nie miała odwagi doprowadzić tego do końca, aż w końcu wzięła sporą dawkę środków nasennych, które przez rok gromadziła w tajemnicy przed rodzicami.

- Ale dlaczego?

- Chciała umrzeć. Tylko ja o tym wiedziałam. Varda zadzwoniła do sąsiadki, żeby mnie zawiadomić.

- Brałaś udział w pogrzebie?

- Nie, nie mogłam. Następnego dnia miałam zdawać maturę z historii, a nie zaczęłam jeszcze powtarzać materiału. W przerwie między dwoma egzaminami wszystkie rzuciłyśmy się do toalety na papierosa. Nagle pojawił się dyrektor i kazał nam wyjść. Umierałyśmy ze strachu, że unieważni egzamin, bo przyłapał nas na gorącym uczynku. Poprosił mnie, żebym została: chciał się dowiedzieć, co z Vardą, bo wiedział, że jestem jej najlepszą przyjaciółką. Schowałam za siebie papierosa, mając nadzieję, że nie zobaczy dymu, i odpowiedziałam, że w porządku. Lecz

nalegał. „Na pewno?” „Myślę, że to lepiej dla wszystkich”, dodałam głupio. „Sądziysz, że mógłbym odwiedzić ich w tygodniu żałoby?”

„W innych okolicznościach powiedziałabym panu, że byliby z tego bardzo zadowoleni”. „Dziękuję. Jeśli chcesz, możesz skończyć papierosa”, powiedział, odchodząc. Panicznie baliśmy się dyrektora. Ale był wrażliwym i uważnym człowiekiem. Wyglądał na poruszonego. Naprawdę martwił się o Varde i jej rodziców. Dyrektor miał syna. Pamiętasz Gingiego, Amirama i Mosze, moich przyjaciół, którzy odwiedzili nas w Barcelonie?

- Tak. Zabrałem ich na corridę.

- Prawda. Powiedzieli mi, że syn dyrektora zmarł na raka w wieku osiemnastu lat. Jego jedynak, wyobrażasz sobie?

- Może pomówimy o czymś weselszym?

- Na przykład o czym?

- O przyjeździe moich rodziców w przyszłym tygodniu.

Miała nadzieję, że wtedy będą mogli im przekazać lepsze wiadomości.

- To wspaniale!

Noc spędzili na ławce w poczekalni, podpierając się o siebie nawzajem. O czwartej nad ranem obudził ich doktor Mogilner, oznajmiając, że zdarzył się cud, Noa w końcu oddała moc.

- I co teraz? - spytał mąż.

- Nadal trzeba się modlić. Infekcja spowodowała szkody, które będziemy starali się naprawić. Jesteśmy na dobrej drodze do tego, żeby zwalczyć zakażenie septyczne. Niestety, bakteria zaatakowała policzki i jamę ustną przez plaster, który podtrzymywał respirator, i spowodowała uszkodzenie podniebienia oraz ostre zapalenie ucha.

Przez trzy tygodnie dziewczyna przychodziła do szpitala o siódmej rano i wychodziła z mężem, który dołączał do niej po pracy późnym popołudniem. Wieczorem przygnębieni wracali do pustego mieszkania. Nalewał jej wodę do wanny i masował plecy, ale już nie nucił piosenek. Większość czasu spędzali na oczekiwaniu sparaliżowani strachem. Jej siostra rzadko ich odwiedzała między wizytami u ojca, który miał kolejny udar. Szwagierka czasami dotrzymywała im towarzystwa w szpitalu, ale była tak samo bezradna jak oni. Co do teściów, którzy spędzili u nich dziesięć dni, tylko obserwowali w milczeniu swoją wnuczkę, jak gdyby słowa mogły pogorszyć sytuację.

Całymi dniami śpiewała swojemu dziecku tę samą piosenkę: „Najsłodsza dziewczynka w przedszkolu ma najpiękniejsze oczy w przedszkolu i najładniejsze warkoczyki w przedszkolu”. Nieważne, że Noa miała trzy włosy na krzyż i głowę owiniętą bandażami. I tak była najbardziej uroczym niemowlakiem na oddziale. A poza tym dziewczyna nie знаła innej piosenki. Kiedy jej koleżdy na szkolnych wycieczkach śpiewali chórem piosenki ludowe, ona nuciła repertuar Beatlesów albo Cliffa Richarda. Aż do chwili gdy Jehuda Ravitz uratował ją tą cudowną piosenką *Najsłodsza dziewczynka w przedszkolu*, co dowiodło, że umie śpiewać jak wszyscy inni, jeśli słowa mają sens.

Personel w szpitalu zajmował się Noą z bezgranicznym oddaniem: pięć razy dziennie odsysali ropę z jej ust i uszu, lecz wielokrotnie musieli kłuć dziecko, żeby wstrzykiwać osocze i antybiotyki oraz codziennie pobrać krew. Patrzenie na to, jak manipulują przy malutkim noworodku, żeby zrobić mu zastrzyk w głowę, było straszne dla młodej mamy, jak zresztą dla każdego. Po tym, jak głośno Noa płacze w trakcie robienia zastrzyku, z czasem nauczyła się



rozpoznawać osoby, które obchodziły się z dzieckiem najdelikatniej. Nie było mowy, żeby dotknął jej niedoświadczony lekarz.

Każdy zastrzyk, każdy płacz przeszywał dziewczynie serce. Gdyby można było zobaczyć ciało jej córki pod mikroskopem, znalazłoby się tyle ran, ile zastrzyków jej zrobiono.

A pewnego dnia, kiedy Noa otworzyła szeroko buzię, jak gdyby krzyżąc, żeby przestano robić jej krzywdę, dziewczyna spostrzegła, że nie ma języczka.

- Ona nie ma języczka - powiadomiła Zaharę.

- Nie ma języczka? - powtórzyła zbita z tropu pielęgniarka.

- No właśnie, rozumie pani, na podniebieniu.

- Ach, tak! To prawda, zauważyliśmy. Ale niech się pani nie martwi, z medycznego punktu widzenia języczek nie ma znaczenia.

Przepytała na ten temat również doktora Alkalaya, który udzielił jej takiej samej odpowiedzi.

Trzy tygodnie później, pewnego piątku o siódmej rano, wchodząc na oddział dla noworodków, skamieniała. Inkubator Noi zniknął. Wiedziała z doświadczenia, że mogło to znaczyć tylko jedno: dziecko nie przeżyło nocy. Zahara, karmiąc niemowlę w inkubatorze stojącym przy oknie, zobaczyła ją i dała jej znak, żeby podeszła.

- Przesunęliśmy tutaj inkubator Noi, aby wygrzała się trochę w słońcu. Niech pani trzyma, może ją pani nakarmić przez sondę.

Z trudem dochodząc do siebie, dziewczyna zbliżyła się chwiejnym krokiem. Zobaczyła, że promienie słońca otańczają ciało jej córki różowym światłem, jakby wystarczyło pół godziny, żeby nabrała kolorów. Nawet jej twarz wydawała się opalona mimo opatrunków.

- Ponieważ dużo lepiej się dzisiaj czuje, chcieliśmy wystawić ją trochę na światło - wyjaśniła pielęgniarka.

- Dziękuję - powiedziała wdzięczna Bogu.

Patrząc przez okno na trawnik, zamarzyła o tym, że któregoś dnia, kiedy jej córeczka nie będzie już miała tych strasznych rurek poprzyczepianych do ramion, będzie mogła skakać po trawie ze swoją małą Noą.

Tego wieczoru, gdy przyszła z mężem na kolację do siostry z okazji święta Purym, zaskoczyła ją miła niespodzianka, bo Józefina przyprowadziła matkę, żeby rozerwać ją po długich dniach spędzanych w szpitalu przy mężu. Bianka powiedziała jej, że była w grocie proroka Eliasza pomodlić się o uzdrowienie ich ojca i swojej wnuczki.

W drodze powrotnej dziewczyna oświadczyła mężowi, że ma zamiar przekazać na oddział neonatologiczny kilka tysięcy dolarów, które wujek i ciotka mieszkający w Paryżu podarowali im z okazji narodzin Noi. Nie sprzeciwił się, mimo iż wiedziała, że chciał przeznaczyć te pieniądze na zakup kamery.

Następnego poranka w sobotę, pięć tygodni po narodzinach, córka po raz pierwszy uśmiechnęła się do nich. Lecz kiedy w pobliżu pojawiali się lekarz lub pielęgniarka w zielonym fartuchu, natychmiast zaczynała płakać, jakby domyślała się, że znowu będą jej sprawiać ból.

- Dla niej to są kosmici - zażartował jej mąż. - Też bym krzyczał, gdyby małe zielone ludki ciągle kręciły się przy mnie.

Pochyliła się, żeby wziąć córkę na ręce, i podnosząc głowę, ujrzała gestykującego clowna. Nie wierzyła własnym oczom: clown nie mógł spaść z nieba, musiało jej się to przywidzieć! Lecz clown najzwyczajniej w świecie poruszył się, strojąc miny i dając jej znak, żeby podeszła. Kiedy wyszła na korytarz, podarował jej błyszczący nie-

bieski balon, na którym ozdobnymi literami było napisane: „Mamo, kocham cię”.

- To dla pani - powiedział.

Zmieszana zobaczyła trzech innych clownów rozdających dzieciom balony i cukierki i przypomniała sobie, że jest Purym. Kiedy wróciła do córki, przyczepiła balon do kroplówki.

Noa po raz kolejny uśmiechnęła się do nich.

O północy sąsiadka zapukała do drzwi: pilny telefon, oznajmiła. Dziewczyna, trzęsąc się, podniosła słuchawkę i usłyszała siostrę, która powiadomiła ją o śmierci ojca. Wybuchła szlochem. Powiedziała do męża, który ją obejmował, żeby nie upadła, że to łyzy ulgi, bo nie chodzi o Noę, a jej ojciec wreszcie przestał cierpieć.

## CYRK MEDRANO

Wreszcie przyjechał do Hajfy cyrk Medrano. Najpierw występował w Tel Awiwie, potem w Jerozolimie i w końcu w Hajfie, najpiękniejszym przecież mieście w kraju.

Mojej siostrze i mnie bardzo się śpieszyło, żeby tam pójść i po raz pierwszy włożyć ubrania z ostatniej paczki z Ameryki. Lecz tata ze smutkiem oznajmił nam, że to niemożliwe: rzeźnik obiecał mu dwa bilety w zamian za piękny szyld do jego sklepu, ale koniec końców jego szwagrowi zatrudnionemu w urzędzie miasta nie udało się ich zdobyć.

Józefina była zrozpaczona, ale ja udawałam obojętną i oświadczyłam tacie, że jest mi wszystko jedno. Nie chciałam go jeszcze bardziej martwić, wiedząc, że nie stać go na bilety dla ukochanych córek. Patrzyłam mu prosto w oczy, żeby się nie domyślił, że jestem strasznie zawiedziona.

Następnego popołudnia jak zawsze bawiłyśmy się na ulicy w chowanego, kiedy Seffi obwieściła, że same pojedziemy do cyrku.

- Ale nie jesteśmy ładnie ubrane!

- I tak nie będziemy mogli wejść. Tylko się rozejrzy-  
my. Przy odrobinie szczęścia może uda się nam zobaczyć  
słonie.

Długo włóczyłyśmy się wokół ogrodzenia i odkryłyśmy  
w końcu małą dziurę.

Okazja czyni złodzieja, nie mogłyśmy przepuścić takiej  
szansy.

Cóż robić? Wejść czy nie wejść? Nagle siostra wzięła  
mnie za rękę i pociągnęła za sobą do dziury.

Nie wierzyłam własnym oczom. Zazwyczaj to ona  
była bardziej strachliwa. Jak się odważyła, kiedy dzie-  
siątki policjantów czyhały na małych oszustów, żeby od-  
powiednio natrzeć im uszu i odprowadzić ich do rodzi-  
ców? Siostra kazała mi trzymać się prosto, tak jak uczy-  
ła mnie tego w domu. Zmuszała mnie do noszenia na  
głowie książek, żebym nie stała się garbata jak sklepi-  
karz Abraham. Szłyśmy więc drobnymi kroczkami jak  
Chinki, udając pewne siebie, do czego tak naprawdę  
było nam daleko. Dostrzegłyśmy kran i umyłyśmy twa-  
rze, przyczesaliśmy włosy i wilgotnymi palcami wygła-  
dziłyśmy ubrania. Po czym z wysoko podniesionymi głó-  
wami, chociaż trzęsąc się ze strachu, wmieszałyśmy się  
w rozradowany tłum.

Właśnie była przerwa. Wszyscy spacerowali z watań-  
cukrową, balonami, nasionami słonecznika i lizakami, w tle  
słychać było muzykę dochodzącą z namiotu cyrkowego.

Nagle zobaczyłyśmy ciotkę Laikę i wujka Maksa zmie-  
rzających w naszą stronę. Ciotka Laika, starsza siostra  
mamy, mieszkała z mężem w willi otoczonej ogrodem  
z drzewami owocowymi w Givat Olga. Siostra kazała mi  
nie mówić im, że weszłyśmy podstępem, z obawy, że nas  
zbesztają. I kiedy zapytali, czy podobała nam się pierwsza  
część spektaklu, popisała się erudycją na temat cyrku. Ja

zachowałam swoją opinię dla siebie. Na zakończenie Józefina zapewniła, że nie może się doczekać dalszego ciągu. Co zresztą było świętą prawdą. Na odchodne wujek Maks dał nam kilka monet, żebyśmy kupiły sobie watę cukrową albo lizaka.

Cieszyłam się ogromnie: zobaczymy za darmo cyrk i jeszcze kupimy sobie watę cukrową. Marzenie!

Gdy grzecznie podziękowałyśmy wujkowi i ciotce, od razu pobiegłam w kierunku sprzedawcy słodczy, ale siostra nagle mnie zatrzymała - była starsza ode mnie o osiemnaście miesięcy i oczywiście silniejsza - wyjaśniając, że to jeszcze nie koniec naszych trudów. Nie przeszłybyśmy niezauważone w naszych starych ubraniach z przedostatniej paczki z Ameryki. Policjant mógłby zapytać o bilety i przyłapałby nas na gorącym uczynku.

- No to co robimy?

Siostra wyjaśniła, że za pieniądze od wujka Maksa kupimy wspaniały balon. Był bardzo drogi i naprawdę trzeba było mieć dużo pieniędzy, żeby go kupić. Tak zaopatrzone nie wzbudzałybyśmy podejrzeń, że weszłyśmy bez biletów, przynajmniej według Seffi.

Rzuciłam tęskne spojrzenie sprzedawcy waty cukrowej i poszłam za siostrą, żeby kupić wspaniały balon, który miał być naszym kamuflażem. Siostra wybrała czerwony. Nie dyskutowałam z nią, chociaż moim ulubionym kolorem był niebieski. Ale to dzięki niej byłyśmy tutaj, no nie?

Weszłyśmy do ogromnego namiotu cyrkowego, dwie dziewczynki w starych ubraniach, z czerwonym balonem, który później nam uciekł i odleciał, i z pustymi brzuchami burczącymi na myśl o ciepłych i słodkich ciasteczkach, których mogłyśmy skosztować. Koniec końców nikt nas nie zdemaskował i bawiłyśmy się świetnie.

Towarzyszyła matce i siostrze w drodze do szpitala, gdzie stanęły przy łóżku zmarłego Mosze. Wokół leżącego obok chorego zgromadziła się liczna rodzina. Podszedł do nich mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna i oświadczył szorstko, że ojciec wzywał je podczas szabatu.

- To prawda? - krzyknęła Seffi. - Wzywał nas?

- Machał rękami, jakby wzywał pomocy. Moja żona i ja daliśmy mu pić. Pomogłem mu nawet zjeść owoce z kompotu, jedyną rzecz, jaką zgodził się przełknąć. Na koniec się rozplakał, jak gdyby nie mógł znieść tego, że odchodzi bez pożegnania z wami. Biedak, bardzo cierpiał. Niech spoczywa w pokoju!

- Dlaczego nie poprosił pan pielęgniarki, żeby się z nami skontaktowała? - spytała Józefina.

- Poprosiłem. Sprawdziła w karcie, ale nie znalazła waszego numeru telefonu.

Jej siostra miała żal do całego świata, a zwłaszcza do siebie samej.

- Pielęgniarki się nim nie zajęły?

- Wiecie, jak jest w szabat w szpitalu. Pies czułby się mniej opuszczony niż chory.

- Poświęcił nam całe życie, a nie byliśmy przy nim, kiedy nas potrzebował! - powiedziała zasmucona do siostry.

- Nie masz sobie nic do zarzucenia. Musiałaś opiekować się swoją córką. To ja jestem winna - odpowiedziała przybita Józefina.

W trakcie tygodnia żałoby zapytała rabina z synagogi, do której chodził jej ojciec na Rosz Haszana i Jom Kippur, jaka jest rola jęczyczka według tradycji żydowskiej. Uważała, że w przeciwieństwie do lekarzy rabini mają na wszystko odpowiedź.

„Języczek jest przymierzem, które Stwórca świata zawarł z kilkoma wyjątkowymi istotami - wyjaśnił rabin. - Jest barierą między duszą i ludzkim głosem. Istnieje jakby po to, żeby nakłonić człowieka do myślenia, zanim coś powie. Bo raz wypowiedziane słowo nie należy już do niego, lecz do wszystkich. Według kabały Bóg stworzył świat z mądrości, z szechiny, która zawiera dziesięć sefirot\*, Boskich emanacji. Sefer Jecira\*\*, Księga Stworzenia, przypisywana naszemu ojcu Abrahamowi, mówi, że jest dziesięć niematerialnych sefirot, analogicznie do dziesięciu palców: pięć na przeciwko pięciu, wyjątkowe przymierze centralnej osi ze słowem i nacięciem ciała. Wszyscy znają obrzezanie, znak przymierza, którym Bóg nazaczył nasze ciało, lecz tylko niewielu dostało przymierza słowa. Brak języczka jest tego znakiem - zakończył. - A skąd takie pytanie?"

- Bo moja córka go nie ma.

- To znaczy, że jest wyjątkowym dzieckiem.

Odparła, że cieszyłaby się, gdyby jej córka była po prostu zdrowa, i pośpiesznie wróciła do chorej.

Noa miała dwa miesiące, kiedy po raz pierwszy spróbowała matczynego mleka. Według Zahary niemowlę powinno się przyzwyczaić do ssania i oddychania. Nie można było w nieskończoność karmić ją przez sondę. Pielęgniarka nie szczydziła czasu ani trudu, żeby nauczyć ją ssać i oddychać, ciągle ponawiając próby. Ale mała przeważnie zwracała jedzenie z powodu rozszczępionego podniebienia.

\* Sefirot - w kabale: dziesięć emanacji Boskiego światła, będących kolejnymi stopniami poznania Boga.

\*\* Sefer Jecira (Księga Stworzenia) - starożytny żydowski traktat dotyczący stworzenia świata. Jeden z pierwszych tekstów żydowskiego mistycyzmu datowany na II / III wiek n.e. Prezentuje stworzenie świata przez Boga za pośrednictwem dziesięciu sefirot i dwudziestu dwóch liter alfabetu hebrajskiego.



Doktor Mogilner nalegał, żeby karmić Noę matczynym mlekiem, lecz mleko Riny przestało płynąć. Dowiedziała się, że pewne pobożne kobiety uważają oddawanie swojego mleka, kiedy jest taka potrzeba, za dobry uczynek. Zasięgnęła informacji w religijnej dzielnicy Bnei Brak, lecz nic nie wskórała. Przypomniała więc sobie małą Ryfkę, która urodziła się pięć minut po jej córce. Szpital podał numer telefonu do jej rodziców. Zaciśnęła więc kciuki i z nadzieją, że hojność nie jest dla nich tylko pustym słowem, zadzwoniła.

Mama Ryfki od razu ją skojarzyła i zapytała, co słychać u małej Noi. Powiedziała, że razem z mężem zastanawiają się często, co się dzieje z dziewczynką. Jeśli chodzi o jej Ryfkę, dzięki Bogu, waży już pięć kilo. Na wieść, że Noa nie osiągnęła jeszcze progu trzech kilogramów, zapytała, co mogłaby dla niej zrobić.

- Potrzebuję pani mleka, to znaczy nie ja, tylko moje dziecko.

Kobieta nie dała się prosić. W każdym razie miała pod dostatkiem mleka i byłaby szczęśliwa, mogąc jej oddać przysługę.

- Uratowanie jednej duszy jest tyle samo warte, co uratowanie całego świata - powiedziała matka Ryfki, dodając, że ta prośba jest dla niej wielkim zaszczytem.

Odtąd codziennie po pracy mąż jeździł do rodziców Ryfki po dwie butelki, które przywoził do szpitala. Teraz to Rina karmiła niemowlę, obserwując jego długie oddechy między łykami.

Trzy miesiące później Noa ważyła trzy kilo i wreszcie mogła wyjść ze szpitala, pod warunkiem że będzie przyjeżdżała trzy razy w tygodniu na badania i leczenie.

Pokój ich córki był pokryty wesołą, kolorową tapetą, mającą stanowić odmianę po zielonych fartuchach i narzę-

dziach, które mała widziała od urodzenia. Mama ubierała ją w śliczne ubranka przysłane z Barcelony. Kiedy Noa była jeszcze w szpitalu, Rina każdego wieczoru przyglądała się im ze smutkiem, modląc się, żeby któregoś dnia mogła je włożyć córce. Miała nadzieję, że kiedy mała już będzie w domu, otoczona miłością rodziców, szybko wyzdrowieje i wreszcie zaczną rosnąć.

Kupowali jej smoczki, w których wycinali dziurkę, żeby mogła oddychać ustami. Niestety, Noa wcale ich nie doceniała i wołała swój kciuk, który ssała, prawie się dusząc. Niedrożność nosowa, na którą cierpiała, okazała się poważnym utrudnieniem teraz, kiedy była w domu, i nie można jej było karmić przez sondę. Matka często widziała, jak dziewczynka macha małymi piąstkami, szukając powietrza, którego jej brakowało. Niemowlę dziękowało jej pełnym miłości spojrzeniem, kiedy przybiegała na pomoc. Całymi godzinami przesiadywała przy córce, aby przytrzymać jej otwarte usta, a w nocy zmieniali się z mężem przy łóżeczku. Ciągłe miewała koszmary, w których widziała, jak jej dziecko się dusi. Zrywając się ze snu na równe nogi, biegła do pokoju, w którym jej mąż pochylony nad małym łóżeczkiem pomagał Noi oddychać. Córka stała się dla nich pępkiem świata. Mąż pracował, starał się zasymilować, nauczyć języka i obyczajów bardzo różnych od tych, które wydało mu się, że poznał w czasach, kiedy przyjeżdżał do Izraela jako turysta. Kupili mieszkanie w Rishon LeZion za namową przyjaciela, nowego imigranta, który zamieszkał tam z żoną, rodowitą Izraelką. Para również miała małe dzieci, myśleli więc, że będą się cieszyć z ich towarzystwa. Lecz to było przed narodzinami Noi. Potem przyjaciele przyjęli ich oziębło, jakby choroba ich córki była zakaźna.

Mieszkanie w Rishon LeZion podobało się im z powodu dużego balkonu z widokiem na tereny zielone. Ale nie było telefonu. Zaświadczenia ze szpitala potwierdzające, że ich dziecko jest ciężko chore, nic nie dały: lista oczekujących na podłączenie do sieci nie miała końca. Byli odcięci od świata.

Współczuła mężowi, który porzucił wygodne życie w Barcelonie, żeby osiedlić się w Izraelu, gdzie wszystko było tak trudne. Ledwo zarabiał na utrzymanie, nie miał przyjaciół, jego rodzina była daleko, żona smutna i drażliwa, a dziecko bardzo chore. Jego życie wywróciło się do góry nogami, a za każdym razem, kiedy szukał pocieszenia w jej ramionach, odtrącała go pod pretekstem, że jest wykończona wielogodzinnym karmieniem córki, która potem i tak wszystko wypluwała.

Zostawiał jej samochód, żeby w nagłym wypadku mogła jechać do szpitala, przez co sam musiał jeździć do pracy trzema autobusami. Wychodził z biura o siedemnastej, a docierał do domu dopiero o dziewiętnastej, zastając żonę umęczoną i słabą jak jego córka. Lecz nadal był optymistą, nawet gdy odkryto, że Noa cierpi na przewlekłą chorobę krwi. Rdzeń kręgowy nie produkował krwinek i jej układ odpornościowy był osłabiony.

W dwudziestym czwartym tygodniu życia Noa znowu trafiła do szpitala na trzy długie miesiące, a kiedy z niego wyszła, ważyła cztery kilogramy. W dziewiątym miesiącu miała wagę czterotygodniowego noworodka. Ponieważ nie trawiła żadnego pokarmu, przez cały czas trzeba było ją karmić przez kroplówkę, żeby się nie odwodniła. Znalezione żył nie było łatwą sprawą, a ku wielkiej rozpaczycy rodziców musiano robić jej zastrzyki kilka razy dziennie.

Rina przychodziła do szpitala o siódmej, a wychodziła o dziewiętnastej. Szwagier zastępował ją do dwudziestej

drugiej, potem była kolej jej męża, który spędzał tam całą noc. Widywali się tylko między dwudziestą a dwudziestą pierwszą w domu. Ich rozmowy ograniczały się do poziomu hemoglobiny Noi i tego, czy ma jeszcze prawo do transfuzji. Szabat spędzali razem przy łóżku swojego dziecka. Broniła córki jak lwica, chcąc ją ochronić przed ewentualnymi bakteriami, bo oddział pediatryczny nie był tak sterylny jak neonatologia. Bała się, że przy zmniejszonej odporności Noa może złapać każdą chorobę. Kapała ją tylko w jej własnej waniencie, którą przynosiła ze sobą codziennie. Chociaż obrażone pielęgniarki mówiły jej, że dokładnie odkażają waniенki po każdym użyciu, nie ustępowała i nikomu nie pozwalała dotykać córki. Kiedy salowa przychodziła zmienić worek z kroplówką, Rina żądała, żeby umyła przy niej ręce, zwłaszcza jeśli zajmowała się wcześniej innym dzieckiem cierpiącym na problemy jelitowe. I czuwała nad tym, żeby nikt nie popełnił błędu. W przypadku jej córki niedbalstwo było zakazane. W niektóre dni była tak wściekła, że nikomu nie pozwalała zbliżyć się do swojego dziecka. Mąż ostrzegał ją, że zrazi do siebie personel, ale mówiła, że woli uchoǳić za szaloną, niż żeby jej córka była czyimkolwiek królikiem doświadczalnym.

Spędzając całe dni w szpitalu, zazdrościła pielęgniarkom, które zmieniały się co osiem godzin i przekazywały polecenia koleżankom, a potem wracały do domów, do mężów, dzieci i rodzin. Wieczorem słyszała czasami, jak dyżurna pielęgniarka daje swojemu mężowi wskazówki dotyczące kąpieli dzieci i kolacji, która składała się z omletu w kształcie twarzy - z dwoma oliwkami przedstawiającymi oczy i plasterkiem ogórka udającym buzię - co było jedynym sposobem na to, by maluchy jadły warzywa. Zazdrościła ludziom, którzy dobrze się czuli i żyli normalnie, jedli zdrową żywność przygotowywaną w domu, a nie

mde kanapki z dystrybutora, i modliła się, żeby pewnego dnia jej córka mogła normalnie jeść, nie wymiotując.

Którejś nocy, gdy jej mąż został w domu złożony grypą, przy łóżeczku Noi zastąpił go szwagier. Kiedy przyszła o szóstej następnego poranka - dzień w szpitalu zawsze zaczynał się o świcie - przywitał ją entuzjastycznie. Noa w końcu ważyła cztery kilogramy. Szwagier nie posiadał się z radości, jakby trochę dzięki niemu jego siostrzenica wreszcie przekroczyła ten próg.

- A poza tym jak spędziła noc? - spytała.

Próbowano przeprowadzić transfuzję krwi, ale ponieważ nie znaleziono żyły, zrobiono jej zastrzyk w szyję, wyjaśnił. Całą noc musiał nieruchomo trzymać jej głowę, żeby kroplówka się nie odczepiła.

- Trzymałeś jej głowę przez cztery godziny?!

- Tak. Potem, zdaje się, zasnąłem.

Noa nie przybierze na wadze i ciągle będzie wymiotować, jeśli nie zoperuje się niedrożności nosowej, oświadczyła lekarzom. Ci, w przeciwieństwie do niej, uważali, że na dłuższą metę operacja nie przyniesie wielkiego pożytku, bo chrząstka, regenerując się, znowu zatka drogi oddechowe. A biorąc pod uwagę ogólny stan małej pacjentki, obawiali się, że nie przeżyje operacji. To było błędne koło. Chociaż trzeba przyznać, że lekarze konsultowali się z nią: nie zmieniali lekarstw ani leczenia bez zapytania jej o zdanie. Wiedzieli, że intuicja matki bywa czasami trafniejsza niż medycyna, zwłaszcza kiedy sami nie byli przekonani co do słuszności własnej decyzji. Przekłeta bakteria spowodowała takie wyniszczenie, że nie było oddziału, na którym Noa nie byłaby badana. Laryngologia, ortodoncja, neurologia, interna, okulistyka i oczywiście hematologia. Odsyłano jej córkę z jednego oddziału na drugi, z prześwietlenia płuc na punkcję uszu. Z czasem jej matka po-

znała wszystkich lekarzy w szpitalu. Żadnego nie lubiła, bo - poza pediatrami - traktowali ją z góry. Najgorsi byli laryngolodzy, bez których niestety nie mogła się obejść.

Noa cierpiała na nawracające zapalenie ucha, które wymagało częstych punkcji. Jej matka, młoda, pociągająca kobieta, szybko zrozumiała, że doktor rozmyślnie muskał jej nogę, kiedy trzymała na kolanach córkę podczas zabiegu. Nie przestawała się do niego uśmiechać, chcąc, by jak najlepiej zajmował się jej dzieckiem, i powstrzymując się, żeby nie dać mu porządnego kopa w jaja. To przypominało jej dzień, gdy pięć lat temu łapała stopa przy stacji benzynowej na drodze wylotowej z Jerozolimy do Tel Awiwu, bo jak zawsze nie miała pieniędzy. Stała na zakręcie w miejscu, gdzie - jak sądziła - kierowcy zmuszeni będą zwolnić i nie będą mogli zaprzeczyć, że jadą w kierunku Tel Awiwu.

Kiedy postanowiła, że przeniesie się do Jerozolimy, musiała przejść testy psychometryczne wymagane do przyjęcia na uniwersytet, ale je oblała. Nie było w tym nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że egzaminy przeprowadzano, by ocenić zdolność do adaptacji w środowisku uniwersyteckim. A w środowisku, z jakiego pochodziła, obowiązywało prawo pięści. Nie była bardzo zaskoczona, gdy dwa miesiące później dostała list z uniwersytetu o treści: „Z przykrością informujemy, że nie została pani przyjęta na naszą uczelnię”.

Tak więc po tym, jak oblała egzamin wstępny na uniwersytet, dwudziestojednoletnia młoda dziewczyna o kuszących piersiach próbowała złapać stopa przy stacji benzynowej na drodze wylotowej do Tel Awiwu, gdy samochód z piątką mężczyzn w typie mafioso zwolnił na zakręcie i zatrzymał się przy niej. Korzystając z okazji, jaka się nadarzyła, pasażer siedzący obok kierowcy

rzucił się z łapami na jej biust. Jej rumuńska krew się zagotowała.

Dziewczyna chciała go spoliczkować, ale podkreślał już szybko, jakby informując: „dostałem, co chciałem, i spadam”. Nie podniosła więc na niego ręki, by się nie zranić, ale w ułamku sekundy, zanim domknęło się okno, instynktownie splunęła mu w twarz. U niej, w Wadi Salib, ktokolwiek poza rodzicami śmiał ją tknąć, narażał się na gwałtowną reakcję.

Zobaczyła, jak ślina sływa mu po twarzy, a pozostała czwórka bije brawo, wyśmiewając się ze swojego towarzysza. Znali język siły i wyższość prawa pięści.

W wieku jedenastu miesięcy Noa ważyła pięć kilogramów. Nowy laryngolog na oddziale oświadczył, że podejmuje się ryzyka przeprowadzenia zabiegu. Wrócił po pięciu latach specjalizacji w Stanach Zjednoczonych, gdzie z sukcesem operował podobne przypadki. Doktor Marshak również był zdania, że mała nie przybierze na wadze, jeśli nie będzie mogła oddychać przez nos.

- Na czym polegają pana nowatorskie metody? - zapytali mąż i żona.

- Stosuję nacięcie podniebienia, przecinam kości wewnętrznie i obniżam podniebienie. Dzięki temu nie ma obawy, że nos ponownie się zatka. Przy okazji zszyję również rozszczipione podniebienie.

- Ile czasu potrwa operacja?

- Około czterech godzin. To bardziej skomplikowane u tak małego dziecka.

Drżąc, podpisali papier zwalniający chirurga z odpowiedzialności w przypadku niepowodzenia.

Noa została przyjęta na blok operacyjny o ósmej rano. Jej matka poszła do toalety. Po załatwieniu po-

trzeby zobaczyła, że muszla jest cała czerwona. Ze strachu sikała krwią.

Po dwóch godzinach doktor Marshak przyszedł ich powiadomić, że operacja przebiegła pomyślnie i mogą pójść do córki leżącej w sali pooperacyjnej.

- A rozszczepienie podniebienia? - spytał ojciec.

- Bułka z masłem! - zażartował lekarz.

Przyglądali się swojej córeczce, która spokojnie oddychała. Koniec z grymasami bólu wykrzywiającymi jej twarz, kiedy musiała walczyć o każdy łyk powietrza. Pięć dni później Noa opuściła szpital. W ciągu miesiąca przybrała kilogram, a w wieku dwóch lat nadgoniła opóźnienie.



## ZAMIESZKI W WADI SALIB

I

Moja siostra została w domu, żeby jeszcze raz przeczytać *Małe kobietki*, a ja poszłam pograć w piłkę z Ruhamą, naszą syryjską sąsiadką.

W przeciwieństwie do naszego pokoju zagraconego po brzegi, pokój, który Ruhama dzieliła ze swoimi braćmi i siostrami, był pusty. Żadnego stołu, maszyny do szycia ani szafy. Nie było tam nic oprócz pięciu łóżek. A podłoga tak lśniła, że - jak mawiała mama - można byłoby na niej jeść.

Nie śmiałam wchodzić do pokoju ich rodziców - Nissima i Mazał. Bałam się ojca Ruhamy, który lał na zmianę swoje dzieci pasem.

Gdy tata tłumaczył mu, że bicie nie jest najlepszą metodą wychowawczą, Nissim odpowiadał, że za czasów jego dzieciństwa w Syrii ojciec regularnie tłukł go na kwaśne jabłko i wcale mu to nie zaszkodziło. Nie ma to jak porządna dyscyplina, żeby zahartować charakter.

Zamiast piłki wystarczał nam arbuz. Usiadłam na brzegu jednego łóżka, a Ruhama na drugim naprzeciwko mnie.

Rzuciłam arbuзем do Ruhamy, która mi go odrzuciła. Jeszcze raz rzuciłam do niej, a ona odrzuciła mi go z większą siłą. Rzuciłam do niej jeszcze mocnej, a ona odchyliła się na łóżku, żeby odrzucić mi go z całą siłą siedmioletniej dziewczynki.

Ruhama była ode mnie młodsza o półtora roku. Byłam zła, nie rozumiejąc, skąd ta dziewczyna bierze energię, by podrzucać tak ciężkiego arbuza.

Też wdrapałam się na łóżko i ze wszystkich sił rzuciłam owocem. Źle wycelowalam: arbuз roztrzaskał się na podłodze w drobne kawałki.

Zjawiła się Mazał i zmierzyła wzrokiem podłogę pokrytą czerwonymi resztkami. Byłam pewna, że zleje mnie pasem swojego męża za to, że zmarnowałam dużego arbuza, który mieli zjeść w następny szabat po powrocie z plaży. Ale poprzestała na krzykach i kazała mi iść po matkę i siostrę. Powiedziałam mamie, żeby zostawiła mamalygę, którą przygotowywała, i poszła ze mną do sąsiadki. Jeśli nie, Mazał zleje mnie pasem Nissima.

Moja siostra zgodziła się porzucić na parę minut książkę i udałyśmy się na drugie piętro. Sąsiadka i piątka jej dzieci ze smakiem pożerali kawałki owocu rozrzucone po podłodze. Mazał zaprosiła nas, żebyśmy się częstowały, a my nie dałyśmy się prosić.

Mama miała rację, bez obaw można było jeść z podłogi u sąsiadki, która całymi dniami ją myła.

Mazał, którą mój tata nauczył grać w rummy, czasami dołączała jako piąta do gry. Dlaczego jako piąta? Bo było ryzyko, że zepsuje rozgrywkę, jeśli niespodziewanie przyjdzie Nissim, krzycząc, by natychmiast wracała. Wtedy Mazał zrywała się i zostawiała swoje żetony na stole. Potulnie spieszyła na górę, żeby mąż nie wpadł we wściekłość i nie zabronił jej marnować czasu z Rumunami. Biega-

ła wokół niego, zdejmując mu buty i uśmiechając się, jakby bardzo go kochała.

Ostatnim razem, kiedy Mazał była u nas, tata przekonał ją, aby dała do zrozumienia swojemu mężowi, że jeśli nadal będzie podnosił na nią rękę, nie odda mu się w nocy. Nie wiedziałam, czego Mazał nie oddała Nissimowi, lecz poskutkowało. Nissim przestał ją bić, choć nadal gorliwie wychowywał swoje dzieci za pomocą kija. Nie rozumiałam, dlaczego one również nie zagroziły mu, że też odmówią mu w nocy, żeby więcej ich nie bił.

Mój ojciec wymyślił feminizm pod koniec lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku i w naszym domu przy ulicy Stanton drzwi zawsze były otwarte dla bitych kobiet oraz dzieci szukających schronienia.

Rodzina Abbasów pochodząca z Maroka mieszkała na przeciwko. Było ich dwanaścioro i wszyscy bili wszystkich: rodzice dzieci, starsi młodszymi, a młodsi najmłodszymi. Wszystkim spieszyło się, żeby urosnąć i móc znęcać się nad młodszymi.

A rozumie się samo przez się, że każdy - duży czy mały - dostawał klapsy od rodziców.

Moja siostra bała się ich odwiedzać. Poradziła mi, że bym nigdy nie chodziła u nich do toalety, nawet gdybym nie mogła już wytrzymać. Trzeba dodać, że my mieliśmy muszlę, a oni turecką ubikację. Seffi wyjaśniła, że w trakcie załatwiania swoich potrzeb grozi nam wchłonięcie w czarną dziurę.

Tsilla spytała ją, czy wie, gdzie kończy się dziura.

- Oczywiście w Auschwitz - odpowiedziała moja siostra.

Polak Jaków był naszym sąsiadem z tego samego piętra. Zaczesał włosy na jedną stronę, żeby ukryć łysinę. Miał dwoje dzieci albinosów, bliźnięta, które nie miały apetytu. Jaków przyprowadzał więc swoich synów na miejsce, które służyło nam za prywatny plac zabaw, sadzał ich na kamiennych schodach i prosił nas, żebyśmy na przykład stawały na rękach. Korzystając z okazji, że mali albinosi patrzyli na nas z podziwem, wpychał im do rozdziawionych ust nieokreśloną kasztanową papkę. Wyglądała tak ohydnie, że wcale mnie nie dziwiło, że od razu ją wypluwali. Niewzruszeni ojciec lub matka z powrotem nakładali na talerz te brunatne wymiociny i ponownie wpychali je dzieciom do buzi. Chociaż nie znosiłam ich rodziców, nigdy nie odmawiałam zrobienia szpagatu, gdy bliźniacy mnie o to prosili, tak bardzo było mi ich żal. Przełknąwszy karmę, wracali do domu na obowiązkową sjęstę między czternastą a szesnastą. Kiedy zapraszały nas siostry Jamal, mogłyśmy jeść ciborę, a Abbasowie zajadali się mufletami\*. Nie sposób było się dowiedzieć, co się jadało u Mariny, bo nigdy nie zaproszono nas tam na obiad.

Marina była modelką. Może nie profesjonalistką, ale wyglądała na nią i takie miała manieri. Była wysoką, piękną blondynką, tak chudą, że niemal przezroczystą. Gdyby znalazł ją Calvin Klein, bez wątpienia podpisałby z nią dożywotni kontrakt. Będąc maniaczką czystości, nie pozwalała swojej córce Navie bawić się z nami. Nava odziedziczyła po matce chudość, ale nie rezerwę. Była dzieckiem bardzo wesołym, figlarnym i roześmianym. Po powrocie ze szkoły szła prosto do łazienki, gdzie matka czyściła ją jak konia po wycieńczającym galopie. Zmywała wszelkie ślady brudu, jaki mógł

\* Muflety - cieniutkie naleśniki podawane z miodem.

przykleić się do niej w szkole, nawet pod paznokciami i za uszami. Kiedy skończyła szorować córkę - aż dziw, że podobne działania nie zdarły jej skóry - dawała jej owoc i kładła ją spać. Nava nigdy nie jadła ciepłych posiłków w domu. Tylko w szkole, bo jej matka bała się, że zabrudzi kuchenkę. Marina była przewrażliwiona na punkcie gazu i czystości. Po sjeście pozwalała córce patrzeć z balkonu na nas, dzieciaki z ulicy, jak się bawimy. Nava oczywiście nie mogła do nas dołączyć, żeby się nie ubrudzić. Nie było też mowy, żeby zaprosiła nas do siebie, bo zabłócilibyśmy dom. Gdyby jej matka mogła, nigdy nie posłałaby Navy do szkoły, ale było to niemożliwe z powodu prawa o obowiązkowym nauczaniu, którego przestrzegali wszyscy w Wadi Salib. Większość nowych imigrantów nie chodziła do szkoły w krajach, z których pochodzili, i nigdy nie pomyśleliby o tym, żeby posiać swoje dzieci do szkoły w Izraelu, gdyby nie byli do tego zmuszeni. Żeby się zasymilować, trzeba się było nauczyć hebrajskiego. Poza tym o dziesiątej dzieci dostawały czekoladę i owoc, a w południe ciepły posiłek. Nawet najbardziej oporni w końcu zrozumieli, że lepiej być posłusznym, żeby nie trafić do więzienia.

Marina uważała nas za obdartusy, nawet Seffi i mnie, chociaż byliśmy aszkenazyjkami. Nie liczyło się, że miałyśmy białą skórę, a nie ciemną jak ci barbarzyńcy. Z tego powodu Nava nas też nie mogła odwiedzać.

Widziałam jej twarzyczkę przyklejoną do balustrady na ostatnim piętrze, gdzie mieszkały. Zazdrościła nam, że mogliśmy się bawić na ulicy. Dla niej ziemia obiecana była na wyciągnięcie ręki, lecz nie mogła jej dotknąć.

Poprosiliśmy tatę, żeby coś zrobił dla tej biednej dziewczynki.

- Nic się nie da zrobić. Jej matka ocalała z Shoah - wyjaśnił, wruszając ramionami.

Marina miała szesnaście lat, gdy wywieziono ją do obozu zagłady. Była bardzo ładna i została obozową dziwką oficerów gestapo. Kiedy skończyła się wojna, Marina stała się maniaczką czystości. Było to u niej kompulsywne, jak gdyby chciała usunąć nazistowski brud ze swojego ciała i ciała córki, której ojca nikt nie znał. Nie wiem, jak Marina znalazła się w naszym bloku, który na początku był zarekwirowany przez policję. Pierwsza zresztą się z niego wyprowadziła.

Pewnego wieczoru tata oświadczył ze smutkiem, że w kawiarni była rozróżba, w którą wmieszała się policja, i sprawy prawdopodobnie przybiorą zły obrót.

Następnego poranka obudziły nas krzyki. Pospieszyliśmy na balkon: ulicą szedł tłum wymachujący czarnymi chorągiewkami i niebiesko-białymi flagami poplamionymi krwią.

Rzucano kamieniami w bloki aszkenazyjczyków. Cioteczka Lucyna kazała nam natychmiast wracać do środka.

Posłuchałyśmy, zostawiając tatę samego na balkonie, skąd patrzył na swoich rozszalałych przyjaciół i sąsiadów.

Mama krzyknęła, żeby się schował, ale odmówił.

- Chciałbym zobaczyć, czy we mnie, który jestem jednym z nich, też będą rzucać kamieniami!

Zobaczyliśmy przez okno, jak zatrzymują się przy numerze 40 na ulicy Stanton.

Ktoś krzyknął, że to blok, w którym mieszka Frank.

- On jest z nami, jest Rumunem!

Poszli dalej swoją drogą w stronę Hadaru, obrzucając kamieniami wszystkie domy, które - jak podejrzewali - zamieszkują aszkenazyjczycy. Nasz ocalał.

Oczywiście że tata nie był aszkenazyjczykiem!

- Chcę się przeprowadzić! - oświadczyła mężowi pod koniec piątego roku ich małżeństwa, w trakcie jednej z niezliczonych kłótni. - Nie mam telefonu. Jestem odcięta od świata, bo zabierasz samochód, żeby wcześniej wracać. Nie ma tu sklepów ani kawiarni, ani nawet supermarketu. Jestem uwięziona w tym apartamencie, gdzie sam Bóg mnie opuścił.

- Ale mieszkamy tu dopiero od dwóch i pół roku.

- To o dwa i pół roku za długo! To był błąd, i tak zapłaciśmy już za to wystarczającą cenę.

- Poczekaj jeszcze trochę. Dzielnica się rozwinie.

- Nie ma mowy. Chcę mieszkać w miejscu tętniącym życiem, blisko szpitala. Nie wyobrażasz sobie, jaka ogarnia mnie panika, kiedy zabierasz samochód. A Noa? Co zrobię, jeśli zachoruje?

- W Barcelonie przez całe życie przeprowadziłem się tylko raz - przypomniał jej.

- Dlatego że prawdopodobnie było ci tam bardzo dobrze. A poza tym chciałam być bliżej mojej siostry. Wieczorami zamykasz się ze swoimi papierami i nawet nie kiwniesz palcem, żeby mi pomóc.

- Zamykam się z moimi papierami, jak mówisz, po to żeby związać koniec z końcem każdego miesiąca. Wiesz, że muszę się rozwijać w swoim zawodzie i że chcę otworzyć własne biuro. Jeśli tego nie zrobię, będę miał wrażenie, że wegetuję.

Lecz ona myślała tylko o swojej córce. Po operacji Noa, mogąc wreszcie oddychać przez nos, przybrała na wadze i nadgoniła wzrost właściwy dla swojego wieku. Jednak aby jej układ odpornościowy się ustabilizował, potrzebowała ciągłej opieki i transfuzji krwi wymagających czę-

stych wizyt w szpitalu. Po kolejnym niekończącym się dniu wkładała Noę do wanny i energicznie ją namydlała, żeby zmyć z niej szpitalny zaduch, potem robiła sobie kąpiel i zanurzała się w niej ledwo żywa. Ponieważ Noa była badana na oddziale hematologii, jej matka nauczyła się rozpoznawać w szpitalu małych pacjentów chorych na raka, których czasami już nie zastawała podczas następnej wizyty. Te zniknięcia pogrążyły ją w głębokiej depresji, panicznym lęku i przytłaczającym uczuciu niemocy. Nie cierpiała tego przeklętego apartamentu bez telefonu i przenosiła swoją złość na kogokolwiek.

Jej mąż twierdził, że cała ta historia z przewodządką powoduje u niej histerię. Im częściej mu o niej mówiła, tym częściej zamykał się w milczeniu, czekając, aż się uspokoi.

- Nie jestem histeryczką, chcę tylko, żebyśmy się przeprowadzili. Jeśli nie, ostrzegam cię, że rzucę się z tarasu z Noą - oświadczyła w trakcie entej sceny, gdy któregoś sobotniego ranka jechali samochodem na plażę, żeby spotkać się z siostrą i jej rodziną.

- Nie rozumiem cię. Stałaś się zupełnie jak...

Przerwał.

- Stałam się jak kto?

- Jak twoja matka. Liczyły się tylko jej córki. Nic innego ją nie interesowało, ani jej mąż, ani ona sama.

- Sądzisz, że nie interesuję się tobą?

- Tego nie powiedziałem, ale nie masz dla mnie nawet chwili. Wieczorem zawsze jesteś wykończona i nie mogę cię już nawet dotknąć.

- Przyznaję, że nie mam teraz głowy do głupstw.

- Teraz? To trwa od ponad dwóch lat.

- Ale właściwie na co narzekasz? Gotuję przysmaki, a dom jest bez zarzutu, nawet kiedy cały dzień spędzam



w szpitalu. Twoje koszule są czyste i wyprasowane i nie musisz nawet zajmować się swoją córką, bo ja to robię. Czego chcesz więcej? Ale gdy chodzi o zmianę żarówki w sypialni, mówisz, że nie masz czasu, żeby kupić nową. Ta cholerna żarówka przepaliła się tydzień temu! Na co czekasz!?

- No i znowu zaczynasz. Sama widzisz, że jesteś histeryczką!

- Jak cię poprosiłam, żebyś osłonił taras przed wielkimi upałami, zdecydowałeś się na to, gdy był koniec lata, a Noa i ja smażyłyśmy się pod tym rozpalonym dachem. Poza tym zajęło ci to całe dwa weekendy, chociaż jest to jedyny czas, kiedy możesz nas zabrać na świeże powietrze.

- Znowu? O tym właśnie mówiłem. Ciągłe masz mi coś do zarzucenia. Krytykujesz mnie, że nic nie robię, a kiedy do czegoś się wezmę, oskarżasz mnie, że zabiera mi to zbyt wiele czasu. Taras jest za duży, żeby naprawić go w ciągu jednego dnia.

- Ach, tak? - zazgrzytała zębami. - Więc jak wyjaśnisz to, że sąsiedzi naprawili swój w trzy godziny, z zegarkiem w ręku?

- Tylko go przemalowali wałkiem.

- A ty może używałaś do tego małego pędzelka? Nieważne! Spieprzyłeś mi całe lato i jeszcze dwa weekendy. A tego się już nie odwróci.

- Przykro mi. Powinnaś była poślubić takiego faceta jak twój szwagier. Sądzisz, że nie wiem, że ciągle mnie z nim porównujesz? To nie moja wina, że jest Izraelczykiem i zna waszą mentalność. I dobrze wiesz, że przynoszę pracę do domu, żeby związać koniec z końcem.

- Nie trzeba być Izraelczykiem, żeby wymienić żarówkę albo przenieść się do centrum miasta. Wystarczy

tylko chcieć, lecz jak się wydaje, nie w twoim przypadku. Mój Boże, mam wrażenie, że słyszę swoich rodziców, jak się kłóć! A co do rodziców, twoi nie mogliby nam trochę pomóc?

Wyprowadziła go tym z równowagi.

- Nie ma mowy, żebym o cokolwiek ich prosił. To oni zapłacili za to mieszkanie, wystarczy, nie sądzisz?

- Mówiłam o Noi.

- Nie wiem, do czego zmierzasz. Przypominam ci, że nie mieszkają tutaj.

„Gdyby ojciec jeszcze żył, a matka była zdrowa, przeprowadziliby się, żeby być przy niej i opiekować się swoją wnuczką”, pomyślała.

Natychmiast po przyjeździe na plażę rzucił się do wody mimo czarnej flagi. Ona z Noą czekała na siostrę. Patrzyła, jak mąż odchodzi, i zastanawiała się, co było nie tak między nimi. Przybycie Józefiny odwróciło jej uwagę i zajęła się budowaniem zamków z piasku z dziećmi.

Dobłą chwilę później jej mąż wrócił bez okularów, które porwały fale. Przemilczając fakt, że kąpanie się w okularach było kompletną głupotą, zwłaszcza przy wzburzonym morzu, spytała tylko, czy ich szukał.

- Oczywiście. Wyszedłem godzinę temu, nie zauważyłaś?

Była wściekła, że zgubił te korekcyjne okulary przeciwsłoneczne, które niedawno kupił za bajońską sumę.

- Przykro mi, nie zauważyłam. Nie muszę cię pilnować, jakbyś był dzieckiem. Ale jak chcesz, mogę ich poszukać, jeśli zajmiesz się Noą.

Mąż się obraził, że sugeruje, iż uda jej się to, co jemu nie wyszło.

- Zdziwiłbym się, gdybyś je znalazła. Widziałaś, jakie są fale?

- I co z tego? I tak zamierzałam się wykąpać.

Niechętnie wskazał jej miejsce, gdzie sądził, że je zgubił.

Weszła do morza i zanurkowała w rozpryskującej się fali. Kiedy fala przeszła, Rina wynurzyła się na powierzchnię i ponownie zanurkowała. Dostrzegła na piaszczystym dnie błyszczący przedmiot. Chwyciła go i ledwo dysząc, znalazła grunt pod nogami. Jak jej córka mogła przeżyć rok, nie oddychając normalnie? Ta myśl ścisnęła ją za gardło. Otwierając dłoń, zobaczyła obrączkę z masywnego złota. Nadal szukała, tym razem już nie nurkując. Po chwili coś poczuła - miała nadzieję, że to nie meduza. To rzeczywiście były okulary jej męża. Wyszła z wody i pokazała mu obrączkę, pytając, czy przypadkiem nie zgubił swojej.

- Mówiłem ci, że tracisz czas - rzucił ze złośliwą satysfakcją.

- A może to są okulary, które zgubiłeś? - odparła zarożumiale, otwierając dłoń, żeby pokazać swoją zdobycz.

Oddała obrączkę ratownikowi, myśląc później, że może jej właściciel był nieszczęśliwy w małżeństwie i specjalnie chciał się jej pozbyć. Usiadła przy siostrze. Józefina powtórzyła jej słowa męża. Według niego potrafiła poradzić sobie ze wszystkim, nawet ze wzburzonym morzem.

- To komplement?

- Raczej jest obrażony, że znalazłaś jego okulary.

Tamtej nocy Noa dostała czterdzieści stopni gorączki. Pojechali do szpitala, sądząc, że odwodniła się na słońcu. Na ostrym dyżurze lekarze podejrzewali zapalenie opon mózgowych i chcieli zrobić punkcję, żeby się przekonać, czy chodzi o formę wirusową czy bakteryjną.

- Na czym polega leczenie? - spytała.

- Jeśli to wirus, nie dajemy antybiotyku, lecz w przypadku Noi lepiej zrobić zastrzyk dożylny z powodu jej braku odporności.

- Po co robić punkcję, skoro i tak postanowiliście dać jej antybiotyk?

Dyżurny lekarz odpowiedział jej z niecierpliwością, że tak czy inaczej woli się upewnić.

Uparła się.

- Dlaczego? Czy to coś zmieni w leczeniu?

- Nie.

- Więc nie zgadzam się.

- Ale taka jest procedura! - zaprotestował inny.

Straciła zimną krew świadoma, że wyładowuje swoją złość na tym Bogu ducha winnym człowieku.

- No to ją zmieńcie! Nie zgadzam się na to i tyle.

- Wydaje mi się, że lepiej byłoby to sprawdzić - wtrącił się jej mąż.

- Absolutnie nie! - wrzasnęła.

Dyżurny personel zaalarmowany krzykami przybiegł, żeby zobaczyć, co się dzieje. Nieprzytomna z wściekłości wzięła córkę w ramiona jak zakładnika i oświadczyła, że nikomu nie pozwoli się do niej zbliżyć.

Krzyknęła na męża, który wydawał się lekceważyć sprawę, żeby się nie wtrącał.

Poddał się, usiłując ją nakłonić, aby się uspokoiła.

- Nie zamierzam się uspokoić! I żądam, żebyście zadzwonili do dyrektorki oddziału hematologii, która opiekuje się moją córką - rzuciła pod adresem lekarza.

- Nie ma dzisiaj dyżuru i na pewno nie będę jej zakłócał spokoju w domu o jedenastej wieczorem.

- A ja będę! Niech mi pan da jej numer.

Lekarz odmówił. Poszła więc poszukać dyżurnej pielęgniarki. Natychmiast wróci do domu ze swoją córką,

jeśli nie dostanie numeru dyrektorki oddziału, zagroziła. A co do konsekwencji, oni będą ponosić za to odpowiedzialność.

Lekarz wyraził zgodę i pielęgniarka go posłuchała.

Zadzwoiła więc do profesor Zaitzov, przeprosiła i wyjaśniła sytuację. Lekarka zapytała, jakie dokładnie są objawy, i stwierdziła, że lepiej nie narażać malej na kolejne traumatyczne badanie, które może wywołać szok, a nie jest konieczne. W końcu doktor Zaitzov poprosiła o rozmowę z lekarzem dyżurnym.

Lekarz wziął słuchawkę i zapisał uwagi, jakie podyktowała mu przez telefon profesor. Po rozmowie zawiadomił pielęgniarkę, że odtąd mali pacjenci hematologii przyjmowani na ostry dyżur będą poddawani leczeniu po konsultacji z dyrektorką oddziału. Taki jest nowy regulamin.

Rina, dopiąwszy swego, wykończona usiadła w rogu.

Przez tydzień, kiedy Noa była w szpitalu, do końca kuracji antybiotykowej czuwała przy córce dzień i noc, nie odzywając się ani słowem do męża. Nie odpowiadała, gdy mówił do niej, i nie zgodziła się, żeby zastąpił ją w nocy przy łóżku dziecka. Chciała go ukarać.

Po powrocie do domu oświadczyła, że jeśli natychmiast nie zaczną szukać innego mieszkania, przeprowadzi się z Noą do swojej siostry Ustąpił.

- Szkoda, że musiałam czekać na to dwa lata z narażeniem zdrowia dziecka - dorzuciła, odwracając się do niego plecami.

## PRZEPROWADZKA

„To jest moje odkupienie. To jest moja pokuta. Ta kura zostanie zabita, a ja będę się cieszyć długim, szczęśliwym i spokojnym życiem”.

W charakterze symbolicznej pokuty w wigilię Jom Kippur moja siostra i ja trzykrotnie obróciłyśmy nad głową kurę, wypowiadając modlitwę rytuału kapparot\* pod czujnym okiem mamy.

- Narobi mi na głowę! - zaprotestowałam.

- Mam nadzieję! To przynosi szczęście.

- Ale ja nie chcę, żeby ta głupia kura narobiła mi na głowę!

Tata i mama pościli w Jom Kippur. Nigdy nie oszukiwali. Nie wypili kropelki wody, nawet kiedy wiał chamsin, i oczywiście nie myli zębów.

Tata chodził do synagogi sefardyjskiej, a mama do innej, o obrządku aszkenazyjskim.

\* Kapparot (odkupienie) - rytuał praktykowany w wigilię Jom Kippur, symbolizujący oczyszczenie z grzechów i odkupienie.

Tamtego roku tata oświadczył, że będzie się modlił z większym zapalem niż zazwyczaj, bo zaczynamy nowe życie. Zatrudniono go jako stróża w Autocars i zdecydował się opuścić Wadi Salib. Sposób, w jaki jego partia stłumiła ostatnie zamieszki, głęboko go rozczarował i tata chciał, żeby jego córki dorastały w innym otoczeniu. Kto zmienia miejsce, zmienia przeznaczenie, jak każdy wie. Zmieniłyśmy również szkołę, ale był to czysty przypadek. Władze, które nie umiały stłumić rozruchów, postanowiły przenieść klasę mojej siostry z Ma'alot Haneviim do Amami. Ponieważ nie dotyczyło to mojej klasy, mama zwróciła się do właściwych organów, powołując się na to, że nie można nas rozdzielić. Nie dopięła swego, więc się wściekła i oświadczyła, że w takim razie jej starsza córka też się nie przeniesie. Albo obie, albo żadna, i koniec. Musieli nas przyjąć do jednej klasy. Wyjaśniono jej, że nie jestem wystarczająco zdolna, żeby przeskoczyć jedną klasę, ale w końcu dyrektor zgodził się przyjąć mnie do szkoły, tak bardzo zależało mu na mojej siostrze, najlepszej uczennicy w klasie, która miała w dzienniku same „bardzo dobre” i „celujące”.

Przeprowadziliśmy się więc po Jom Kippur. Opuściliśmy nasze jednopokojowe mieszkanie przy ulicy Stanton i zamieszkaliśmy w trzypokojowym z oknami wychodzącymi na trzy strony świata. To była inna jakość życia.

Tata wziął kolejną pożyczkę, mama zapakowała żetony do rummy i wprowadziliśmy się na ulicę Palmową w śródmieściu.

Mama otworzyła okna i zalała nas fala smrodu.

Mimo obiecującej nazwy ulica Palmowa sąsiadowała z wysypiskiem śmieci przy tureckim bazarze, które znajdowało się dokładnie na podwórku za naszym blokiem. Innymi słowy, nasi rodzice kupili mieszkanie na miejskim

śmietniku. Wyjaśnili nam zawstydzeni, że było to jedyne mieszkanie w przystępnej cenie, czyli jedyne, na jakie mogli sobie pozwolić.

Zresztą mama przypomniała sobie, że kiedy je oglądali, okna były szczelnie zamknięte.

Była to najbardziej cuchnąca ulica w Hajfie, a ponieważ nie znałyśmy okolicy, nie mogłyśmy się bawić na dworze.

Na szczęście był balkon! Wychodził na ulicę Yafo, główną arterię śródmieścia. Panował tam wielki ruch, a centrum wydarzeń znajdowało się dokładnie naprzeciwko naszego domu, w kawiarni, albo raczej spelunie odwiedzanej przez wszelkich próżniaków, marynarzy i prostytutki. Grali w backgammona, pili arak\* i awanturowali się. Dwa razy w tygodniu łamali krzesła i stoły, przestali dopiero, gdy zastąpiono je meblami z plastiku.

Bułgarski sprzedawca burekas rozstawił przed barem stragan. Stał tam całutki dzień, a czasami nawet do późnych godzin nocnych. Zręcznie kroił swoje ciasto francuskie na dwa lub cztery kawałki, obierał ze skorupki jajko na twardo, dodawał soli oraz trochę czarnego pieprzu i całość owijał w papierową tutkę, którą podawał klientowi.

Niedaleko były też tanie sklepy: drogerie, hurtownie, dzinsy i ubrania z przemytu, którymi handlowali marynarze między jedną obławą policji a drugą, a także sklep, w którym po niskiej cenie można było kupić niekoszerne kiełbasy, prawdziwy bułgarski ser i wszelkie wyborne produkty sprowadzane z zagranicy. Zaopatrywali się tam mieszkańcy wszystkich dzielnic Hajfy, z Karmelu, Hadaru, Ahuzy i innych.

\* Arak - wódka z daktyli lub ryżu z dodatkiem melasy i trzciny cukrowej.



Siedząc przy niskim stoliku - który dostawiało się, kiedy byli goście - moja siostra i ja godzinami obserwowałyśmy spacerujących przechodniów i puszczałyśmy wodze fantazji.

Po powrocie ze szkoły, jeśli nie czytałyśmy, Józefina doskonaliła moje dobre maniere.

Będziesz jadła z zamkniętymi ustami.

Będziesz chodzić wyprostowana, żebyś nie miała garbu - z książką na głowie przeżyłam się, jakby ciągnięto mnie za włosy.

Nie wymawiaj „r”, żeby nie wiadano, że jesteś Rumunką.

Nie przeklinaj.

Nie bądź bezczelna.

Nie pluj.

Nie kop.

Uśmiechaj się grzecznie z tajemniczym wyrazem twarzy.

Nie przyglądaj się ludziom, nawet jeśli umierasz z chęci, żeby to zrobić, lecz wstydlawie spuszczaaj oczy. Nie rzucaj więcej wyzywających spojrzeń.

Mów mało i słuchaj, bo dorośli przeważnie mają więcej do powiedzenia.

To było dziesięć przykazań w wersji Józefiny.

Lecz najważniejsza była dyskrecja. Nikt nie mógł niczego wiedzieć na nasz temat, ani gdzie mieszkamy, ani co robią nasi rodzice.

Musiałyśmy być tajemnicze.

- Powiedz po prostu, że się wstydzisz! - rzuciłam do siostry.

Przyznała bez trudu.

Jednak w latach sześćdziesiątych, kiedy wszyscy starali się do siebie upodobnić i nikt nie chciał się wyróżniać, bo chciano stworzyć jednolite społeczeństwo żydowskie, Seffi

postanowiła kultywować swoją wyjątkowość, która była dla niej synonimem oryginalności.

Moja siostra chodziła do liceum Ha-Reali, renomowanej i snobistycznej szkoły. Kiedy przychodziła jej kolej, żeby iść do sklepu, zawsze szła wystrojona, jakby znalazła się tam przypadkiem, na wypadek gdyby spotkała którąś ze swoich koleżanek z klasy. W przeciwieństwie do mnie moja siostra nigdy nie chodziła w dresie, podkoszulce i drewniakach. Kazała też przysiąc Tovie i Malce, swoim przyjaciółkom z dzieciństwa, że nikomu nie zdradzą, gdzie mieszka. Wszyscy w klasie, łącznie z profesorami, żyli w przekonaniu, że ulica Palmowa jest piękną aleją z ciągnącymi się wzdłuż drzewami palmowymi, usytuowaną na górze Karmel.

Moja siostra wcale nie zamierzała wyprowadzać ich z błędu.

Wystarczy iść za smrodem, niemożliwe, żeby się pomylić, odpowiadałam, kiedy pytano mnie, jak do nas dojść.

A moja siostra powtarzała, że mogę sobie na wszystko pozwolić, bo jestem ładna.

- Ale ty również! - powiedziałam do Seffi, która się nie doceniała i sądziła, że jest tylko inteligentna.

Korzystając z moich wrodzonych wdzięków, mama kazała mi chodzić ze sobą na targ. Twierdziła, że na widok ładnej dziewczyny onieśmielony sprzedawca owoców i warzyw wybierze jej najlepsze produkty, a nawet opuści cenę. Ponadto dzięki mojemu bezczelnemu uśmiechowi rzeźnik dawał jej za darmo okrawki dla naszego psa. Mojej siostrze nie zawracała głowy. Według niej Seffi nie miała równie ładnego uśmiechu, a poza tym musiała dużo wkuwać, żeby być najlepsza w liceum.

Wadi Salib nauczył mnie radzić sobie w każdej sytuacji.

Moja siostra wyciągnęła z tej nauki odpowiednie wnioski.

Sześć lat mieszkaliśmy w najbrudniejszej dzielnicy miasta. Józefina nie mogła już dłużej znieść ulicy Palmowej i tureckiego bazaru sąsiadującego z portem, więc któregoś dnia wyjaśniła tacie, że jeśli się czym prędzej nie przeprowadzimy, to prawdopodobnie zostanę przestępcą, choćbym nawet uczyła się w liceum Leo Baecka. Dziewczyna w moim wieku potrzebuje towarzystwa, a jedyne towarzystwo, jakie może znaleźć w tej okolicy, to łobuzy ze śródmieścia.

A poza tym ona ma ku temu skłonności, dodała.

Przerażony tata przekonał mamę, żeby wzięli nową pożyczkę, zanim zejdę na złą drogę, i przeprowadziliśmy się na ulicę Hapoel w Hadarze, naprzeciwko kina Tamar, gdzie ten nazistowski kasjer nie pozwolił wejść tacie na film *Oklahoma!*

Moja siostra i ja byłyśmy w siódmym niebie, nie wstydziliśmy się wreszcie naszej dzielnicy ani naszego rumuńskiego pochodzenia.

Jak się dobrze nad tym zastanowić, nie było jednak powodów, żeby skakać z radości.

Zamieścili w gazetach ogłoszenie, że mają mieszkanie na sprzedaż, a ona odwiedziła agencje nieruchomości w Ramat Aviv. Wyprowadzka z apartamentu w Rishon LeZion do czteropokojowego mieszkania bez balkonu w Ramat Aviv kosztowała dodatkowe dwadzieścia tysięcy dolarów. Kiedy Rina zasugerowała, że wystarczy im trzypokojowe mieszkanie, mąż zaprotestował, oświadczając, że potrzebuje biura do pracy, którą przynosi do domu. Ku jej wielkiemu zaskoczeniu teściowie zgodzili się dać im odpowiednią sumę, a teściowa zauważyła przez telefon, że nikt nie rozumiał, jak mogli żyć odcięci od świata przez cały ten czas. Po dwóch i pół roku

oczekiwania przydzielono im wreszcie telefon, dzięki czemu mogli kontaktować się z potencjalnymi nabywcami. Obejrzała wiele mieszkań, na które nie było ich stać, aż któregoś dnia trafiła na czteropokojowe, raczej marnej klasy. Po długich targach okazało się, że musieliby wyłożyć pięć tysięcy dolarów na prace remontowe i dodatkowo trzy tysiące na inne wydatki.

Jej mąż przyznał, że mieszkanie ma zalety, jak wspinały, rozległy widok z okna, ale krzywił się na wysoki koszt prac remontowych.

W końcu udało jej się go przekonać, że odnowią tylko to, co najważniejsze. Kupili więc czteropokojowe mieszkanie i sprzedali swój apartament bardzo sympatycznym Argentyńczykom. Transakcja zajęła im niecałe trzy miesiące.

Gdy Rina udała się do urzędu, żeby się dowiedzieć o kwotę podatku, urzędnik powiedział, że ponieważ jej mąż jest nowym imigrantem, będą mogli skorzystać ze zwolnienia z podatku od nabycia nieruchomości, który wynosił trzy tysiące dolarów.

- A ile wynosi podatek od zysku ze sprzedaży mieszkania w Rishon LeZion?

Urzędnik pograżył się w skomplikowanych rachunkach i doliczył się tysiąca dolarów.

- To wszystko?

- Tak.

Wyszła zadowolona, że oszczędzoną sumę będzie mogła przeznaczyć na nową kuchnię.

Następnie zadzwoniła do Kushiego, który został przedsiębiorcą w Jerozolimie, i poprosiła go o wycenę zburzenia ścian oddzielających salon, kuchnię i pokój oraz wstawienia przepierzenia między łazienką i małym balkonem.

- Niewiarygodne! - zaprotestował jej mąż. - W Barcelonie zrobiłaś mi scenę, bo uważałaś, że salon jest za duży, a teraz chcesz go powiększyć?

- Tak. Wiadomo, że kobiety są kapryśne.

- A ile Kushi zażąda za remont?

- Powiedział, żebym się nie martwiła.

- Jest się czym martwić, kiedy słyszy się coś takiego.

Przeważnie to prawda, ale nie w przypadku Kushiego, uściśliła.

Jej przyjaciel przybył z trzema robotnikami, którzy przez miesiąc remontowali mieszkanie. Nie opuszczała ich ani na krok, ciesząc się wreszcie odrobiną wolności, bo poza dniami wizyt w szpitalu mogła teraz zostawić Noę z opiekunką.

Jej mąż, który od niedawna pracował w renomowanym biurze architektonicznym, zostawił jej wolną rękę. Siostra przyszła obejrzeć mieszkanie i podpowiedziała kilka pomysłów, które Rina pospiesznie zastosowała, nie informując o nich męża.

Pewnego dnia Kushi zaproponował jej jointa, którego wypalili na spółkę w środku bałaganu, skręcając się ze śmiechu. Czuła, że odżywa, i dwa razy zgodziła się nawet na przejażdżkę na plażę pikapem, z włosami rozwianymi przez wiatr. Lubiła towarzystwo przyjaciela, z którym łączyło ją platoniczne uczucie jak za starych, dobrych czasów.

- Nie sądzisz, że małżeństwo to misja samobójcza? - zauważyła, wpatrując się w morze któregoś deszczowego zimowego dnia.

- Mów za siebie. Ja robię, co mi się podoba.

- Jasne, możesz sobie na to pozwolić.

Był mężczyzną, dobrze zarabiał i dzięki Bogu miał dwie zdrowe córki, które jego żona wychowywała z miłością.

Wyznała mu, że zapomniała o swoim wcześniejszym życiu.

- Teraz za każdym razem, kiedy coś robię, zastanawiam się, czy to się spodoba mojemu mężowi. Nienawidzę tego, jaka się stałam. Sama już nie wiem, co chcę robić, poza tym, że nie chcę więcej pracować u architekta. To śmiertelnie nudne.

Kushi wyłożył w końcu kawę na ławę i oświadczył, że według niego zapisała się na Izraelski Uniwersytet Techniczny tylko dlatego, że jej siostra studiowała architekturę na politechnice. Zresztą nigdy nie rozumiał, skąd ma taki kompleks niższości wobec Józefiny i po co pchała się do tego zawodu, do którego jej siostra była stworzona, a ona nie.

Kiedy miesiąc później skończyli remont, była zachwycona rezultatem. Mieszkanie stało się bardziej przestronne. Był pokój rodziców, pokój Noi i łazienka połączona z balkonikiem, gdzie znajdowało się jej prywatne królestwo. Łazienka, z marmurową posadzką z Halili, w swej prostocie miała coś ze stylu śródziemnomorskiego.

- Powiedz, ile jestem ci winna - spytała Kushiego. On odparł, że to prezent dla Noi.

Nalegała, w końcu więc przyjął zapłatę za pracę robotników i koszty materiałów, co w przybliżeniu równało się kwocie, jaką początkowo planowała zapłacić. Teraz jej rodzina miała urządzone ze smakiem, przestronne mieszkanie.

Opowiedziała o prezencie Kushiego mężowi, któremu wydało się dziwne, że przyjęła taki podarunek od przyjaciela. Nic, co dotyczy Kushiego, nie jest dziwne, odparła. I opowiedziała mu, że kiedy miała osiemnaście lat, zaproponował jej nawet pomoc w wychowaniu dziecka, żeby nie musiała usuwać ciąży.

- Ciąży? Jakiej ciąży? - spytał podejrzliwie.

- Mówiłam ci, że byłam w ciąży z moim pierwszym chłopakiem, Israelem, prawda? W tamtym czasie Kushi był kadetem w szkole oficerskiej dla spadochroniarzy. Zaproponował, że ożeni się ze mną, żebym mogła zatrzymać dziecko. Potem mogłabym się zawsze rozwieść. Sądził, że chcę tego malucha, i nawet zaproponował mi wsparcie finansowe na utrzymanie dziecka. Nie sądzisz, że to dopiero szczególny prezent?

- Więc dlaczego go nie przyjęłaś?

- Bo Kushi się mylił. Nie chciałam mieć dziecka z Israelem. Jesteś jedynym mężczyzną, z którym kiedykolwiek chciałam mieć dziecko.

Mąż objął ją i wziął w ramiona, żeby przenieść ją przez próg ich nowej sypialni. Potem wyszeptał jej do ucha - po hiszpańsku, aby nie pomylić się w swoim kiepskim hebrajskim - że wspólnie poradziła sobie z remontem.

Uwielbiała ich nowe mieszkanie, mimo że balkon był mały. Poza tym w okolicy były piękne parki, gdzie popołudniami mogła spacerować z Noą, a jej matka i siostra mieszkały niedaleko. Po dwóch i pół roku wygnania sądziła, że życie wreszcie się do niej uśmiechnęło.

Starła się o posadę w banku Leumi i została przyjęta. Rano pracowała, a po południu opiekowała się Noą, z wyjątkiem dwóch dni w tygodniu, kiedy pracowała w pełnym wymiarze godzin. Lecz gdy poprosiła męża, żeby zwolnił się na dwa popołudnia w tygodniu o piętnastej trzydzieści, aby zająć się ich córką, odpowiedział, że nie może sobie na to pozwolić, bo jest nowy w biurze i byłoby to źle widziane. Zatrudniła więc młodą studentkę, która świetnie dogadywała się z Noą. Rina mogła wychodzić z czystym sumieniem. Poza tym dyrektor banku, znając stan zdrowia jej córki, akceptował jej nieobecność, kiedy chodziła z Noą na cotygodniowe kontrole do szpitala.

Szybko awansowała i po niecałym roku została doradcą finansowym. Kushi miał rację, zapewniając ją, że nie jest mniej zdolna niż siostra.

Miała swoich stałych klientów, nie wspominając o tych, którzy ciągle jej nadskakiwali. Chociaż odrzucała ich awanse, cieszyła się swoimi sukcesami tak prywatnymi, jak i zawodowymi, lecz nie mogła dzielić ich z mężem, bo jego kariera nie odpowiadała oczekiwaniom, jakie wiązał z przyjazdem do Izraela. Może on również powinien się przekwalifikować, zasugerowała taktownie. Nie, nie po to pięć lat studiował to, co lubi, żeby z tego zrezygnować, oburzył się. Nie zmienia się zawodu jak mieszkania. A czemu nie? - odparła.

Pewnego wieczoru, kiedy zapytała go, czy żałuje, że przenieśli się do Izraela, gdy większości jego kolegów z roku dużo lepiej powodzi się w Barcelonie, odpowiedział, że jest szczęśliwy i wierzy, że powiedzie mu się wcześniej czy później. Lecz wiedziała, że ciąży mu sukces zawodowy Józefiny, bo w dniu, kiedy projekt jej siostry wygrał w konkursie na główną siedzibę Kodaka, zobaczyła, jak mąż skurczył się w sobie mimo metra dziewięćdziesięciu wzrostu. Ich związek zaczynał pękać jak rozpadający się mur.

Z niecierpliwością oczekiwała corocznej wizyty teściów, bo były to jedyne chwile, kiedy jej mąż wydawał się odprężony. Stawała na głowie, żeby ich dobrze ugościć, i często zapraszała szwagierkę z rodziną.

Nie wierzyła własnym uszom, kiedy któregoś dnia teściowa spytała ją, czy planuje mieć jeszcze jedno dziecko. Nie ma mowy, bo Noa wypełnia jej cały wolny czas, wyjaśniła. Luna bezskutecznie próbowała dać jej do zrozumienia, że może nastał czas, aby otworzyła się na coś innego.



Jej matka przyglądała się jej i Noi ze smutkiem, jakby chciała powiedzieć: „Rozumiem cię, moja córko”.

Oczywiście, bo tak mnie wychowałaś, odpowiadała jej wzrokiem.

Wstawała wcześniej rano, przygotowywała obiad dla Noi - dbała o to, żeby dziecko miało pełnowartościowe posiłki - robiła pranie, rozwieszała je, budziła córkę, dawała jej jeść i przygotowywała jej przekąskę do świetlicy, gdzie zawoziła ją przed pracą. W tym czasie jej mąż z trudem wstawał i pół godziny spędzał w ich wspaniałej łazience. Kiedy chciała, żeby ją rano zastąpił, tak trudno było go obudzić, że przychodziła do banku cała w nerwach. Wieczorami zarzucała mu, że ucieka do swojego pokoju, niczym się w domu nie zajmuje, choćby poczytaniem Noi do snu.

- Nie znam dość dobrze hebrajskiego - bronił się, świetnie wiedząc, że Rina robi aluzje do swojego szwagra, czytającego bajki wszystkim swoim córkom, nawet najmłodszej, która była sześciomiesięcznym niemowlęciem.

- To mógłbyś przynajmniej pozmywać naczynia, kiedy ja się nią zajmuję.

Lecz gdy widziała stertę brudnych talerzy piętrzącą się w zlewie o dwudziestą trzecią, sama się do nich zabierała, robiąc przy tym specjalnie mnóstwo hałasu, żeby zakłócić mu spokój w pokoju, w którym się ciągle zamykał.

- Przestań! Przecież bym pozmywał, choćby o pierwszej w nocy! - krzyczał, wynurzając się wściekły ze swojej nory.

- Jasne, wtedy nie byłbyś w stanie obudzić się jutro rano!

- Czego ty w końcu chcesz? Powiedz, co mogę zrobić, żeby ci pomóc!

- Nie muszę ci tego mówić. Jesteś wystarczająco duży, żeby to wiedzieć.

- Jak niby mam się domyślić!

- Chciałabym, żebyś pomagał mi z własnej woli i żebyśmy dzielili się obowiązkami, a nie żebyś musiała cię o to prosić, to upokarzające.

Noa zaczęła płakać, kiedy czekał na wyjaśnienia, a Rina zatrzęsała się na myśl o tym, że ich córka może czuć się ciężarem dla rodziców.

Nie cierpiała prosić go, żeby jechał zamiast niej do szpitala, bo nie mogła zbyt często zwalniać się z pracy. Cierpliwość jej szefa miała granice! Lecz jej mąż wymigiwał się, twierdząc, że musi uprzedzać o swej nieobecności w biurze co najmniej tydzień wcześniej i zwalnianie się jest bardzo źle widziane. A dla niej świadomość, że ich córka dorasta, słysząc ciągle kłócących się rodziców, była nie do zniesienia.

- Może powinniśmy się rozwieść?

Spojrzał na nią przerażony.

- Co!?

- Coś popsuło się między nami.

- To normalne. Wszystkie pary przechodzą kryzys po siedmiu latach małżeństwa.

- Ale nie moja siostra. Poza tym między nami jest z każdym dniem coraz gorzej.

- Cały czas narzekasz. W biurze mówią mi, że jestem wzorowym mężem.

- Doprawdy? Wygląda na to, że są dobrze poinformowani.

- Widujemy się codziennie, prawda? Widzą, że często dzwonię do ciebie i opiekunki, kiedy przychodzi po południu. Znasz wielu mężów, którzy dają swoim żonom kwiaty na szabat? I zawsze składam ci życzenia z okazji twoich urodzin i rocznicy naszego ślubu.

- Wielkie dzięki.

- Widzisz, nie możemy nawet porozmawiać. Jesteś cyniczna!

Miała ochotę uderzyć go w twarz, ale się powstrzymała. Zresztą nie byłoby to zbyt miłe, bo rzeczywiście pamiętał o jej urodzinach, podobnie jak o urodzinach swojej szwagierki, szwagra oraz siostrzenic, o których ona regularnie zapominała.

- Nie wiem już, co robić - poskarżyła się siostrze. - To zbyt trudne. Czasami sobie myślę, że to kwestia podejścia, bo zostaliśmy inaczej wychowani.

Lecz Józefina odparła, że nie sądzi, by tak było.

- No to jaka jest według ciebie przyczyna?

- Nie działacie w tym samym rytmie i tyle. Ty jesteś szybka, a on jest wolniejszy, waży za i przeciw, co doprowadza cię do szału. Pamiętasz Alberta, naszego sąsiada z ulicy Palmowej, tego, który ciągle ci się narzucał?

- Oczywiście, że tak. Ale co on ma do tego?

- Miałaś niecałe dwanaście lat, a on ciągle próbował cię obmacywać na schodach. I zamiast powiedzieć o tym tacie, poszłaś do żony Alberta i zagroziłaś, że jeśli jej mąż natychmiast nie przestanie, powiadomisz policję.

- Oczywiście, wiedziałam, że bardziej boi się swojej żony niż naszego taty.

- Więc jeśli umiałaś rozwiązać problem w wieku dwunastu lat, tym bardziej uda ci się to teraz.

- Lecz do tanga trzeba dwojga.

Pewnego dnia zauważyła, że jej mąż spędza ponad pół godziny w łazience, pogwizdując pod prysznicem.

- Wiem, że nie znosisz, gdy pracuję w domu - oświadczył. - Postanowiłem więc wziąć dodatkową pracę 1 w związku z tym będę wracał później.

- Wyglądasz na wesołego. Jest jakiś powód?

Delikatnie pocałował ją w policzek, mówiąc, że nie trzeba zawsze szukać przyczyn. Pogwizdywał przez kolejne dwa tygodnie. I zauważyła, że rano wychodzi, jeszcze zanim ona skończy ubierać i karmić Noę, a wraca o dwudziestej drugiej.

Zapytała go, czy poznał inną kobietę.

- Coś jest nie tak? Wystarczy, że facet jest w dobrym humorze, żeby zaraz zarzucać mu, że kogoś ma!

I dodał, że odtąd będzie wracał o dwudziestej drugiej, bo ma dużo pracy w innym biurze.

Następnego dnia zadzwoniła o dziewiętnastej do jego nowej pracy. Odebrał i miała sobie za złe, że wątpiła w jego uczciwość, gdy brał dodatkowe godziny, żeby związać koniec z końcem.

W piątki ciągle dawał jej kwiaty, zaproponowała więc, żeby za oszczędności pojechali na wycieczkę za granicę tylko we dwoje - Noę mogliby zostawić pod opieką jej siostry.

Odparł, że właśnie chciał jej zaproponować tydzień luksusowych wakacji w Akhziv z kolegami z pracy.

Zgodziła się, lecz nie uspokoiło jej to, bo widziała, że z dnia na dzień jest coraz bardziej wesolutki. Podśpiewywał sobie w wannie, gdzie godzinami się pucował.

W Akhziv byli w towarzystwie bardzo sympatycznych ludzi, między innymi pewnej Tovy, którą bardzo polubiła, zwłaszcza że też była z pochodzenia Rumunką. Kiedy dowiedziała się, że Tova jest rozwódką, znowu wróciły jej wątpliwości, tym bardziej że mąż unikał z Riną kontaktu przez cały tydzień, chociaż był to pierwszy raz od dawna, kiedy wreszcie mogli być sami. Kochał się z nią tylko dwa razy, a i tak czuła, że myślami był gdzieś indziej. Powtarzała sobie, że tylko jej się wydaje, lecz jemu spieszyło się do końca wakacji, tak czuła.

- Zarzucasz mi, że nigdy nie przejmuję inicjatywy, a teraz seks już cię nie interesuje?

Z nieobecny spojrzaniem odparł, że to zapewne chwilowy problem z jego libido.

Po powrocie do domu samopoczucie jej męża błyskawicznie się poprawiło, a jej wątpliwości wróciły.

Wie, że kogoś ma, walnęła prosto z mostu któregoś poranka. Zaprzeczył. Tego wieczoru o dwudziestej zadzwoniła do jego drugiego biura, gdzie powiedziano jej, że mąż wyszedł pół godziny temu. Czekwała na niego pewna, że się nie spóźni i wreszcie raz na zawsze będą mogli wyjaśnić tę sprawę.

Wrócił o dwudziestej trzeciej. Była wściekła. Kiedy spytała, gdzie był przez ten czas, domyślił się, że dzwoniła do jego biura, i natychmiast odparł, iż wyszedł wcześniej, ale spotkał znajomego, z którym poszedł na piwo.

- Tak, a z którym?

Nie zna go. Nowy kolega, który zaczął pracować tego dnia.

- Pozdrowienia dla twojej koleżanki! - rzuciła następnego poranka, widząc, jak wychodzi spod prysznica czyściutki i uśmiechnięty.

Odparł, że nie wie, o co jej chodzi, i jej wieczne zarzuty zaczynają go męczyć.

- Wieczne? Od dwóch miesięcy? Masz dziwne pojęcie o wieczności.

Wyszedł, trzaskając drzwiami, a Noa zaczęła płakać.

Po tym jak Rina odwozła córkę do świetlicy, postanowiła, że po południu uda się do biura architektów, żeby sprawdzić, czy jej mąż rzeczywiście pojedzie tam, gdzie twierdził.

O szesnastej trzydzieści zaparkowała przed biurem, wiedząc, że mąż wychodzi o siedemnastej, lecz o szesnastej czterdzieści pięć rozmyśliła się i zawróciła. Śledzenie

własnego męża było zbyt poniżające. Kiedy przyszedł o dwudziestej drugiej, oświadczyła, że musi wiedzieć, czy jest w jego życiu inna kobieta, bo woli znać prawdę, niż żyć w kłamstwie.

Nie kłamie, to ona cierpi na paranoję, odparł.

W następnym miesiącu zadzwoniła do jego drugiej pracy tylko raz o dziewiętnastej. Był tam i jak zwykle wrócił o dwudziestej trzeciej. Praktycznie w ogóle już jej nie dotykał, tłumacząc się, że jest zbyt zmęczony.

Pewnego piątku o siedemnastej zadzwoniła do jego nowego biura i powiadomiono ją, że wyszedł o trzynastej. Wrócił do domu o dziewiętnastej, pół godziny przed wizytą matki, którą zaprosiła na kolację. Nie mogąc zapanować nad sobą, uprzedziła go, że dzwoniła o siedemnastej, a jego nie było. Na to odparł, że miał spotkanie z Tsviką, ich wspólnym przyjacielem, który był inżynierem, i zlecił mu prywatny projekt.

Po skończonym posiłku poprosiła go, żeby odwiózł jej matkę do domu starców, gdzie mieszkała od miesiąca, lecz odmówił. Był wykończony i chciał się położyć spać. Kiedy wróciła, przyłapała go, jak pospiesznie odkłada słuchawkę telefonu, widząc, że przyszła, ale zachowała się jak gdyby nigdy nic. Następnego ranka, w sobotę, poprosiła, żeby zabrał Noę do wesołego miasteczka. Potrzebowała samotności.

Zgodził się bez dyskusji.

Zadzwoniła do Ahuvy, jednej z przyjaciółek, mieszkającej w Hajfie, która była sprytną osobą. Zakochała się w rozwiedzionym mężczyźnie, ojcu trzech córek, z którym była w ciąży. Gdy jej przyjaciel dowiedział się o tym, porzucił ją. Mimo że ją kochał, nie chciał słyszeć o dziecku. W siódmym miesiącu zadzwoniła do ukochanego i bezwstydnie skłamała, że według USG spodziewa się chłopca. Pobrali

się na Cyprze, bo obydwójce byli rozwiedzeni, a dwa miesiące później wydała na świat swoją pierwszą córkę. Druga miała się urodzić dwa lata później.

Opowiedziała Ahuvie o swoich podejrzeniach i zaprzeczeniach męża. A na pytanie przyjaciółki, jakie jej mąż stosuje wymówki, żeby usprawiedliwić swoje spóźnienia, podała jej przykład z zeszłego wieczoru, gdy podobno spotkał Tsvika.

- Znasz tego Tsvika?

- Tak. Pracowałam dla niego po powrocie z Hiszpanii. Właśnie wprowadziliśmy się do Rishon LeZion, przed narodzinami Noi.

- No to nie widzę, w czym jest problem. Wystarczy, żebyś do niego zadzwoniła i zapytała.

- Ale jak sobie wyobrażasz, żebym po czterech latach milczenia zapytała go wprost, czy widział wczoraj mojego męża?

- Jeśli zależy ci, żeby się dowiedzieć, znajdziesz jakiś sposób.

I znalazła. Przypomniała sobie, że Tsvika stracił głowę dla Racheli, młodej kobiety, która też wtedy u niego pracowała. Ponieważ była zamężna i wierząca, nie śmiał czynić jej awansów. Niedługo potem Racheli się przeprowadziła i straciły ze sobą kontakt. Aż tu w zeszłym miesiącu - jaki ten świat jest mały! - spotkała ją pewnego dnia w szpitalu, gdzie była z Noą. Racheli zwierzyła się jej, że właśnie się rozwiodła i wróciła do Rishon, gdzie mieszka z rodzicami. Wymieniły się numerami telefonów, obiecując sobie, że wkrótce się spotkają.

Była jedenasta, kiedy Rina zdecydowała się zadzwonić do Tsvika, który naturalnie był bardzo zaskoczony.

Zaczęła od opowiedzenia mu o Racheli i podała mu jej numer telefonu. Potem on zapytał, co u Noi, a kiedy ob-

wieściła mu, że sama od prawie roku pracuje w banku, powiedział, że zawsze sądził, iż jest dobra w PR.

- A co słyhać u twojego męża?

- W porządku. Nie utrzymujecie kontaktu?

- Och, wiesz, nie widziałem go od co najmniej trzech lat. Jej serce zamarło.



## KŁAMSTWA

Kiedy mama robiła ciborę, zapraszała Tsillę, Ruhamę i Lindę, nasze syryjskie sąsiadki z góry, które przepadały za tą potrawą. Danie kosztowało niewiele, bo składało się z samych warzyw. Tsilla była bardzo ładna, ale uważała się za brzydką, ponieważ miała na szyi rozległe oparzenie. Kiedy była mała, przez nieuwagę ściągnęła na siebie maszynkę do gotowania, czy na nią wpadła. Powtarzała, że z powodu tych blizn nikt nie zechce się z nią ożenić, gdy będzie duża. Żeby ją pocieszyć, Józefina oświadczyła, że opowiada głupstwa, bo uroda liczy się mniej niż charakter. Lecz kiedy spytałam siostrę, czy naprawdę tak sądzi, odpowiedziała, że nie.

- Więc dlaczego ją okłamujesz? Wiesz, że tata nie cierpi kłamstw.

- Nie okłamuję jej. Nie chcę, żeby była smutna, i tyle.

Doniosłam tacie, że Seffi nabiera Tsillę, mówiąc jej, że kiedyś wyjdzie za mąż, chociaż wie, że to nieprawda. Tata wyjaśnił mi, że czasami nie należy mówić prawdy.

Tamtego tygodnia Dror, dyrektor szkoły, który był skory do rękoczynów, nawet jeśli nie zasługiwaliśmy na to, we-

zwał mnie i dwóch moich kolegów do swojego gabinetu. Chciał wiedzieć, czy staliśmy na czatach pod drzwiami, kiedy Itzik sikał do szafki nauczycielki. Jeden z chłopców przysiągł, że nie miał z tym nic wspólnego, i zarobił dwa siarczyste policzki. Drugi się przyznał, dostał cztery i jego rodzice zostali wezwani do szkoły. Przyglądałam się czerwonej twarzy dyra. Tata nie znosił, kiedy dorośli - nieważne, czy byli dyrektorami czy nauczycielami - znęcali się nad dziećmi. Zresztą nauczycielka sama się o taki dowcip prosiła. Ciągłe poniżała Itzika, nazywając jego rodzinę „prymitywami, którzy jedzą palcami”. Gdy dyrektor spytał, czy jestem winna, odparłam, że bawiłam się na podwórzu w berka z Bracha, Ahuvą i Adiną. Skłamałam, bo wiedziałam, że w takich okolicznościach lepiej nie mówić prawdy, jak nauczył mnie tata, a koleżanki nie odważą się mnie zdradzić, bo bały się mnie jeszcze bardziej niż dyrektora.

- Jesteś pewna? - nalegał dyro.

Spuściłam oczy, żeby się nie spieszyć. Pamiętałam, że siostra wbijała mi do głowy, że nie należy patrzeć dorosłym w oczy, bo to wyprowadza ich z równowagi.

- Tak. I sam może pan je o to spytać - dodałam, uważając na poprawność gramatyczną, żeby nie dostać w twarz.

Dyrektor oszczędził mi policzka. Zapewne musiała boleć go ręka!

Szybko wróciłam do domu i opowiedziałam tacie, jak skłamałam dyrektorowi, żeby nie znaleźć się w nieprzyjemnym położeniu.

- To bardzo dobrze, moja córeczko - pogratulował mi i pocałował mnie.

Pewnego sobotniego wieczoru Seffi poszła kupić sobie w budce u Barucha połowę falafela, którym podzieliła się z Tsillą. Kęs dla sąsiadki, kęs dla Józefiny i tak w kółko, aż

wróciły do domu. Tam moja siostra dopuściła się poważnego kłamstwa przed mamą, twierdząc, że cały falafel zjadła sama, nikogo nim nie częstując.

Co do mnie, kiedy tata pozwolił mi kłamać, żeby nie sprawiać przykrości innym, wykorzystałam to w stosunku do Samuela, brata Shoshi, przyjaciółki Józefiny. Seffi miała mnóstwo koleżanek, a mnie wystarczyło towarzystwo mojej siostry. Zaprzyjaźniła się z Shoshi po tym, jak Haja zabrała swoje lalki i wyjechała do Ameryki, a my przeprowadziliśmy się na ulicę Palmową. Gdy nie była pogrążona w książkach, chodziła do Shoshi i tam uczyła się szyć portmonetki.

Matka Shoshi była krawcową i szyła suknie ślubne. Rodzina mieszkała w czwórce w jednym pokoju. Shoshi i moja siostra bawiły się pod stołem, który służył za miejsce pracy i zajmował połowę przestrzeni. Ze skrawków materiału robiły portmonetki. Lecz Józefina nigdy nie chciała wziąć mnie ze sobą, twierdząc, że pod stołem nie wystarczy miejsca dla nas trzech. W ramach rekompensaty przynosiła mi białe torebeczki własnej produkcji, do których wkładałam guziki udające monety.

Tata i mama kazali mojej siostrze zabierać mnie na jej klasowe spotkania, tak samo jak rodzice Shoshi kazali jej wlec ze sobą Samuela, jej starszego brata, który był opóźniony w rozwoju.

Siedząc na barierce przed szkołą, Samuel i ja naprawialiśmy świat, a nasze siostry zwierzały się koleżankom z preferencji dotyczących chłopaków.

- Przysięgasz, że nikomu tego nie powiesz? - spytał Samuel.

- Przysięgam!

Przysięgałam na głowę mojej siostry, matki lub zmarłej babci, ale nigdy na głowę ojca. Nie byłam pewna, czy uda mi się dotrzymać słowa.

- Nie uwierzysz, jeśli ci powiem, że kiedy będę duży, ożenię się i będę miał dwójkę dzieci, chłopca i dziewczynkę.

- Dlaczego miałabym ci nie uwierzyć?

- Bo jestem opóźniony.

- Nie jesteś opóźniony. Jesteś tylko trochę wolniejszy - odparłam, powtarzając słowa taty.

Ojciec powiedział nam, że rodzice Shoshi uciekli z obozu pracy w Rumunii. Niemcy strzelali do nich i ranili w nogę matkę Shoshi, która była wtedy w ciąży z Samuelem. Kobieta upadła, zalewając się krwią. Jej mężowi udało się ją uratować, ale po urodzeniu Samuel był trochę opóźniony. Gdy chłopczyk osiągnął wiek szkolny, doradzono rodzicom, żeby zapisali go do szkoły religijnej z internatem. Lecz ponieważ przedkładali swojego syna nad Boga, zdecydowali, że rano będzie uczęszczał do szkoły specjalnej, a popołudniami zajmie się nim Shoshi.

- A ty chcesz wyjść za mąż? - spytał Samuel.

Odparłam, że jestem do tego zobowiązana, ponieważ mam posag.

- Posag? Jaki rodzaj posagu?

Powiedziałam, że nie wiem. Może ręczniki albo pościel. Dodałam, że Tova, przyjaciółka mojej siostry, ma już lodówkę.

- A ty co chcesz robić, jak będziesz duża? - zapytał Samuel.

- Chcę być jak moja siostra.

- To znaczy?

- Chciałabym być tak inteligentna jak ona.

- Inteligentna to zawód?

- To daje możliwość wyboru między wieloma zawodami. A ty kim chcesz być w przyszłości?

- Ogrodnikiem.

Odparłam, że praca w ziemi to genialny zawód.

- Rina, przestań się huścić na barierce! - krzyknęła moja siostra. - Spadniesz i znowu trzeba będzie zszywać ci tyłek!

- Rina to biblijne imię? - spytał Samuel.

- Oczywiście. Znaczący „radość”, a w ladino „królowa”. To dlatego tata je wybrał. Bo jestem jego małą królewną.

- A ja mam na imię Samuel, jak prorok.

Opóźniony czy nie, z pewnością nie był idiotą.

- W każdym razie jestem pewna, że się ożenisz i będziesz miał dwójkę dzieci - zapewniłam Samuela, żeby sprawić mu przyjemność.

Akurat tego nie byłam zbyt pewna, ale za to nie wątpiłam, że pewnego dnia zostanie ogrodnikiem. Zatem kłamstwo było tylko połowiczne.

\*

Kiedy mąż wrócił do domu, na powitanie wymierzyła mu dwa siarczyste policzki. Spojrzał na nią osłupiały.

- To za twoje kłamstwa! - rzuciła. - Nienawidzę kłamstw. A przy okazji masz pozdrowienia od Tsvika. Twierdzi, że nie widział się z tobą od trzech lat.

Mąż nic nie odpowiedział.

- Najwyższa pora, żebyś powiedział mi, z kim spędzasz czas od trzech miesięcy. Ale najpierw przygotuj jedzenie dla swojej córki i połóż ją spać. Ja wychodzę. Muszę się przewietrzyć.

Trzasnęła drzwiami i wróciła dwie godziny później.

- Chcesz kawę? - zaproponował.

- Chcę tylko znać prawdę.

- To prawda, spotykam się z kimś. Z koleżanką.

- Z Tovą?

- Z Tową? Co za pomysł! Nie, to ktoś, kto pracuje u nas od sześciu miesięcy.

- A ten ktoś ma jakieś imię?

- Nazywa się Adi.

- Kiedy to się zaczęło?

- Trzy miesiące temu.

Ciężko usiadł i zauważyła, że trzęsą mu się ręce.

- Czemu się trzęsiesz? - warknęła. - To ja powinnam się trząść.

Rzeczywiście, zdała sobie sprawę z tego, że też się trzęsie.

- Bo nie chcę cię stracić.

Siedzieli naprzeciwko siebie oddaleni długością stołu. Bał się jej, a ona bała się tego, co usłyszy.

- To z jej powodu wychodzisz tak wcześnie rano?

- Tak, przyjeżdżam po nią, żeby ją podwieźć do biura.

Chciała znać wszystkie szczegóły.

- A wieczorami naprawdę pracujesz w drugim biurze?

- Oczywiście.

- Do której?

- Przeważnie do dziewiętnastej.

- A między dziewiętnastą i dwudziestą drugą trzydzieści jesteś u niej?

-Tak.

- Każdego wieczoru? Nie mogłeś nam poświęcić, powiedzmy... dwóch wieczorów w tygodniu?

- Posłuchaj, ja ją kocham. Muszę się z nią widywać.

- Ach, kochasz ją? Więc nie jest to zwykła przygoda?

Nic nie powiedział.

- Kochasz ją? - nalegała.

- Tak. I ciebie też kocham.

- Więc kiedy ja przesiadywałam w szpitalu, ty jeździłeś po swoją koleżankę, żeby biedactwo nie musiała wracać autobusem, tak?

- W dni, kiedy musisz zawozić Noę do szpitala, zawsze zostawiam ci samochód - zauważył, aby udowodnić jej, że mimo wszystko nie jest chamem. - I co chcesz teraz zrobić?

- Spadaj. Nie chcę cię więcej widzieć.

- Naprawdę chcesz, żebym odszedł?

- Nie chcę cię więcej widzieć - powtórzyła.

Wypchnęła go na zewnątrz i trzasnęła drzwiami. Zrobiło jej się słabo. Nagle przypomniała sobie *Zabńskie Point*. Policja ścigała bohaterów mieszkających w oazie na krańcu pustyni, gdzie wznosił się wspaniały dom, wyglądający całkiem jakby był z bajki. Bohaterka patrzyła, jak wybuchają raz, drugi, dziesiąty, kolejny i kolejny. Dokładnie tak się czuła. Jej życie rozpadło się na tysiąc kawałków.

Domyślała się, że spotyka się z inną kobietą, ale nigdy nie sądziła, że może chodzić o miłość. Lecz sam to przyznał. To było nie do zniesienia.

Dwie godziny później zadzwonił, prosząc, żeby pozwoliła mu wrócić, ale odmówiła.

- A na wieczór? - zapytał.

- Nie pójdziesz do swojej Adi? Myślałam, że ją kochasz.

- Nie, chcę wrócić do domu.

- Zgoda, pod warunkiem, że przysięgniesz, że z wami koniec.

- Więc mogę wrócić teraz?

- Dlaczego, to już skończone?

-Tak.

- Dobrze.

Potem, kiedy spytała go, co zamierza teraz zrobić, odparł, że nie wie. Mówił, że ma kociąg w głowie i nie jest w stanie myśleć.

- Może powinniśmy dać sobie czas do namysłu - zaproponowała.

- Może. Poszukam jutro jakiegoś mieszkania.

Spędzili bezsenną noc, każde w swoim łóżku. Ona rozmyślając o swoim upokorzeniu, a on w męczarniach niezdeterminowania. Czuli się sama na świecie, porzucona przez wszystkich i za każdym razem, kiedy zamykała oczy, widziała dom z *Zabriskie Point* rozpadający się w drobne kawałki niemożliwe do złożenia.

W południe następnego dnia zadzwonił, żeby powiadomić ją, iż znalazł pokój u starszej pani i po południu przyjedzie zabrać trochę swoich rzeczy.

Kiedy odkładała słuchawkę, była tak zdenerwowana, że zadzwoniła do jego biura i poprosiła do telefonu Adi.

- Proszę się nie rozłączać - odpowiedziała sekretarka.

- Halo? - odezwał się kobiecy głos chwilę później.

- Pani jest Adi?

- Tak.

- Tę, która pieprzy się z moim mężem?

Cisza po drugiej stronie.

- Pytam, żeby się upewnić, że chodzi o właściwą osobę. Może jest u was jakaś inna Adi?

- Nie, tylko ja.

- Więc radzę ci, żebyś trzymała swoje brudne łapy z dala od mojego męża, ty dziwko! - rzuciła i z trzaskiem odłożyła słuchawkę.

Gdy jej mąż przyszedł wieczorem po swoje rzeczy, nie odezwała się do niego słowem i nie odpowiedziała na pytanie, kiedy mógłby zobaczyć się z Noą.

Następnego dnia po przyjeździe do banku, gdzie miała spotkanie z Kobim, jednym z klientów, który ciągle jej nadskakiwał, oświadczyła, że dzisiaj do niczego się nie nadaje, bo nie może się skoncentrować.

- W takim razie porywam panią.

- Dokąd?



- Do Eilat. Muszę doglądać pracy moich robotników, którzy kładą wykładzinę w apartamencie w hotelu Król Salomon. Da się pani namówić?

- Czemu nie?

Poinformowała swojego szefa, że nie jest w stanie pracować, bo dowiedziała się, że mąż ją zdradza.

- Kiedy się pani dowiedziała?

- Przedwczoraj.

Opuściła biuro z drepczącym za nią Kobim.

Przez dwie godziny mieli całe piętro luksusowego hotelu tylko dla siebie. Pierwszy raz od siedmiu lat kochała się z mężczyzną, który dokładnie wiedział, jak dać jej przyjemność, i poczuła, że odżywa.

Po powrocie poinformowała siostrę o odejściu męża.

- Miał chelność mi to zrobić! Wyobrażasz sobie!?

Siostra zasugerowała, że zapewne szukał gdzie indziej tego, czego nie znajdował w domu.

- Najgorsze jest to, że okłamał mnie na całej linii, to irytujące!

Józefina spytała, czy aby na pewno czuje tylko irytację.

- Ależ tak. Skąd to pytanie?

- Posłuchaj, nie wiem, ale myślę, że może powinnaś zastanowić się nad tą sytuacją i nad tym, czego naprawdę oczekujesz od życia.

Po zastanowieniu doszła do wniosku, że sama się okłamuje i w głębi serca czuje się upokorzona tym, że on już tak naprawdę jej nie kocha. A następnie zadała sobie pytanie, czy ona go jeszcze kocha.

Zobaczyła się z nim dwa tygodnie później, w dniu kiedy odwiedzał córkę. Wydał jej się smutny i zmierzniały. Serce się jej ścisnęło i chciała mu poradzić, żeby się lepiej odżywał. Powstrzymała się jednak i zaproponowała, żeby może poszli do poradni małżeńskiej. Zgodził się i umówili się na spotka -

nie z psycholożką, którą gorąco im polecono. Rina opowiedziała jej swoją wersję wydarzeń, kładąc nacisk na fakt, że jej mąż był w ramionach kochanki, kiedy ona spędzała dni w szpitalu z ich córką, i nigdy mu tego nie wybaczy.

Psycholożką zauważyła, że większość par przychodzi do niej w ostatniej chwili, gdy jest już za późno, żeby naprawić pęknięcia w życiu małżeńskim. Następnie zapytała męża, czy ciągle spotyka się z kochanką.

- Nie - odpowiedział.

- Być może, ale nadal widują się w biurze i ta myśl nie daje mi spokoju - wtrąciła Rina.

- Nie mógłby się pan zwolnić? - zasugerowała psycholożką.

- Oczywiście, że nie! Nie ma mowy, żebym odszedł z biura teraz, kiedy wreszcie dostałem stanowisko, na którym się spełniam.

- A gdyby ona odeszła? - wybuchła Rina. - Ona jest panną, prawda? Nie ma rodziny na utrzymaniu. Musisz poprosić ją, żeby odeszła.

- Nie mogę tego zrobić.

- A dlaczego nie? - wtrąciła psycholożką. - To normalne, że pana żona nie może znieść tego, że ciągle spotyka się pan z tą Adi w pracy.

- Rozumiem, ale mimo wszystko nie mogę poprosić jej, aby się zwolniła, żeby sprawić przyjemność mojej żonie.

- To sam się zwolnij i nie mówmy o tym więcej! - uniosła się jego żona.

Psycholożką zarzuciła jej, że tylko atakuje męża, nie starając się go zrozumieć. A przeciwnie, należy spróbować dotrzeć do źródła problemu.

- To bardzo proste, jest zakochany w innej - oświadczyła. - Ta psycholożką działa mi na nerwy - powiedziała po wyjściu do męża. - Więcej tam nie pójde.

Ponieważ jej mąż ciągle nie zgadzał się przekonać Adi, by poszukała sobie pracy gdzie indziej, zadzwoniła do szwagierki z prośbą, żeby przemówiła mu do rozumu. Uczępiła się tej myśli, jakby od tego zależało jej małżeństwo. Szwagierka odpowiedziała, że nie będzie się mieszała w sprawy swojego brata.

Jej teść był zdania, że powinna walczyć o męża. Cóż za dobra rada! Naprawdę tego chciała? Była wyczerpana walką o życie swojej córki. Zaczęła sobie wyobrażać, jak mogłoby wyglądać życie bez niego, i chociaż willa z *Zabúskie Point* ciągle była w kawałkach, Rina zastanawiała się, czy nie łatwiej byłoby zbudować inną, zamiast składać porozrzucone części.

Przez trzy miesiące snuła się jak pokutująca dusza, opowiadając o ich rozstaniu wszystkim, którzy chcieli jej słuchać, z nadzieją, że przyjaciele staną po jej stronie. Lecz większość utrzymywała, że jej mąż jest serdecznym i uprzejmym człowiekiem, a takie rzeczy zdarzają się w pracy i nie ma powodu robić wokół tego szumu. Chociaż mówiła, że nie chodzi o przelotną znajomość, tylko o miłość, odpowiadali, że nie ma racji, bo naprawdę mąż kocha właśnie ją, a nie kochankę. Czego dowodem jest to, że w każdy szabat daje jej kwiaty.

Miała wrażenie, że jest sama przeciw wszystkim. Nawet własna matka odmówiła jej wsparcia, jakiego oczekiwała. Stwierdziła, że Rina jest doprawdy naiwna, sądząc, że znajdzie szczęście gdzieś indziej, zwłaszcza przy problemach Noi.

- Ale on już mnie nie kocha!

Matka skwitowała ten argument machnięciem ręki.

Trzy miesiące, jakie dali sobie na zastanowienie, zbliżały się do końca, a ona wszędzie szukała potwierdzenia tego, że jej mąż jest łajdakiem. Lecz powtarzano jej tylko, że po-

winna mu wybaczyć, bo nie wyrzuciła się z domu męża po siedmiu latach małżeństwa z powodu zwykłej przygody.

Pewnego dnia zobaczyła, jak Noa z wielką radością tańczy w pokoju. Jakby unosiła się w powietrzu, będąc centrum świata ze swojej wyobraźni. I ścisnęło się jej serce na myśl o tym, że jej córka napatrzyła się od urodzenia na różne rzeczy. A teraz, kiedy ma cztery lata, ojciec ją zostawił, być może na zawsze, a jej matka przypomina zomby i dostaje ataków histerycznej wściekłości, nad którymi nie umie zapanować.

Pewnego popołudnia, kiedy odwoziła Noę do świetlicy, jakiś samochód wyskoczył z bocznej ulicy, nie uwzględniając pierwszeństwa, i niewiele brakowało, żeby w nią uderzył. Rina gwałtownie zahamowała, odwróciła się, żeby sprawdzić, czy Noa ciągle jest przypięta w swoim foteliku, i zatrzymała się na samym środku jezdni, blokując przejazd. Wsiadła z samochodu i spoliczkowała kierowcę - kobietę! - która o mały włos nie zabiła jej córki. Następnie wsiadła do samochodu i odjechała, bo nie chciała się spóźnić.

Tydzień później, korzystając z wizyty męża, który przyszedł zobaczyć się z córką, pojechała na zakupy. Parkowała przy centrum handlowym Ramat Aviv, kiedy jakiś lalusiowaty typ krzyknął do niej po hebrajsku, że o mało co nie zarysowała jego samochodu.

- A, o mało co? - odparła.

I wrzuciła wsteczny, żeby wgnieść jego zderzak, żegnając się tym samym z miesięczną pensją. Trudno, Noa i ona wproszą się do jej siostry, która zapewne bardzo się ucieszy, powiedziała sobie.

Lecz po zajściu na placu zabaw czara się przelała. Zaprowadziła córkę na skwer pod ich blokiem. Kiedy Noa chciała się przejechać na karuzeli, Rina posadziła ją obok

chłopca w jej wieku. Jego matka - nieprawdopodobnie głupia gęś - pospiesznie zabrała swego syna, przerażona widokiem Noi opuchniętej z powodu sterydów, które podawano jej, żeby ustabilizować poziom hemoglobiny.

- Pani córka zaraża?

- A głupota według pani jest zaraźliwa? Złośliwość i brak wrażliwości również?

Tamta nie pisnęła ani słówka.

- Niech pani odpowie!!!

- Oczywiście, że nie!

- A ja sądzę, że tak. Zabiorę więc swoją córkę, żeby przypadkiem nie zarażała się pani złośliwością.

Ponieważ głupia gęś nie wiedziała, co powiedzieć, Rina zapytała ją, czy wie, jaka jest różnica między głupotą a inteligencją.

- Nie - odparła matka chłopczyka, sądząc, że zmieniła temat.

- Inteligencja ma granice. Żegnam, biedna idiotko, i mam nadzieję, że nigdy więcej cię nie zobaczę!

Po tych słowach wzięła córkę w ramiona, jakby chciała ochronić ją przed złem, i zaprowadziła ją do domu.

Napuściła wody do wanny, nie zapominając o kaczuszkach Noi, i energicznie wyszorowała córkę, jakby się ubrudziła w parku. Kiedy dziewczynka spytała ją, dlaczego płacze, odparła, że to tylko mydło szczypie ją w oczy. Noa rzuciła jej spojrzenie pełne współczucia. Jej córka odziedziczyła dziewięćdziesiąt procent współczucia, które Bóg dał światu do podziału, pozostawiając reszcie ludzkości tylko jedną dziesiątą. Można by więc sądzić, że życie jest niesprawiedliwe, bo nie zostawiło prawie nic dla innych.

Następnego dnia, w piątek wieczorem, Rina czuła się bardzo przygnębiona. Jej mąż zabrał córkę na weekend do swojej siostry do Jerozolimy i była sama w domu. Nalała po

brzegi wodę do wanny, weszła do niej i zanurzyła głowę. Jak po narodzinach Noi wstrzymała oddech i zamierzała się utopić, gdy nagle zadzwonił telefon. Zignorowała go, próbując się skoncentrować, zdecydowana, żeby z tym skończyć. Ale telefon bez przerwy dzwonił. Po dwudziestym razie wyszła z wanny, obiecując sobie, że wróci jak najszybciej, owinęła się ręcznikiem i podniosła słuchawkę.

- Co ty wyprawiasz? - spytała siostra.

- Nic, jestem w domu.

- Nieprawda.

Zdenerwowała się, myśląc o wannie, która na nią czeka.

- Nie świeci się u ciebie. Nie mogę uwierzyć, że o dwudziestej w piątek, kiedy jesteś sama, nie oglądasz wiadomości tygodnia w telewizji.

Józefina wiedziała, że nigdy nie opuszcza cotygodniowego przeglądu informacji. Nie musiała wiedzieć o katastrofach, które zdarzały się codziennie. Jakby życie nie było i tak wystarczająco okropne bez tych w kółko podawanych informacji, codziennych komunikatów i skrótów wydarzeń!

- Coś przegapiłam? - spytała swoją nieznośną siostrę, która przeszkodziła jej w umieraniu.

- Niezupełnie. No więc co robiłaś?

- Byłam w wannie.

- Można powiedzieć, że całe życie spędzasz w wannie.

- Szpiegujesz mnie?

- Tak.

-Jak?

- Przez wojskową lornetkę Shlomo.

Była oburzona. Czyżby Józefina podglądała ją, odkąd dwa lata temu zamieszkała naprzeciwko, po drugiej stronie alei?

- Od dawna?

- Od czasu kiedy rozstałaś się z mężem.  
- Ale dlaczego?  
- Martwię się. Boję się, żebyś któregoś dnia nie pękła i nie wyskoczyła z ósmego piętra.

- A ty mogłabyś mi w tym przeszkodzić dzięki swojej lornetce?

- Nie, ale pobiegłabym do telefonu, żeby spróbować odwieść cię od tego pomysłu - odparła jej starsza siostra, która odziedziczyła po matce zdrowy rozsądek. - No dobrze, a teraz powiedz mi, dlaczego cały czas siedzisz w wannie?

- Zapewne dlatego że nie mam czystego sumienia.

- Twoje sumienie jest bez skazy. Chodź, zrobię ci coś dobrego do jedzenia, co tylko chcesz.

Zawahała się, nie wiedząc, czy nie powinna raczej wrócić do kąpieli, która musiała przez ten czas ostygnąć.

- Więc co ugotujesz?

- Karczoch w sosie maślanym.

- Nie, nie maślanym - zaprotestowała, nagle stając się małą dziewczynką, jaką kiedyś była. - Wolę sos musztardowo-majonezowy.

- Według mnie jest gorszy.

Przeklęła siostrę, która zawsze chciała rządzić jej życiem, i zapomniała o tym, że siedem minut wcześniej zamierzała popełnić samobójstwo.

- A ja wolę musztardowo-majonezowy.

- No to chodź już, głupia! - powtórzyła uprzejmie Józefina.

Rina wyciągnęła korek z wanny i patrzyła, jak woda w kilka sekund odpływa do morza. Nawet się nie namydliła. Nie musiała zmywać z siebie brudu. Wzmocniona tą refleksją ubrała się i poszła poszukać odrobiny otuchy przy siostrze.

W następnym poniedziałek zabrała Noę na audiogram do szpitala, gdzie poinformowano ją, że jej córka jest kompletnie głucha na jedno ucho i potrzebuje aparatu słuchowego na drugie.

Była załamana. W drodze powrotnej wyplakała wszystkie łzy. Po przyjeździe opiekunki zadzwoniła do biura męża i poprosiła do telefonu Adi.

- Nie ma jej - odpowiedziała sekretarka.

- Już u was nie pracuje?

- Pracuje, ale nie dzisiaj. Nie przychodzi w środy.

- Mogłaby mi pani dać jej adres? Pracuję dla Taxi Awiw i mam jej dostarczyć przesyłkę.

Obowiązkowa pracownica z przyjemnością udzieliła jej informacji. Na skraju załamania nerwowego - reakcja na wizytę w szpitalu - Rina wsiadła do samochodu i odjechała.

Gdy zadzwoniła do drzwi, otworzyła jej młoda, pulchna dziewczyna. Rina z otwartymi ustami wpatrywała się w karlicę, która wywróciła do góry nogami jej życie.

- Adi? - spytała.

- Adi, ktoś do ciebie - wrzasnęła tamta.

Na progu pojawiła się Adi i dołączyła do swojej współlokatorki. Była wysoka i tęga.

Rina zablokowała drzwi stopą, żeby nie zatrzęsnięto ich jej przed nosem.

- Zapewne ty jesteś Adi?

- Tak.

- Tą, która sypia z kolegami z pracy?

I nie zostawiając czasu na odpowiedź, wymierzyła jej dwa siarczyste policzki.

Adi domyśliła się, kim jest ta kobieta, i usiłowała zamknąć drzwi. Rinie szkoda było czasu na kurtuazję - po prostu zamierzała stłuc kobietę z całą wściekłością, która nagromadziła się w niej przez sześć ostatnich miesięcy.



Popchnęła drzwi i zaczęła ją okładać.

- Hadass! - zawyła Adi do współlokatorki, która starała się zająć napastniczkę od tyłu.

- Spadaj! To nie twoja sprawa! - rzuciła do tłustej karlicy, której próbowała się pozbyć, nie przestając okładać swojej rywalki.

Lecz Hadass z groźną miną nie przestawała wymachiwać piąstkami, podczas gdy Adi, odpierając atak z zaskoczenia, oddawała jej cios za cios, a nawet udało jej się uderzyć ją w ramię, kiedy odwróciła się, żeby obezwładnić karlicę. Widząc, że mała kobieta walczy jak wściekła, broniąc swojej przyjaciółki, wpadła w szal: po co tamta się wtrąca? Wzięła ją za ramiona i bez pardonu cisnęła nią w głąb korytarza.

- Jeśli się stamtąd ruszysz, zabiję cię!

Karlica najwyraźniej się przestraszyła, bo nie pojawiła się więcej.

Znowu dopadając Adi, Rina zaczęła ją prać, tak jak nauczyła się tego w dzieciństwie w Wadi Salib. Nie bez powodu Józefina zawsze, kiedy jakiś łobuz szukał z nią zaczepki, groziła, że zawoła młodszą siostrę. Metoda była niezawodna.

Naturalnie Adi odpowiedziała kontratakiem, lecz jak stawić opór matce oślepionej złością, matce, która właśnie dowiedziała się, że jej córka jest głucha?

Stwierdzając, że Adi dostała już wystarczające lanie, rzuciła ją na ziemię i kopnęła w brzuch i nogi, nie przestając jej wyzywać od dziwek i tym podobnych, żeby pokazać, gdzie jej miejsce. Potem wróciła do domu, w którym czekała na nią córeczka.

Następnego ranka dostała wezwanie na policję. Była oskarżona o umyślne pobicie i miała zgłosić się na posterunek.

Udała się na komisariat, gdzie oficer policji przeczytał jej prawa, a następnie przedstawił ze szczegółami protokół

i zaświadczenie lekarskie wystawione przez szpital, który dokonał obdukcji Adi. Uważnie słuchała, kiwając głową. W końcu potwierdziła zgodność faktów, z wyjątkiem jednego niedopatrzienia.

- Jakiego? - spytał komisarz.

- Zapomniano wspomnieć, że to koleżanka z pracy i kochanka mojego męża. Poszłam z nią porozmawiać, żeby wytłumaczyć jej, że zostałam sama z moją chorą i głuchą córką. Chciałam ją tylko przekonać, żeby odeszła z biura, w którym codziennie się widuje z moim mężem, bo próbowałam ratować swoją rodzinę.

Taka była przybliżona wersja, jaką przedstawiła policjantowi.

- I co się stało?

- Och, wie pan, uniosłyśmy się i doszło do rękoczynów. Wy, mężczyźni jesteście tacy sami, prawda? Co by pan zrobił, gdyby zdradzała pana żona? Nie poszedłby pan do jej kochanka, żeby powiedzieć mu kilka słów prawdy?

Policjant spytał ją o córkę. Opowiedziała mu całą historię, kładąc nacisk na fakt, że podczas gdy Noa i ona „bawiły się” w szpitalu, jej mąż pocieszał się w ramionach tej dziwki. Poruszony oficer wziął jej stronę. Powiedział, że nie rozumie, jak można zdradzić taką kobietę, i dodał, że ta Adi to wstrętne babsko.

- A co zrobi pan ze skargą?

Zmiał papier, zrobił z niego kulkę i wrzucił ją do kosza. Strzał w dziesiątkę!

- Niech tylko ta zdzira spróbuje pojawić się na komisariacie, to zobaczycie!

Wieczorem zadzwonił jej mąż. Był bardzo wzburzony.

- Widzisz, właśnie przez takie rzeczy już cię nie kocham.

- Jakie rzeczy?

- Twój brak manier. Jak ty zostałeś wychowana?  
- Sama się nad tym zastanawiam. Zdecydowałaś się na rozwód?

- Tak.

- To dobrze się składa. Ja również.

- Chodź, pójdziemy na spacer - powiedziała do córki.

Poszły na plażę. Stojąc na molo, patrzyły na fale rozpryskujące się o skały. Morze było wzburzone. Zdjęła obręczkę i wrzuciła ją do wody, tłumacząc Noi, że zwraca swój posag Bogu.

- Co to jest posag? - zapytała czteroipółletnia dziewczynka.

- Rodzaj graciarni, który ciągnie się ze sobą od dzieciństwa.

Wracając do domu, usłyszała telefon i obawiała się, że nie zdąży odebrać. Ale uporczywie dzwonił.

- Halo?

- Czy mogę rozmawiać z Riną, co znaczy „radość” w Biblii i „królowa” w ladino? - powiedział głos po drugiej stronie.

- Witaj, Samuelu! Co słychać?

- Wszystko świetnie. Właśnie urodził nam się syn i chcę cię zaprosić na brit mila\*.

- *Mazel tow*, proroku Samuelu, i dziękuję. Z przyjemnością przyjdę. Gdzie odbędzie się obrzezanie?

- W domu. W moim ogrodzie.

\* **Brit mila** - rytuał obrzezania.